

5 237.207 X

MIŁOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STALINEM

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1962



ROZMOWY ZE STALINEM

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXXXII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

MIŁOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STALINEM

Z angielskiego przełożył
ADAM CIOŁKOSZ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

© 1962 by Harcourt, Brace World, Inc.

Tytuł oryginału: *Conversations with Stalin*



II 297.207

Clw.



• Na tłumaczenie polskie, Institut Littéraire S.a.r.l., 1962.

1962 W 1592

Pamięci Aneurina Bevana

Printed by the Government

PRZEDMOWA

W naturze pamięci ludzkiej leży pozbywanie się wszystkiego, co zbędne, zatrzymywanie tylko tego, co w świetle późniejszych wydarzeń okazało się najważniejsze. Jest to jednakże także jej słabą stroną. Ulega bowiem nas-trojom, dostosowując minioną rzeczywistość do bieżących potrzeb i przyszłych nadziei.

Zdając sobie z tego sprawę, usiłowałem przedstawić fakty z możliwą dokładnością. Jeśli książka ta nie jest wolna od mych dzisiejszych poglądów, nie należy tego przypisywać ani złej woli ani stronniczości protagonisty, lecz raczej natu-rze samej pamięci i memu wysiłkowi, by objaśnić dawne spotkania i wydarzenia wedle mej obecnej znajomości spraw.

Nie wiele jest w tej książce, czego by człowiek czyta-ny nie znał już z opublikowanych pamiętników i innej lite-ratury. Skoro jednak każde wydarzenie staje się zrozumiał-sze i uchwytniejsze, jeśli je wyjaśnić bardziej szczegółowo i z różnych punktów widzenia, sądziłem, że nie pozostanie bez pożytku, jeśli i ja zabiorę głos. Uważam, że ludzie i stosunki między nimi są ważniejsze od suchych faktów i dlatego poświęciłem większą uwagę tym pierwszym. Jeśli zaś książka zawiera cokolwiek, co można by nazwać litera-turą, należy to także przypisać nie tyle mojemu stylowi wypowiedzania się, ile memu pragnieniu, by oddać temat jak najprzystępniej, jasno i prawdziwie.

Gdy pracowałem nad swą autobiografią, w roku 1955 czy 1956 przyszło mi na myśl, by wyodrębnić moje spot-kania ze Stalinem w oddzielnej książce, którą można by opublikować wcześniej i osobno. Wylądowałem jednakże w więzieniu i nie dogadzało mi paranie się tym rodzajem

działalności literackiej, albowiem jeśli nawet książka moja poświęcona jest przeszłości, to jednak musi poruszać też bieżące stosunki polityczne.

Dopiero po zwolnieniu mnie z więzienia, w styczniu 1961 roku, powróciłem do mej dawnej myśli. Tym razem, wobec zmienionych warunków i ewolucji mych własnych poglądów, musiałem podejść do tego przedmiotu raczej w inny sposób. Po pierwsze, przywiązywałem teraz większą uwagę do psychologicznych, ludzkich aspektów tych historycznych wydarzeń. Co więcej, opinie o Stalinie są wciąż tak sprzeczne a jego oblicze wciąż tak żywe, że ja także uważałem za potrzebne, by pod koniec przedstawić, na podstawie własnych przeżyć i doświadczeń, moje konkluzje co do tej iście zagadkowej osobistości.

Ponad wszystko inne, czuję wewnętrzną potrzebę, by nie przemilczeć niczego, co by mogło mieć znaczenie dla tych, co piszą historię, a zwłaszcza dla tych, co dążą do swobodniejszego bytu ludzkiego. W każdym razie tak czytelnik jak i ja będziemy zadowoleni, jeśli prawda — nawet okryta płaszczem mych własnych namiętności i osądów — nie poniesie uszczerbku. Winniśmy bowiem zdać sobie sprawę, że nawet najpełniejsza prawda o ludziach i stosunkach między nimi może być tylko prawdą o konkretnych osobach, osobach w określonym czasie.

W Belgradzie, listopad 1961.

ZACHWYTY

1.

Pierwszą obcą misją wojskową, która przybyła do Naczelnego Dowództwa Armii Wyzwolenia Ludowego i Jednostek Partyzanckich Jugosławii, była misja brytyjska, zrzucona na spadochronach w maju 1943 roku. Misja sowiecka przybyła w dziewięć miesięcy później — w lutym 1944 roku.

Wkrótce po przybyciu misji sowieckiej wyłoniła się kwestia wysłania jugosłowiańskiej misji wojskowej do Moskwy, zwłaszcza, że podobną misję wyznaczono już do odpowiedniego dowództwa brytyjskiego. W Naczelnym Dowództwie, to jest wśród członków Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Jugosławii, pracujących podówczas w głównej kwaterze, powstało gorące pragnienie wysłania misji do Moskwy. Sądzę, że Tito zwrócił na to ustnie uwagę szefa misji sowieckiej, generała Korniejewa; jest jednak zgoła pewne, że sprawę załatwiła depesza rządu sowieckiego. Wysłanie misji do Moskwy miało wielorakie znaczenie dla Jugosłowian, a ona sama miała odmienny charakter i zupełnie odmienny cel od misji przydzielonej do dowództwa brytyjskiego.

Jak wiadomo, ruch partyzancki i powstańcy przeciwko niemieckim i włoskim wojskom okupacyjnym i ich rodzimym współpracownikom zorganizowała Komunistyczna Partia Jugosławii. Rozwiązując swe problemy narodowe podczas najbezwzględniejszych działań wojennych, nie przedstawiała ona uważać się za członka światowego ruchu komunistycznego, za coś nieodłącznego od Związku Sowieckiego — „ojczyzny socjalizmu”. W ciągu całej wojny najciślej organ partyjny, Biuro Polityczne, bardziej popularnie znane pod skróconą nazwą Politbiura, utrzymywało łączność radiową z Moskwą. Formalnie była to łączność z Międzynarodówką Komunistyczną — Kominternem — jednocześnie jednak oznaczała łączność także i z rządem sowieckim.

Szczególne warunki, spowodowane wojną i utrzymaniem się ruchu rewolucyjnego przy życiu, w wielu już wypadkach doprowadziły do nieporozumień z Moskwą. Spośród najznamienniejszych wymienię następujący.

Moskwa nigdy nie umiała zrozumieć w pełni realiów rewolucji jugosłowiańskiej, to jest faktu, że w Jugosławii równocześnie z oporem wobec wojsk okupacyjnych toczyła się rewolucja wewnętrzna. Podstawą tego błędnego mniemania była obawa rządu sowieckiego, iż sprzymierzeńcy zachodni, a przede wszystkim Wielka Brytania mogą brać za złe wyzyskiwanie niepowodzeń wojennych w krajach okupowanych dla szerzenia rewolucji i wpływów komunistycznych. Jak to się często zdarza z nowymi zjawiskami, walka komunistów jugosłowiańskich nie była zgodna z ustalonymi poglądami i bezsprzecznymi interesami sowieckiego rządu i państwa.

Moskwa nie rozumiała również osobliwych znamion działań wojennych w Jugosławii. Walka Jugosłowian podnosiła na duchu nie tylko koła wojskowe, walczące w obronie państwa rosyjskiego przed hitlerowską inwazją — ale także i oficjalne koła sowieckie, aczkolwiek te ostatnie nie doceniały jej, chociażby tylko dlatego, że porównywały ją ze swymi własnymi partyzantami i ze swymi własnymi metodami prowadzenia wojny. Partyzanci w Związku Sowieckim stanowili pomocniczą, zgoła uboczną siłę Czerwonej Armii i nigdy nie przekształcali się w armię regularną. Na podstawie własnych doświadczeń, przywódcy sowieccy nie mogli pojąć, że partyzanci jugosłowiańscy potrafią przeobrazić się w armię i w rząd i że z czasem nastąpi roz-

blieżność z interesami sowieckimi — krótko mówiąc, że stworzą swój własny styl życia.

W związku z tym jedno wydarzenie wybija się jako nadzwyczaj dla mnie doniosłe, może nawet rozstrzygające: w przebiegu tak zwanej czwartej ofensywy, w marcu 1943 roku, miały miejsce rozmowy pomiędzy Naczelnym Dowództwem a dowództwami niemieckimi. Okazję do rozmów dała wymiana jeńców, lecz ich istotnym celem było nakłonienie Niemców do uznania praw kombatanckich partyzantów, tak by dobiegło kresu wzajemne mordowanie rannych i jeńców. Działo się to w czasie, gdy Naczelne Dowództwo, trzon armii rewolucyjnej i tysiące naszych rannych znajdowały się w śmiertelnym niebezpieczeństwie; trzeba nam było wytchnienia. Należało o tym powiadomić Moskwę, lecz wiedzieliśmy doskonale — Tito, gdyż znał Moskwę, Rankowicz bardziej instynktownie — że lepiej będzie nie mówić jej wszystkiego. Moskwa została po prostu powiadomiona, że rokujemy z Niemcami w sprawie wymiany rannych. W Moskwie jednakże nawet nie próbowali wstawić się w nasze położenie, nie dowierzali nam — pomimo strumieni krwi już przez nas przelanych — i odpowiedzieli bardzo ostro. Pamiętam — było to w młynie nad Ramą w przede dniu naszego przebiccia się na drugi brzeg Neretwy w lutym 1943 roku — reakcję Tity na to wszystko: „Naszym pierwszym obowiązkiem jest dbać o naszą własną armię i o naszych własnych ludzi”.

Po raz pierwszy ktoś z Komitetu Centralnego jawnie sformułował naszą rozbieżność z Moskwą. Po raz też pierwszy uświadomiłem sobie, niezależnie od słów Tity, lecz nie bez związku z nimi, że ta rozbieżność jest istotna, jeśli chcemy przetrwać w tej walce na śmierć i życie między zmagającymi się z sobą światami.

Jeszcze inny przykład zaszedł w dniu 29 listopada 1943 roku w Jajcach, na drugiej sesji Rady Antyfaszystowskiej, na której przyjęto uchwały faktycznie równające się legalizacji nowego ładu społecznego i politycznego w Jugosławii. W tym samym czasie utworzony został Komitet Narodowy, mający działać jako tymczasowy rząd Jugosławii. Podczas przygotowań do tych uchwał, na posiedzeniach Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii zajmowano stanowisko, że nie należy Moskwę powiadamiać, aż będzie



po wszystkim. Wiedzieliśmy z poprzedniego doświadczenia z Moskwą i z linii jej propagandy, że nie potrafi zrozumieć. I rzeczywiście, reakcje Moskwy na te uchwały były do tego stopnia negatywne, że radiostacja Wolna Jugosławia, działająca w Związku Sowieckim i mająca służyć potrzebom ruchu oporu w Jugosławii, pewne ich fragmenty pominęła w swych audycjach. Rząd sowiecki nie umiał zrozumieć najważniejszego aktu rewolucji jugosłowiańskiej, tego, który przekształcił ową rewolucję w nowy ład i wprowadził ją na scenę międzynarodową. Dopiero gdy stało się oczywiste, że Zachód ze zrozumieniem zareagował na uchwały z Jajce, Moskwa zmieniła swe stanowisko, dostosowując się do stanu rzeczy.

Komuniści jugosłowiańscy, mimo całej goryczy wyniesionej z doświadczeń, których znaczenie mogli pojąć dopiero po zerwaniu z Moskwą w roku 1948 i mimo odmienności stylu życia, uważali się za związanych ideologicznie z Moskwą i za najwierniejszych jej zwolenników. Aczkolwiek żywotne realia rewolucyjne i inne, coraz gruntowniej i coraz bardziej nieprzejeżdżanie oddzielały komunistów jugosłowiańskich od Moskwy, to jednak upatrywali oni w tychże samych realiach, a szczególnie w swych własnych sukcesach rewolucyjnych, dowody więzów, łączących ich z Moskwą i wytyczonym przez nią programem ideologicznym. Dla Jugosłowian Moskwa była nie tylko ośrodkiem politycznym i duchowym, ale także ucieleśnieniem abstrakcyjnego ideału „społeczeństwa bezklasowego”, czymś, co nie tylko łagodziło i osładzało ich poświęcenie i cierpienia, ale także w ich własnych oczach usprawiedliwiała samo ich istnienie.

Jugosłowiańska partia komunistyczna była nie tylko, tak samo zjednoczona ideologicznie jak sowiecka, lecz wierność dla kierownictwa sowieckiego była jednym z głównych elementów w jej rozwoju i działalności. Stalin był nie tylko niezaprzeczalnym genialnym wodzem, był on też wcieleniem idei i marzenia o nowym społeczeństwie. Ubóstwienie osoby Stalina i mniej lub więcej wszystkiego w Związku Sowieckim przybierało kształty i rozmiary irracjonalne. Wszystko to, co robił rząd sowiecki — na przykład napad na Finlandię — a nawet rzeczy złe w Związku Sowieckim — na przykład procesy i czystki — były bronione i usprawiedliwiane. Co jest jeszcze dziwniejsze, komuniści umieli przekonać samych siebie o właści-

wości i poprawności tych poczynań oraz wyłączyć nieprzyjemne fakty ze swej świadomości.

Między nami, komunistami, byli ludzie o rozwiniętym poczuciu estetycznym i o znacznej znajomości literatury i filozofii, a jednak rozpyłaliśmy się w zachwytach nie tylko nad poglądami Stalina, ale także nad „doskonałością” ich sformułowania. Ja sam wielokrotnie powoływałem się w dyskusjach na kryształową jasność jego stylu, na przenikliwość jego logiki i na harmonijność jego komentarzy, jak gdyby były one wyrazem najwznioślejszej mądrości. Nawet jednak wtedy nie byłoby mi trudno wykryć u jakiegokolwiek innego autora tej samej klasy, że styl jego jest bezbarwną, jałową i prostacką mieszaną żargonu dziennikarskiego i języka biblijnego. Niekiedy ubóstwienie przybierało humorystyczne rozmiary: wierzyliśmy na serio, że wojna skończy się w roku 1942, bo tak powiedział Stalin, a gdy proroctwo się nie spełniło, puściliśmy je w niepamięć; prorok nie stracił niczego ze swej nadludzkiej mocy. W rzeczy samej z komunistami jugosłowiańskimi stało się to, co na przestrzeni całych długich dziejów człowieka stawało się z tymi, którzy swój los indywidualny i los ludzkości podporządkowywali wyłącznie jednej idei: podświadomie opisywali oni Związek Sowiecki i Stalina w słowach, których wymagała ich własna walka i jej uzasadnienie.

Jugosłowiańska misja wojskowa udawała się do Moskwy, mając przed oczyma z jednej strony wyidealizowany obraz rządu sowieckiego i Związku Sowieckiego, z drugiej zaś strony swe własne konkretne potrzeby. Na pozór przypominała ona misję wysłaną do Brytyjczyków, lecz jej skład i koncepcja faktycznie oznaczały nieformalne powiązanie z kierownictwem politycznym o identycznych poglądach i celach. Mówiąc prościej, misja musiała mieć zarówno wojskowy jak i partyjny charakter.

2.

Nie było przypadkiem, że obok generała Welimira Terzicza Tito przydzielił mnie do misji jako wysokiego

funkcjonariusza partyjnego. (W owym czasie miałem za sobą szereg lat uczestnictwa w najściślejszym kierownictwie partyjnym). Inni członkowie misji byli podobnie dobrani jako funkcjonariusze partyjni lub wojskowi; między nimi był jeden ekspert finansowy. W skład misji wchodził również fizyk atomowy Pawle Sawicz, przy czym chodziło o to, by mógł w Moskwie kontynuować swą pracę naukową. Był również między nami Antun Augustinczicz, rzeźbiarz, któremu pozwolono wyrwać się z rygorów wojny, by mógł uprawiać swą sztukę. Wszyscy, rzecz jasna, byliśmy w mundurach. Ja miałem stopień generała. Sądzę, że na wybór mej osoby wpłynął częściowo fakt znajomości języka rosyjskiego — nauczyłem się go w więzieniu w latach przedwojennych — a częściowo to, że nigdy przedtem nie byłem w Związku Sowieckim i tym samym nie obciążała mnie jakakolwiek przynależność frakcyjna lub jakiekolwiek odchylenie. Nikt zresztą z pozostałych członków misji nie był nigdy w Związku Sowieckim i żaden z nich nie władał biegle rosyjskim.

Było to w początkach marca 1944 roku.

Kilka dni upłynęło na zbieraniu członków misji i przygotowaniach do wyjazdu. Nasze mundury były stare i różnorodne, z braku zaś materiału nowe trzeba było uszyć z mundurów oficerów włoskich, wziętych do niewoli. Musieliśmy także mieć paszporty, by móc przedostać się przez brytyjskie i amerykańskie terytoria — wydrukowano je więc pośpiesznie. Były to pierwsze paszporty nowego państwa jugosłowiańskiego; nosiły one osobisty podpis Tity.

Niemal spontanicznie wyłoniła się propozycja posłania darów dla Stalina. Jakiego jednak rodzaju i skąd? Naczelne Dowództwo przebywało w owym czasie w Drwarze, w Bośni. Najbliższa okolica składała się niemal wyłącznie z rozwalonych wsi i obrabowanych, opuszczonych miasteczek. Tym niemniej znalazło się rozwiązanie: dać Stalinowi jeden z karabinów, wykonanych w partyzanckiej fabryce w Užicach w roku 1941. Trzeba się było dobrze naszukać, zanim znalazł się jeden taki karabin. Potem zaczęły napływać podarunki ze wsi — sakwy, ręczniki, chłopska odzież i obuwie. Wybraliśmy co najlepsze — sandały z niewyprawionej skóry i inne równie biedne i prymitywne rzeczy. Doszliśmy do wniosku, że właśnie z uwagi na ten ich cha-

rakter, powinniśmy je wziąć z sobą jako wyraz życzliwości ludu.

Misja miała za cel wyjednanie pomocy sowieckiej dla jugosłowiańskiej Armii Wyzwolenia Ludowego. Zarazem Tito powierzył nam zadanie uzyskania — czy to za pośrednictwem rządu sowieckiego, czy też innymi drogami — pomocy UNRRA dla oswobodzonych obszarów Jugosławii. Mieliśmy też prosić rząd sowiecki o pożyczkę dwustu tysięcy dolarów na pokrycie wydatków naszych misji na Zachodzie. Tito nalegał, abyśmy oświadczyli, że sumę tę, jak również pomoc w broni i lekarstwach, spłacimy, gdy kraj będzie oswobodzony. Misja miała zabrać ze sobą archiwum Naczelnego Dowództwa i Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii.

Co najważniejsze, miała ona wy badać możliwość uznania przez rząd sowiecki Komitetu Narodowego za tymczasowy rząd legalny i wywarcia przez Sowiety wpływu na sprzymierzeńców zachodnich w tymże kierunku. Misja miała utrzymywać łączność z Naczelnym Dowództwem za pośrednictwem misji sowieckiej, mogła też posługiwać się dawnym łożyskiem kominternowskim.

Oprócz powyższych zadań misji, Tito przy rozstaniu polecił mi, bym dowiedział się od Dimitrowa albo — jeśli uda mi się dostać do niego — od Stalina, czy jest jakieś niezadowolenie z pracy naszej partii. To zlecenie Tity było czystą formalnością — chodziło o zwrócenie uwagi na nasz nacechowany karnością stosunek do Moskwy — był bowiem głęboko przekonany, że Komunistyczna Partia Jugosławii zdała egzamin celująco i że zdała go jedna jedyna. Mówiliśmy też o jugosłowiańskich emigrantach partyjnych (komunistach, którzy udali się do Rosji przed wojną). Tito był zdania, że nie powinniśmy wdawać się z tymi emigrantami we wzajemne rekryminacje, zwłaszcza jeśli mają oni coś wspólnego z sowieckimi organami i urzędnikami. Jednocześnie podkreślał, że powinienem wystrzegać się sekretarek, gdyż bywają sekretarki różnego rodzaju; zrozumiałem, że mamy nie tylko przestrzegać tradycyjnej już moralności partyjnej, ale także unikać wszystkiego, co by mogło na szwank narazić dobrą opinię i szczególną pozycję jugosłowiańskiej partii i jugosłowiańskich komunistów.

Całą duszą cieszyłem się na myśl o rychłym zetknięciu się ze Związkiem Sowieckim, krajem, który pierwszy w dziejach — wierzyłem w to wiarą twardszą od skały — nadał sens marzeniom wizjonerów, odwadze bojowców i cierpieniom męczenników, albowiem i ja także znosiłem udręki i tortury więzienia, ja także nienawidziłem, ja także przelewałem krew ludzką, nie szczędząc krwi nawet mych własnych braci.

Ale jednocześnie było mi przykro, że w czasie walki opuszczam mych towarzyszy i mój kraj, walczący na śmierć i życie, stanowiący jedno wielkie pobojuwisko i dymiące zgliszcza.

Moje rozstanie z misją sowiecką było bardziej serdeczne, niż dotychczasowe moje z nią spotkania. Uściskałem mych towarzyszy, wzruszonych niemniej ode mnie i ruszyliśmy na zaimprovizowane lotnisko w pobliżu Bosanskiego Petrowaca. Spędziliśmy tam cały dzień na inspekcji lotniska i rozmowach z jego personelem, który nabył wyglądu i obyczajów normalnej i ustabilizowanej obsługi oraz z chłopami, którzy już przyzwyczaili się do nowego reżymu i do myśli o jego nieuniknionym zwycięstwie.

Od niedawna samoloty brytyjskie lądowały tu regularnie nocami, jednak w niewielkiej liczbie — co najwyżej dwa lub trzy w ciągu jednej nocy. Transportowały rannych i przygodnych pasażerów oraz przywoziły zaopatrzenie, najczęściej lekarstwa. Jeden z samolotów nie dawno przywiózł nawet *jeep'a*, dar dowództwa brytyjskiego dla Tity. Na tymże lotnisku o miesiąc wcześniej, przy pełni księżyca wylądowała w samolocie na płozach sowiecka misja wojskowa. Ze względu na teren i inne okoliczności, był to wyczyn nielada, a ponadto zgoła niezwykle widowisko, ze względu na dość dużą eskortę myśliwców brytyjskich.

Uważałem wylądowanie a potem wystartowanie mego samolotu także za wyczyn nielada: samolot musiał lecieć nisko nad postrzępionymi skałami, lądować potem na wąskim i nierównym lodowisku i raz jeszcze wystartować.

Jak smutny i pogrążony w ciemnościach był mój kraj! Góry blade od śniegu i pocięte czarnymi rozpadlinami, doliny okryte mrokiem, ani promyka światła aż do samego morza i ponad nim. W dole była wojna, straszliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Toczyła się na ziemi, przywykłej do okropności wojny i powstania. Naród borykał się z na-

jeżdżąc, bracia mordowali się wzajemnie w jeszcze straszliwszym zmaganiu. Kiedy zabłyśną na nowo światła po wsiach i miastach mej ojczyzny? Czy odnajdzie ona radość i spokój po całej tej nienawiści i śmierci?

Pierwszy nasz postój był w Bari, we Włoszech, gdzie znajdowała się rozległa baza partyzantów jugosłowiańskich — szpitale i magazyny, żywność i sprzęt. Stamtąd poleciliśmy w kierunku Tunisu. Musieliśmy nadłożyć drogi, by ominąć bazy niemieckie na Krecie i w Grecji. Zatrzymaliśmy się na Malcie jako goście dowódcy brytyjskiego i przybyliśmy na noc do Tobruku, w sam czas, by zobaczyć, jak mroczny odblask, podnoszący się z rudawej skalistej pustyni pod nami, liże całe niebo.

Następnego dnia przybyliśmy do Kairu. Brytyjczycy umieścili nas dyskretnie w hotelu i oddali do naszej dyspozycji samochód. Kupcy i służba brali nas za Rosjan z powodu pięcioramiennych gwiazd na naszych czapkach, jednak gdy tylko zaznaczyliśmy mimochodem, że jesteśmy Jugosłowianami, albo gdy wymieniliśmy nazwisko Tity, przyjemnie było słyszeć, że wiedzieli o naszej walce. W pewnym sklepie sprzedawczyni powitała nas wypowiedzianym w naszym języku przekleństwem, którego w niewinności ducha nauczyła się od oficerów — emigrantów. Grupa tychże oficerów, uniesiona pragnieniem walki i tęsknotą za udręczonym krajem, opowiedziała się za Titą.

Dowiedziawszy się, że szef UNRRA, Lehman, jest w Kairze, zażądałem od ministra sowieckiego, by wprowadził mnie do niego, celem przedstawienia naszych postulatów. Amerykanin przyjął mnie bezzwłocznie, lecz chłodno, oświadczając, że postulaty nasze będą wzięte pod rozważenie na najbliższym posiedzeniu UNRRA i że UNRRA z zasady kontaktuje się tylko z prawowitymi rządami.

Moje prymitywne i dogmatyczne pojęcie o kapitalizmie zachodnim, jako nieprzejednanym wrogu wszelkiego postępu oraz małych i uciśnionych, znalazło usprawiedliwienie w moim pierwszym spotkaniu z jego przedstawicielami: zauważyłem, że pan Lehman przyjął nas w pozycji leżącej, miał bowiem nogę w gipsie, co mu najwidoczniej dokuczało, tak samo jak i upał, a co ja wziąłem za niezadowolenie z naszej wizyty. Jego rosyjski tłumacz — włochaty olbrzym o ostrych rysach — był dla mnie istnym wyobrażeniem czarnego charakteru z cowboyskiego filmu. Nie miałem

jednak żadnego powodu do niezadowolenia z tej wizyty: postulaty nasze zostały przedłożone i przyrzeczono nam, że będą rozpatrzone.

Skorzystalismy z trzydniowego postoju w Kairze, by obejrzeć zabytki historyczne, a ponieważ pierwszy szef misji brytyjskiej w Jugosławii, major Deakin, przebywał w Kairze, byliśmy również jego gośćmi na intymnej kolacji.

Z Kairu udalismy się do bazy brytyjskiej w Habbaniya w pobliżu Bagdadu. Dowództwo brytyjskie odmówiło nam przejazdu do Bagdadu jako niezbyt bezpiecznego, co wzięliśmy za chęć zatajenia przed nami terroru kolonialnego, jak się nam zdawało niemniej drastycznego od niemieckiej okupacji naszego kraju. Zamiast tego Brytyjczycy zaprosili nas na zawody sportowe, rozgrywane przez ich żołnierzy. Poszliśmy i posadzono nas obok dowódcy. Okutani pasami i zapięci po samą grdykę, wyglądaliśmy komicznie w naszych własnych oczach, a co dopiero w oczach grzecznych i niefrasobliwych Anglików.

Towarzyszył nam major, chłop wesoły i serdeczny, który nieustannie usprawiedliwiał się ze swej słabej znajomości rosyjskiego — nauczył się go podczas interwencji brytyjskiej w Archangielsku w czasie rewolucji rosyjskiej. Mówił z entuzjazmem o Rosjanach (ich delegacje również zatrzymywały się w Habbaniya), nie o ich ustroju społecznym, lecz o ich prostocie, a przede wszystkim umiejętności pochłaniania wielkich szklanek wódki jednym haustem „za Stalina, za Churchilla!”.

Major mówił spokojnie lecz nie bez dumy o walkach z tubylcami, podburzonymi przez agentów niemieckich. I rzeczywiście hangary były podziurawione kulami. Biorąc sprawy doktrynalnie, nie mogliśmy zrozumieć, że ktoś mógł i chciał poświęcać się „dla imperializmu” — tak bowiem patrzyliśmy na walkę Zachodu — ale pomiędzy sobą podziwialiśmy bohaterstwo i odwagę Brytyjczyków, którzy — chociaż nieliczni i bez nadziei pomocy — zapędzali się i triumfowali w odległych i skwarnych pustyniach azjatyckich. Aczkolwiek nie byłem podówczas zdolny do wyciągnięcia stąd szerszych wniosków, z pewnością przyczyniło się to do zrozumienia później przeze mnie, że na naszej kuli ziemskiej są niezliczone współrzędne systemy ludzkie, a nie tylko jeden jedyny ideał.

Odnosiliśmy się do Brytyjczyków z podejrzliwością i trzymaliśmy się od nich z dala. Obawę powiększały nasze prymitywne pojęcia o ich wywiadzie — Intelligence Service. Nasza postawa była splotem doktrynerskich szablonów, wpływu literatury sensacyjnej i niepewności żółtodzióbów w szerokim wielkim świecie.

Obawy te na pewno nie byłyby tak wielkie, gdyby nie owe worki, wypchane archiwami Naczelnego Dowództwa, albowiem zawierały one również depesze wymieniane pomiędzy nami a Kominternem. Wydawało nam się podejrzane, że brytyjskie władze wojskowe nie interesowały się tymi workami bardziej, niż gdyby zawierały one buty lub puszki konserw. Na wszelki wypadek trzymałem je przy sobie w ciągu całej podróży, nocami zaś dla uniknięcia samotności sypiałem razem z Markiem. Był to przedwojenny komunista z Czarnogórze, człowiek prosty, dzielny i lojalny.

Zdarzyło się pewnej nocy w Habbaniya, że ktoś po cichu otworzył drzwi do mego pokoju. Obudziłem się, choć drzwi nawet nie zaskrzypiały. W świetle księżyca rysowała mi się postać tubylca; mając wciąż głowę osłoniętą siatką od moskitów, krzyknąłem i chwyciłem rewolwer spod poduszki. Marko zerwał się na równe nogi (sypiał w ubraniu), ale intruz zniknął. Najprawdopodobniej zmylił drogę, albo też zamierzał coś ukraść. To wydarzenie bez znaczenia wystarczyło jednak, abyśmy dostrzegli w nim długie ramię wywiadu brytyjskiego i wzmoogli naszą i tak już napiętą czujność. Byliśmy bardzo radzi, gdy następnego dnia Brytyjczycy oddali do naszej dyspozycji samolot do Teheranu.

Teheran, po którym poruszaliśmy się, od dowództwa sowieckiego do ambasady sowieckiej, stanowił już część Związku Sowieckiego. Oficerowie sowieccy okazywali nam tę łatwą serdeczność, w której tradycyjna gościnność rosyjska mieszała się w równej mierze z solidarnością bojowników o ten sam ideał w dwóch różnych częściach świata. W ambasadzie sowieckiej pokazano nam okrągły stół, przy którym odbywała się konferencja teherańska, a także pokój na piętrze, w którym mieszkał Roosevelt. Obecnie stał on pustką — wszystko pozostało w nim bez zmiany od chwili jego wyjazdu.

Wreszcie samolot sowiecki zabrał nas do Związku Sowieckiego — ucieleśnienia naszych marzeń i naszych

nadziei. Im głębiej wdzieraliśmy się w szaro-zielony przestwór, tym bardziej chwyciło mnie za gardło nowe, dotychczas nie oczekiwane wzruszenie. Jak gdybym powracał do pierwotnej ojczyzny, nieznanej, lecz mojej.

Obce mi zawsze były wszelkie wszechsłowiańskie sentymenty, a na ówczesne moskiewskie pomysły w tym duchu patrzałem jako na manewr, mobilizujący siły konserwatywne do walki z najazdem niemieckim. Moje wzruszenie było czymś zgoła odmiennym i głębszym, czymś, co wykaczało nawet poza granice mej przynależności do komunizmu. Jak przez mgłę przypominałem sobie, że przez trzysta lat jugosłowiańscy wizjonerzy i bojownicy, mężowie stanu i suwereni — a zwłaszcza nieszczęśni księżęta-biskupi udręczonego Czarnogórza — odbywali pielgrzymki do Rosji i szukali tam zrozumienia i ocalenia. Czyż nie podróżowałem ich szlakiem? I czyż nie była to ojczyzna naszych przodków, których jakaś nieznana lawina przerzuciła na smagane wiatrami Bałkany? Rosja nigdy nie rozumiała południowych Słowian i ich aspiracji; byłem przekonany, że przyczyna leżała w caracie i feudalizmie Rosji. Lecz daleko mocniejsza była moja wiara, iż nareszcie znikły wszelkie społeczne i inne powody do nieporozumień pomiędzy Moskwą i różnymi narodami. Patrzyłem na to w owym czasie jako na ucieleśnienie braterstwa powszechnego, ale także jako na osobiste węzły, łączące mnie z przedhistoryczną wspólnotą słowiańską. Czyż nie była to ojczyzna nie tylko mych przodków, ale także bojowników, którzy oddawali życie za ostateczne braterstwo człowieka i za ostateczne zapanowanie człowieka nad materią?

Utożsamiałem się z falami Wołgi i bezgranicznymi szarymi stepami. Odnalazłem swą praistotę, pełną nieznanych dotychczas porywów wewnętrznych. Chciałem ucałować ziemię rosyjską, sowiecką ziemię, po której chodziłem. Uczyniłbym to, gdyby to nie miało posmaku religijnego, lub co więcej, teatralnego.

W Baku powitał nas dowodzący generał, milczący olbrzym, który wyniósł szorstkość z życia garnizonowego, z wojny i służby — uosobienie wielkiej wojny i wielkiego kraju, stawiającego czoło inwazji. Nasza niemal wstydliva wstrzemięźliwość wprowadzała jego surową serdeczność w zakłopotanie: „Cóż to za ludzie? Nie piją, nie jedzą! My Ro-

sjanie jemy dobrze, pijemy jeszcze lepiej, a już bijemy się najlepiej!”

Moskwa była smutna i ponura. Zdumiewała mnogością małych domków. Jakież jednak mogło to mieć znaczenie wobec zgotowanego nam przyjęcia? Honory odpowiadały randze, a życzliwość była celowo powściągliwa z uwagi na komunistyczny charakter naszej walki. Cóż mogło równać się ogromowi wojny — która — jak sądziliśmy — będzie ostatnim bojem w dziejach ludzkości i która sama przez się stanowiła nasze życie i nasz los? Czyż wszystko nie było blade i pozbawione znaczenia poza rzeczywistością, obecną właśnie tu, w kraju Sowietów, w kraju należącym także do nas i do ludzkości, przeniesionym z koszmaru w spokojną i radosną teraźniejszość?

3.

Zakwaterowano nas w Ośrodku Czerwonej Armii, CDKA, jak gdyby hotelu dla oficerów sowieckich. Żywność i wszystko inne było bardzo dobre. Przydzielono nam samochód z szoferem nazwiskiem Panow, człowiekiem w wieku już podeszłym, prostym, lecz posiadającym własne zdanie. Oficerem łącznikowym był kapitan Kozowski, młody i bardzo przystojny chłopiec, dumny ze swego kozackiego pochodzenia, tym bardziej, że w obecnej wojnie kozacy „zmyli” swą przeszłość kontrrewolucyjną. Dzięki niemu mogliśmy zawsze, o każdej porze, otrzymać bilety do teatru, do kina lub gdziekolwiek.

Nie udało nam się jednak nawiązać poważnych kontaktów z czołowymi osobistościami sowieckimi, aczkolwiek żądałem przyjęcia mnie przez W.M. Mołotowa, w owym czasie komisarza spraw zagranicznych, oraz w miarę możliwości przez J.W. Stalina, przewodniczącego Rady Ministrów i naczelnego dowódcę sił zbrojnych. Wszystkie moje okrzęne zabiegi, by przedstawić nasze żądania i potrzeby, spełżyły na niczym.

Nie można tu było liczyć na pomoc ambasady jugosłowiańskiej, wciąż rojalistycznej, chociaż ambasador Simicz

i jego nieliczny personel wypowiedzieli się po stronie marszałka Tity. Respektowani formalnie, faktycznie byli jeszcze bardziej niż my bez znaczenia i odpowiednio jeszcze bardziej bezsilni.

Niczego też nie mogliśmy zdziałać przez partyjnych emigrantów jugosłowiańskich. Byli oni nieliczni — dziesiętkowani czystkami. Najwybitniejszą między nimi osobistością był Weliko Wlahowicz. Byliśmy w jednym wieku — obaj rewolucjoniści pochodzący z rewolucyjnego ruchu studentów Uniwersytetu Belgradzkiego przeciwko dyktaturze króla Aleksandra. On był weteranem hiszpańskiej wojny domowej, ja zaś przybywałem z wojny jeszcze straszliwszej. On był człowiekiem wielkiej prawości osobistej, wysoce wykształconym i mądrym, chociaż przesadnie służbistym i bez własnego zdania. Kierował radiostacją Wolna Jugosławia; jego współpraca była cenna, lecz kontakty nie sięgały poza Georgia Dimitrowa, który, od czasu rozwiązania Kominternu, razem z D.Z. Manuilskim kierował wydziałem zagranicznych partii komunistycznych w sowieckim Komitecie Centralnym. Karmiono nas dobrze, przyjmowano nas łaskawie, ale jeśli chodzi o problemy, które mieliśmy przedstawić i załatwić, nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Mówiąc prawdę, należy ponownie podkreślić, że poza tym dano nam nadzwyczajną życzliwość i uwagę. Miesiąc jednak minął od chwili naszego przybycia, nim Stalin i Mołotow przyjęli generała Terzicza i mnie i nim to zostało ogłoszone w prasie. Wtedy dopiero, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystkie drzwi do grubych ryb administracji sowieckiej i do samych wyżyn społeczeństwa sowieckiego stanęły przed nami otworem.

Komitet Wszechsłowiański, utworzony w czasie wojny, pierwszy urządził dla nas bankiety i przyjęcia. Nie trzeba jednak było być komunistą, by dostrzec nie tylko sztuczność ale i beznadziejność tej instytucji. Jej działalność koncentrowała się na informacji i propagandzie, ale i to w najwidoczniej ograniczonym zakresie. Poza tym, jej cele nie były zbyt jasne. Komitet składał się niemal wyłącznie z komunistów z krajów słowiańskich — emigrantów w Moskwie, faktycznie obcych idei wzajemności wszechsłowiańskiej. Wszyscy oni milcząco rozumieli, że wyciągnięto z grobu coś od dawna już nieaktualnego, formę przejściową, mającą na celu gromadzenie poparcia dla Rosji komunistycznej, a przy-

najmniej paraliżowanie antysowieckich prądów panslawistycznych.

Samo kierownictwo Komitetu było bez znaczenia. Jego przewodniczący, generał Gundorow, pod każdym względem przedwcześnie postarzały i ograniczony, nie był człowiekiem, z którym można by było omawiać z sensem nawet najprostsze problemy doprowadzenia do solidarności słowiańskiej. Sekretarz Komitetu Mochałow był o tyle poważniejszy, że znajdował się bliżej sowieckich organów bezpieczeństwa — co zresztą źle maskował swym ekstrawaganckim zachowaniem. Zarówno Gundorow jak i Mochałow byli oficerami Czerwonej Armii, należeli jednak do tych, którzy nie nadawali się do służby frontowej. Można w nich było wyczuć utajone przygnębienie ludzi, przesuniętych do nie odpowiadających im zajęć. Tylko ich sekretarka, Nazarowa, szczerbata i niezwykle przymilna, miała w sobie coś przypominającego miłość dla cierpiących Słowian, chociaż i jej działalność — jak się później dowiedziano w Jugosławii — była podporządkowana sowieckim organom bezpieczeństwa.

W siedzibie Komitetu Wszechsłowiańskiego jadło się dobrze, piło się jeszcze lepiej, a przeważnie po prostu rozmawiało się. Wznoszono długie i puste toasty, nie wiele różniące się jeden od drugiego i z pewnością nie tak kwieciste, jak toasty za carskich czasów. Uderzał mnie brak jakiegokolwiek świeżej myśli w ideach wszechsłowiańskich. Taki też był gmach Komitetu — naśladownictwo baroku czy coś w tym rodzaju, w samym środku nowoczesnego miasta.

Komitet był dziełem tymczasowej, powierzchownej i niezupełnie altruistycznej polityki. Muszę jednak dodać, aby czytelnik zrozumiał mnie należycie, że chociaż wszystko to widziałem zupełnie jasno już w owym czasie, to jednak daleki byłem od patrzenia na to z odrazą lub zdumieniem. Fakt, że Komitet Wszechsłowiański był narzędziem wpływania przez rząd sowiecki na zacofane warstwy Słowian poza Związkiem Sowieckim i że jego funkcjonariusze byli zależni zarówno od tajnych jak i jawnych organów rządowych i z nimi powiązani — wszystko to nie wprawiało mnie ani trochę w zakłopotanie. Niepokoiła mnie tylko jego bezsila i powierzchowność, a przede wszystkim fakt, iż nie mógł mi on otworzyć drogi do rządu sowieckiego i do zaspokojenia jugosłowiańskich potrzeb. Jak każdy

inny komunista, miałem wpojone w siebie przeświadczenie, że nie może być żadnego przeciwieństwa pomiędzy Związkiem Sowieckim a innymi narodami, a już szczególnie tak rewolucyjną i marksistowską partią jak partia jugosłowiańska. Chociaż Komitet Wszechsłowiański wydawał mi się zbyt zabytkowy, a w konsekwencji nieodpowiedni jako narzędzie dla komunistycznych celów, to jednak uważałem go za możliwy do przyjęcia, tym bardziej że kierownictwo sowieckie na to nalegało. Jeśli chodzi o powiązania jego funkcjonariuszy z organami bezpieczeństwa, czyż nie nauczyłem się patrzeć na nie jako na niemal niebiańskich strażników rewolucji i socjalizmu — „miecz w rękę partii”?

Należy też wyjaśnić charakter mych nalegań na dotarcie do samych szczytów rządu sowieckiego. Chociaż nagliłem, to jednak ani nie byłem natrętny, ani rozżalony na rząd sowiecki, albowiem nauczyłem się upatrywać w nim coś jeszcze większego niż kierownictwo mej własnej partii i rewolucji — kierowniczą siłę komunizmu jako całości. Wiedziałem już od Tity i innych, że w stylu Moskwy leży długie trzymanie za drzwiami — w każdym razie komunistów zagranicznych. Martwiła mnie natomiast i niecierpliwiła pilność potrzeb rewolucji — do tego mej własnej, jugosłowiańskiej rewolucji.

Chociaż nikt — nawet komuniści jugosłowiańscy — nie mówił o rewolucji, od dawna już było oczywiste, że się ona dokonuje. Na Zachodzie pisano o niej sporo. W Moskwie jednakże nawet ci, którzy winni byli mieć wszelki powód po temu, by ją uznać — zapamiętałem nie chcieli tego uczynić. Każdy uporczywie mówił tylko o walce przeciw najeźdźcom niemieckim i jeszcze uporczywiej podkreślał wyłącznie patriotyczny charakter tej walki, jednocześnie kładąc nacisk na rozstrzygającą rolę Związku Sowieckiego w całej sprawie. Oczywiście, nic nie mogło mi być bardziej obce, jak myśl o negowaniu rozstrzygającej roli partii sowieckiej w światowym komunizmie, albo Czerwonej Armii w wojnie przeciw Hitlerowi. Lecz na mej rodzinnej ziemi, w istniejących warunkach, komuniści jugosłowiańscy oczywiście toczyli wojnę niezależną od chwilowych zwycięstw i klęsk Czerwonej Armii, co więcej, wojnę która jednocześnie przeobrażała polityczną i społeczną strukturę kraju. Zarówno na zewnątrz jak i na wewnątrz, rewolucja jugosłowiańska wykroczyła poza potrzeby i wymogi sowieckiej

polityki zagranicznej i tym sobie tłumaczyłem przeszkody i brak zrozumienia, na które napotykałem.

Najdziwniejszy z tego wszystkiego był fakt, że ci, którzy najlepiej spośród wszystkich winni byli to rozumieć, milczeli pokornie i udawali, że nie rozumieją. Miałem się dopiero nauczyć, że w Moskwie należało czekać z dyskusjami, a zwłaszcza z określeniem stanowiska politycznego, aż wypowie się Stalin, a przynajmniej Mołotow. Odnosiło się to nawet do tak wybitnych osób, jak byli sekretarze Kominternu, Manuilski i Dimitrow.

Tito i Kardel, a także i inni komuniści jugosłowiańscy, którzy bywali w Moskwie, relacjonowali, że Manuilski był szczególnie życzliwy dla Jugosłowian. Możliwe, że wysuwno to przeciw niemu podczas czystek lat 1936-1937, w których niemal cała grupa komunistów jugosłowiańskich została zlikwidowana. Teraz jednak, po powstaniu jugosłowiańskim przeciw hitlerowcom, można to było wziąć za dalekowzroczność. W każdym razie, do swego entuzjazmu dla walki Jugosłowian dodawał on pewną dozę osobistej dumy, aczkolwiek nie znał nikogo spośród nowych przywódców jugosłowiańskich, z wyjątkiem chyba Tity i to tylko bardzo pobieżnie. Nasze spotkanie z nim miało miejsce wieczorem. Obecny był również G.F. Aleksandrow, znany filozof sowiecki i — co ważniejsze — szef wydziału agitacji i propagandy w Komitecie Centralnym.

Aleksandrow nie pozostawił na mnie żadnego określonego wrażenia: Jego główną cechą była nijakość, a raczej bezbarwność. Był to niski, krępy łysielec, którego bladość cery i otyłość wskazywały, że nigdy nie wychylił nosa poza swoje biuro. Z wyjątkiem kilku konwencjonalnych uwag i łaskawych uśmiechów, nie powiedział ani słowa na temat charakteru i zasięgu komunistycznego powstania jugosłowiańskiego, mimo że w rozmowie, pozornie od niechcenia, poruszyłem te właśnie momenty. Widocznie Komitet Centralny nie określił jeszcze swego stanowiska; toteż w oświeceniu propagandy sowieckiej pozostawało ono po prostu walką przeciw najeźdźcom, bez żadnych rzeczywistych konsekwencji dla wewnętrznego stanu lub dla stosunków międzynarodowych Jugosławii.

Także i Manuilski nie zajmował określonego stanowiska. Okazywał on jednak żywe, emocjonalne zainteresowanie. Słyszałem już o jego darze oratorskim. Można było

dostrzec ten dar nawet w jego artykułach. Błyszczał ogładą i żywością wypowiedzi. Był to drobny i już zgarbiony starszek, brunet, o przyciętym wąsie. Mówił sepleniąc, niemal uprzejmie i — co mnie wówczas zdumiewało — bez wielkiej energii. Taki sam był też w innych sprawach — uważny, przystępny do granic jowialności i kulturalny w obejściu.

Opisując rozwój powstania w Jugosławii, wykazywałem, że na inny sposób powstawała tam władza w gruncie rzeczy identyczna z władzą sowiecką. Szczególnie podkreślałem nową rewolucyjną rolę chłopstwa; w praktyce sprowadzałem powstanie w Jugosławii do czegoś pośredniego pomiędzy chłopską rebelią a komunistyczną awangardą. Chociaż jednak ani on ani Aleksandrow nie sprzeciwiali się temu co mówiłem, żaden z nich nie dawał do poznania, że zgadza się z moimi poglądami. Aczkolwiek sam uważałem za rzecz naturalną, iż rola Stalina była we wszystkim rozstrzygająca, to jednak spodziewałem się po Manuilskim większej samodzielności i inicjatywy w słowie i czynie. Opuszczałem nasze zebranie pod wrażeniem żywotności jego osoby i wzruszony jego entuzjazmem dla walki w Jugosławii, lecz przekonany, że Manuilski nie odgrywa żadnej istotnej roli w wytyczaniu polityki Moskwy, nawet jeśli chodzi o Jugosławię.

Gdy mówił o Stalinie, usiłował osłonić skrajne pochlebstwa „naukowymi” i „marksistowskimi” formułami. Ten sposób wyrażania się o Stalinie przedstawiał się mniej więcej następująco: „Wiedziecie, to po prostu nie do pojęcia, by jedna osoba mogła odgrywać tak rozstrzygającą rolę w zwrotnym momencie wojny. I że tyle talentów może się łączyć w jednej osobie — męża stanu, myśliciela i żołnierza!”.

Moje spostrzeżenia co do niewielkiego znaczenia Manuilskiego znalazły później okrutne potwierdzenie. Został zamianowany ministrem spraw zagranicznych Ukrainy (z urodzenia był ukraińskim Żydem), co oznaczało ostateczne odcięcie go od jakiejkolwiek konkretnej działalności politycznej. To prawda, jako sekretarz Kominternu był poślusznym narzędziem Stalina i to tym bardziej, że jego przeszłość nie była całkowicie bolszewicka; należał do grupy tak zwanych *mieżrajońców*, pod przewodnictwem Trockie-

go, którzy przyłączyli się do bolszewików dopiero w przede dniu rewolucji 1917 roku. Widziałem go w roku 1949 w Narodach Zjednoczonych. Występował tam w imieniu Ukrainy przeciw „imperialistom” i „faszystowskiej klice Tity”. Z jego daru oratorskiego pozostała tylko hałaśliwość, a z jego bystrości umysłu tylko frazeologia. Był to już stracony, postarzały człowieczek, po którym ginął niemal wszelki ślad w miarę jak staczał się w sowieckiej hierarchii.

Inaczej miała się sprawa z Dimitrowem. Spotkałem się z nim trzy razy w czasie mego pobytu — dwa razy w szpitalu dla dostojników sowieckich, po raz trzeci w jego willi pod Moskwą. Za każdym razem uderzał mnie w nim wygląd chorego człowieka. Oddech miał astmatyczny, cerę chorobliwie czerwoną i bladą, wokół uszu zaschłe plamy, jak z egzemy, włosy tak rzadkie, że odsłaniały jego wyschłą żółtą czaszkę. Lecz myśli jego były szybkie i świeże, w całkowitej sprzeczności z powolnymi i zmęczonymi ruchami. Ten przedwcześnie postarzały, niemal złamany człowiek wciąż tryskał potężną świadomą energią i krzepą. Jego rysy też o tym świadczyły, zwłaszcza bystry wyraz wypuklistych siwych oczu i drapieżne wysunięcie nosa i szczęki. Wprawdzie nie ujawniał każdej swej myśli, mimo to rozmawiał szczerze i pewnie. Nie można powiedzieć, że nie rozumiał sytuacji w Jugosławii, chociaż on także — z uwagi na stosunki pomiędzy ZSSR a Zachodem — uważał stwierdzenie jej faktycznie komunistycznego charakteru za przedwczesne. Oczywiście i ja sądziłem, że nasz główny wysiłek propagandowy winien podkreślać walkę przeciw najeźdźcy, co w konsekwencji oznaczało nieakcentowanie jej komunistycznego charakteru. Największe jednak miało dla mnie znaczenie, iż przywódcy sowieccy, a także Dimitrow, rozumieją — przynajmniej w odniesieniu do Jugosławii — bezsens nalegania na koalicję komunistów ze stronnictwami burżuazyjnymi, tym bardziej, że wojna i wojna domowa wykazały już, iż jedyną siłą polityczną jest partia komunistyczna. Ten mój pogląd równał się nieuznawaniu emigracyjnego jugosłowiańskiego rządu królewskiego oraz faktycznie samej monarchii.

W ciągu naszego pierwszego spotkania opisałem Dimitrowowi rozwój wydarzeń i sytuację w Jugosławii. Przyznał wspaniałomyślnie, że nie oczekiwał, by partia jugosłowiań-

ska okazać się miała najbardziej bojową i pełną inicjatywy; pokładał wielkie nadzieje w partii francuskiej. Przypomniał, jak Tito opuszczając Moskwę z końcem 1939 roku poprzysiągł, iż partia jugosłowiańska zmyje z siebie plamę różnych frakcjonistów i że okaże się godna swej nazwy, na co Dimitrow radził mu nie zaklinać się, lecz postępować mądrze i stanowczo. W dalszym ciągu opowiadał: „Wiedzie, były pewne wahania, gdy doszło do wyznaczenia sekretarza partii jugosłowiańskiej, ale ja byłem za Walterem (był to ówczesny pseudonim partyjny Josipa Broza; później przybrał nazwisko Tity). Był robotnikiem i wydawał mi się człowiekiem solidnym i poważnym. Cieszę się, że się nie pomyliłem”.

Dimitrow zauważył, niemal usprawiedliwiając się, że rząd sowiecki nie miał możliwości dopomożenia partyzantom jugosłowiańskim w godzinie ich największej potrzeby. On sam osobiście zainteresował tym Stalina. To była prawda: już w latach 1941-1942 piloci sowieccy usiłowali dotrzeć do jugosłowiańskich baz partyzanckich; kilku powracających do kraju emigrantów jugosłowiańskich, którzy z nimi lecieli, zamarzło na śmierć.

Dimitrow przypomniał także nasze rokowania z Niemcami w sprawie wymiany jeńców: „Obawialiśmy się o was, ale na szczęście wszystko poszło dobrze”.

Nie reagowałem na to, nie zamierzałem też dodawać niczego do jego własnych słów. On także nie nalegał na szczegóły. Nie groziło jednak, że powie coś, albo postawi zapytanie nie na miejscu; w polityce szybko zapomina się o wszystkim, co się dobrze kończy.

Faktycznie Dimitrow nie nalegał na nic; Komintern był już w rzeczywistości rozwiązany, a jego jedynym zadaniem było teraz gromadzenie informacji o partiach komunistycznych i udzielanie rad sowieckiemu rządowi i partii.

Powiedział mi, jak powstała myśl o rozwiązaniu Kominternu. Było to w okresie aneksji państw bałtyckich przez Związek Sowiecki. Już wtedy widoczne było, że główną siłą w rozpowszechnianiu komunizmu jest Związek Sowiecki, a przeto wszystkie inne siły winny się skupić bezpośrednio wokół niego. Samo rozwiązanie zostało odłożone z powodu sytuacji międzynarodowej, aby uniknąć wrażenia, iż nastąpiło pod naciskiem Niemców, z którymi stosunki nie były w tym czasie złe.

Dimitrow cieszył się rzadkimi względami Stalina, i — co może mniej ważne — był bezspornym przywódcą bułgarskiego ruchu komunistycznego. Dwa późniejsze spotkania z Dimitrowem potwierdziły to. Na pierwszym opisałem członkom bułgarskiego Komitetu Centralnego stosunki w Jugosławii, na drugim mowa była o ewentualnej współpracy bułgarsko-jugosłowiańskiej i o walce w Bułgarii.

W spotkaniu z bułgarskim Komitetem Centralnym oprócz Dimitrowa udział brali Kołarow, Czerwenkow i inni. Czerwenkow przywitał mnie z okazji mej pierwszej wizyty, ale nie pozostał do końca, a ja go wziąłem za osobistego sekretarza Dimitrowa. Również na tym drugim spotkaniu pozostał w cieniu — milczący i nie narzucający się, chociaż później miałem nabrać o nim innego wyobrażenia. Dowiedziałem się już od Włahowicza i innych, że Czerwenkow jest szwagrem Dimitrowa i że miał być aresztowany w czasie czystek („exposé” szkoły politycznej, w której był instruktorem, zostało już ogłoszone) lecz schronił się u Dimitrowa. Dimitrow interweniował w NKWD i wszystko uporządkował.

Czystki były szczególnie ciężkie dla komunistycznych emigrantów, owych członków nielegalnych partii, którzy poza Sowietami nie mieli gdzie się schronić. Na szczęście dla bułgarskich emigrantów, Dimitrow był sekretarzem Kominternu i posiadał wielki autorytet. Ocalił on wielu spośród nich. Nie było nikogo, kto by mógł osłonić Jugosłowian; jeden drugiemu kopał grób w wyścigu do władzy w partii i w gorliwości, by udowodnić wierność dla Stalina i leninizmu.

Starość Kołarowa rzucała się już w oczy; przekroczył siedemdziesiątkę i — co więcej — był politycznie nieczynny od wielu lat. Był on swoistą relikwią z burzliwych początków partii bułgarskiej. Należał do *tiesnych* (dosłownie, „wąskich”), lewego skrzydła Bułgarskiej Partii Socjalistycznej, z której później rozwinęła się partia komunistyczna. W roku 1923 komuniści bułgarscy stawili zbrojny opór klice wojskowej generała Cankowa, która dopiero co dokonała zamachu stanu i zamordowała chłopskiego przywódcę Aleksandra Stambolijskiego. Kołarow miał głowę ciężką, bardziej turecką niż słowiańską, o rzeźbionych rysach, silnie zarysowanym nosie, zmysłowych wargach, lecz myśli z niej od dawna wywietrzały. Mój opis walki w Jugosławii, przed-

stawiony Kołarowowi, nie mógł być tylko analizą, lecz był także straszliwym obrazem ruin i masakr. Z jakich dziesięciu tysięcy przedwojennych członków partii pozostawało jeszcze przy życiu może dwa tysiące, nasze straty w żołnierzach i ludności cywilnej oceniałem na około miliona dwustu tysięcy. Wszystko, co Kołarow uznał za właściwe powiedzieć po moim opowiadaniu, mieściło się w jednym zapytaniu: „Czy waszym zdaniem język, którym mówią w Macedonii, jest bliższy bułgarskiego czy serbskiego?”.

Jugosłowiańskie kierownictwo komunistyczne miało już poważne spory z Komitetem Centralnym w Bułgarii, który uważał, iż z mocy bułgarskiej okupacji jugosłowiańskiej Macedonii winno mu przypaść organizowanie jugosłowiańskiej partii komunistycznej w Macedonii. Zatarg ostatecznie zamknął Komintern, który zaaprobował pogląd jugosłowiański, ale dopiero po ataku niemieckim na ZSSR. Tym niemniej tarcia z powodu Macedonii, jak również z powodu spraw dotyczących powstania partyzanckiego przeciw okupantom bułgarskim, trwały nadal i pogarszały się w miarę, jak zbliżała się nieuchronna godzina klęski Niemiec, a razem z nimi także i Bułgarii. Również i Włahowicz zauważył w Moskwie roszczenia komunistów bułgarskich do jugosłowiańskiej Macedonii. Prawdę mówiąc, Dimitrow był pod tym względem raczej odmiennego zdania: najważniejsza dla niego była sprawa zbliżenia bułgarsko-jugosłowiańskiego. Nie sądzę jednak, by nawet on wyznawał pogląd, iż Macedończycy stanowią odrębną narodowość, pomimo faktu, iż matka jego była Macedonką i że jego stosunek do Macedończyków nacechowany był sentymentalizmem.

Być może okazałem zbyt wiele goryczy, gdy odpowiedziałem Kołarowowi: „Nie wiem, czy język macedoński jest bliższy bułgarskiemu czy serbskiemu, lecz Macedończycy nie są Bułgarami, a Macedonia nie jest bułgarska”. Dimitrowowi nie podobało się to. Poczerwieniał i machnął ręką: „To nieważne!” i zaczął mówić o czymś innym.

Zapomniałem kto brał udział w trzecim spotkaniu z Dimitrowem, lecz na pewno był na nim Czerwenkow. Spotkanie miało miejsce w przeddzień mego powrotu do Jugosławii, z początkiem czerwca 1944 roku. Miało być poświęcone współpracy pomiędzy komunistami jugosłowiańskimi i bułgarskimi. Nie warto jednak było tego dyskusjo-

wać, gdyż Bułgarzy w owym czasie nie mieli faktycznie żadnych oddziałów partyzanckich.

Nalegałem na przystąpienie do operacji wojskowych i utworzenie oddziałów partyzanckich w Bułgarii; podkreśliłem, że wyczekiwanie na bunt w królewskiej armii bułgarskiej jest złudzeniem. Opierałem się tu na doświadczeniu jugosłowiańskim: z dawnej armii jugosłowiańskiej partyzanci dostali tylko nielicznych oficerów; partia komunistyczna musiała tworzyć armię złożoną z małych jednostek w toku bardzo uporczywych walk. Dimitrow również dzielił te złudzenia, chociaż zgadzał się, że należy czynnie przystąpić do tworzenia oddziałów partyzanckich.

Oczywiste było, że wie on o czymś, o czym ja nie wiem. Gdy podkreślałem, że nawet w Jugosławii, gdzie okupacja zniszczyła dawny aparat państwowy, trzeba było dość długiego czasu, by dojść do porozumienia z jego szczątkami, przerwał: „W ciągu trzech lub czterech miesięcy w Bułgarii tak czy inaczej dojdzie do rewolucji; Czerwona Armia stanie wkrótce na jej granicach”.

Chociaż Bułgaria nie była w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, było dla mnie jasne, że Dimitrow uważał Czerwoną Armię za czynnik rozstrzygający. Wprawdzie nie stwierdzał kategorycznie, że Czerwona Armia wejdzie do Bułgarii, lecz było jasne, że już wtedy wiedział, iż to nastąpi i dał mi to do poznania. Wobec stanowiska Dimitrowa, moje naleganie na partyzanckie operacje traciło wszelkie znaczenie i sens. Rozmowa zeszła na wymianę poglądów i braterskich pozdrowień dla Tity i bojowników jugosłowiańskich.

Warto zanotować stosunek Dimitrowa do Stalina. I on mówił o nim z podziwem i szacunkiem, lecz bez żadnych rzucających się w oczy pochlebstw lub uniżoności. Jego stosunek do Stalina był najwidoczniej stosunkiem rewolucjonisty, który karnie podporządkowywał się swemu przywódcy, lecz myślał samodzielnie. Podkreślał on zwłaszcza rolę Stalina w wojnie.

„Gdy Niemcy stali pod murami Moskwy — mówił — nastąpiła powszechna niepewność i zamieszanie. Rząd sowiecki wycofał się do Kujbyszewa. Lecz Stalin pozostał w Moskwie. Byłem z nim podówczas, na Kremlu. Zabierano archiwum z Kremla. Zaproponowałem Stalinowi wystosowanie przez Komintern odezwy do żołnierzy niemieckich.

Zgodził się, chociaż był zdania, że nic z tego dobrego nie wyniknie. Wkrótce potem i ja musiałem wyjechać z Moskwy. Stalin nie wyjechał; był zdecydowany jej bronić. W najdramatyczniejszym momencie dokonał przeglądu wojsk na Czerwonym Placu w rocznicę rewolucji październikowej. Dywizje defilujące przed nim szły na front. Nie da się wyrazić słowami, jakie to miało wielkie moralne znaczenie, gdy ludzie dowiedzieli się, że Stalin pozostaje w Moskwie i gdy posłyszeli jego słowa. Przywróciło to im wiarę i podniosło zaufanie; miało to większe znaczenie niż pokaźna armia”.

Przy tej okazji poznałem się z żoną Dimitrowa. Była to Niemka sudecka. Tuszowano ten fakt z powodu powszechnej wściekłości na Niemców, której zwykły Rosjanin ulegał spontanicznie i którą rozumiał łatwiej, niż propagandę antyfaszystowską.

Willa Dimitrowa była urządzona z pełnym smakiem zbytkiem. Było w niej wszystko — z wyjątkiem radości. Jedyne dziecko Dimitrowa nie żyło; w pracowni ojca wisiał portret bladego chłopca. Bojownik mógł niegdyś znosić klęski i radować się zwycięstwami, lecz jako stary człowiek u kresu swych możliwości nie mógł już być szczęśliwy, nie mógł wydobyć się z kręgu milczącej litości, którą spotykał na każdym kroku.

4.

Na kilka miesięcy przed naszym przybyciem Moskwa ogłosiła, że w Związku Sowieckim utworzyła się brygada jugosłowiańska. Nieco wcześniej powstały jednostki polskie, a potem i czeskie. W Jugosławii nie mogliśmy pojąć, skąd wzięła się w Związku Sowieckim tak wielka liczba Jugosłowian, skoro nawet tych kilku znajdujących się tam emigrantów politycznych przeważnie wyginęło w czystkach.

Teraz, w Moskwie, wszystko stało mi się jasne. Rdzeń brygady jugosłowiańskiej tworzyli żołnierze pułku, przysłanego Niemcom na front sowiecki, na znak solidarności, przez chorwackiego quislinga Pawelicza. Lecz armia Pawelicza nie miała tam szczęścia; pułk został rozbity, wzięty

pod Stalingradem do niewoli i po zwyczajowej czystce, przekształcony w jugosłowiańską brygadę antyfaszystowską, z Mesiczem jako komendantem. Tu i tam zebrano kilku jugosłowiańskich emigrantów politycznych i dano im stanowiska polityczne w brygadzie, zaś oficerowie sowieccy — zarówno specjaliści wojskowi, jak i oficerowie z Bezpieczeństwa — wzięli na siebie wyposażenie i nadzór nad żołnierzami.

Początkowo przedstawiciele sowieccy nalegali, by oznaki brygady były identyczne z oznakami królewskiej armii jugosłowiańskiej, lecz napotkawszy na opór Wlahowicza zgodzili się na wprowadzenie oznak Armii Wyzwolenia Ludowego. Niełatwo było wyjednać depeszami zgodę na te oznaki, ale Wlahowicz robił co mógł. Oznaki były wynikiem pójsicia nam na rękę i kompromisu. Na nasze nalegania, także i ta sprawa została ostatecznie załatwiona.

Nie było żadnych innych istotnych problemów dotyczących brygady, z wyjątkiem naszego niezadowolenia z pozostawienia tego samego komendanta. Rosjanie jednak bronili jego stanowiska, mówiąc, że wykazał skruchę i że ma wpływ na żołnierzy. Ja miałem wrażenie, że Mesicz był głęboko zdemoralizowany i że, jak wielu innych, po prostu chciał uchronić się od obozu jenieckiego. On sam był niezadowolony, gdyż jego funkcja w jednostce najoczywiejście równała się zeru. Była to funkcja czysto formalna.

Brygada mieściła się w lesie w pobliżu miasta Kołomy. Żołnierze mieszkali w ziemiankach i ćwiczyli bez względu na straszliwą zimę rosyjską. Początkowo zdumiewała mnie surowa dyscyplina panująca w jednostce. Zachodziła pewna rozpiętość, sprzeczność, pomiędzy celami jakim jednostka miała służyć, a metodą, jaką wpajano w żołnierzy te cele. W naszych jednostkach partyzanckich panowało koleżeństwo i solidarność, kary wymierzano wyłącznie za rabunek i nieposłuszeństwo, tutaj zaś wszystko opierało się na ślepym posłuszeństwie, którego mogliby byli pozazdrościć Prusacy Fryderyka I. Nie udało się nam jednak tego zmienić, z uwagi z jednej strony na nieustępliwych i surowych instruktorów sowieckich, a z drugiej strony na żołnierzy, którzy jeszcze wczoraj walczyli po stronie Niemców. Dokonałiśmy inspekcji, wygłosiliśmy przemówienie, przedyskutowaliśmy powierzchownie problemy i pozostawiliśmy wszystko bez zmiany, kończąc — rzecz jasna — nieuniknioną

uczta z oficerami, którzy spili się jak jeden mąż, wznosząc toasty na cześć Tity i Stalina i ściskając się między sobą w imię braterstwa słowiańskiego.

Jednym z naszych przygodnych obowiązków było sporządzenie pierwszych medali nowej Jugosławii. Spotkaliśmy się tu z całkowitym zrozumieniem, a jeśli medale — zwłaszcza zaś medal na pamiątkę roku 1941 — wypadły źle, to wina była nie tyle po stronie sowieckiej fabryki, ile po stronie naszej skromności i kiepskiej jakości rysunków, przywiezionych przez nas z Jugosławii.

Obce jednostki pozostawały pod nadzorem generała NKWD Żukowa. Szczupły i jasnowłosy, młody jeszcze i bardzo obrotny, Żukow nie był pozbawiony humoru i wyrafinowanego cynizmu — rzadkie zalety, jak na członka tajnej służby. O brygadzie jugosłowiańskiej powiedział mi: „Nie jest ona zła, zważywszy materiał, z którym musimy pracować” I to była prawda. Jeśli później, w Jugosławii, brygada nie odznaczyła się w walkach z Niemcami, należy to przypisać nie tyle bojowym kwalifikacjom żołnierzy, ile nieodpowiedniej organizacji i doświadczeniu, nabytemu w ramach armii, odmiennej od armii sowieckiej i w warunkach działań wojennych, odmiennych od warunków na froncie wschodnim.

Generał Żukow urządził przyjęcie na naszą cześć. Meksykański attaché wojskowy w rozmowie ze mną zaofiarował pomoc, lecz na nieszczęście nie mogliśmy obmyśleć sposobu w jaki mogłaby dotrzeć do naszych wojsk w Jugosławii.

Tuż przed moim odjazdem z Moskwy byłem gościem na obiedzie u generała Żukowa. On i jego żona zajmowali małe dwupokojowe mieszkanie. Wszystko tam było wygodne, lecz skromne, chociaż niemal luksusowe jak na Moskwę, zwłaszcza w czasie wojny. Żukow był świetnym urzędnikiem i — na podstawie doświadczenia — bardziej wierzył w siłę jako środek urzeczywistnienia komunizmu niż w ideologię. Stosunki pomiędzy nami przybierały na poufałości a jednocześnie na rezerwie, gdyż nic nie mogło przekreślić różnic w naszych obyczajach i poglądach. Przyjaźnie polityczne są dobre tylko pod warunkiem, że każdy pozostaje tym czym jest. Nim opuściłem jego mieszkanie, Żukow ofiarował mi oficerski pistolet automatyczny — podarunek skromny, ale stosowny w czasie wojny.

Z drugiej strony, miałem zupełnie odmienne spotkanie z organami sowieckiej tajnej służby. Za pośrednictwem kapitana Kozowskiego złożył mi w CDKA wizytę skromnie ubrany człowieczek, który nie ukrywał, że jest z Bezpieczeństwa Państwowego. Ułożyliśmy spotkanie na dzień następny, w sposób tak konspiracyjny, że — właśnie dlatego, iż przez tyle lat byłem działaczem nielegalnym — uważałem to wszystko za nadmiernie skomplikowane, doprawdy szablone. W pobliskiej ulicy czekał na mnie samochód i po okrężnej przejażdżce przenieśliśmy się do innego wozu tylko po to, by wysiąść na jakiejś ulicy olbrzymiego miasta, skąd przeszliśmy na trzecią ulicę, gdzie ktoś zrzucił nam z okna ogromnego domu czynszowego mały klucz, co nam wreszcie umożliwiło dostanie się do rozległego i zbytkownego apartamentu na trzecim piętrze.

Posiadaczką tego apartamentu (jeśli to była ona) była blondynka o nordyckich rysach i przejrzystych oczach, których żywość podkreślała jej piękność i siłę. Jej olśniewająca uroda nie odgrywała jednak żadnej roli — przynajmniej w tym wypadku. Okazało się, że jest ona ważniejsza od mężczyzny, który mnie tu sprowadził. Ona stawiała pytania, a on notował odpowiedzi. Interesowali się bardziej czołowymi postaciami partii komunistycznej, niż postaciami w innych partiach. Miałem nieprzyjemne wrażenie przesłuchania policyjnego, a jednak wiedziałem, że obowiązkiem moim jako komunisty jest udzielić żądanych informacji. Gdyby jakiś członek Komitetu Centralnego partii sowieckiej wezwał mnie do tego nie zawahałbym się. Lecz na co tym ludziom potrzebne były dane o partii komunistycznej i czołowych komunistach, jeśli ich zadaniem była walka przeciw wrogom Związku Sowieckiego i możliwym prowokatorom w łonie partii komunistycznych? Tym niemniej, odpowiadałem na ich zapytania, unikając jakichkolwiek ścisłych lub ujemnych ocen, a szczególnie jakiegokolwiek wzmianki o tarciach wewnętrznych. Postąpiłem tak zarówno z odrazy moralnej do mówienia czegoś o mych towarzyszach, co by nie było im wiadome, jak i z namiętnej niechęci wewnętrznej do tych, którzy mym zdaniem nie mieli żadnego prawa wdziierać się do mego intymnego świata, do mych poglądów i do mej partii. Moje zakłopotanie niewątpliwie udzieliło się mym gospodarzom, albowiem część urzędowa spotkania nie trwała nawet półtorej godziny, po

czym przekształciło się ono w mniej wymuszoną towarzyską rozmowę przy kawie i ciastkach.

Moje kontakty z ludnością sowiecką były natomiast zarówno liczne jak i bardziej bezpośrednie. W owym czasie w Związku Sowieckim kontakt ludności z cudzoziemcami z krajów sprzymierzonych nie był tak surowo ograniczony.

Budziliśmy zaciekawienie, gdyż była wojna, a my prezentowaliśmy jedyną partię i naród, który wystąpił zbrojnie przeciw Hitlerowi. Pisarze przychodzili do nas po nową inspirację, producenci filmowi po interesujące opowieści, dziennikarze po artykuły i informacje, a młodzi chłopcy i dziewczęta chcieli naszej pomocy w przerzuceniu ich drogą lotniczą jako ochotników do Jugosławii.

Prawda, ich najbardziej autorytatywny dziennik, prosiła mnie o artykuł o walce w Jugosławii, a *Nowoje Wremia* o artykuł o Ticie. W obu wypadkach napotkałem na trudności w zaadiustowaniu artykułów do druku. *Prawda* wyrzuciła niemal wszystko, co dotyczyło charakteru walki i jej politycznych następstw. Przerabianie artykułów celem dostosowania ich do linii partii było częścią naszej procedury partyjnej. Stosowano je jednak tylko wtedy, gdy chodziło o wielkie odchylenia lub kwestie drażliwe. Natomiast *Prawda* wyrzuciła wszystko, co dotyczyło samej istoty naszej walki — nowego reżymu i przeobrażeń społecznych. Posunęła się nawet tak daleko, że poprawiła mój styl, skreślając każdy choć trochę nieszablonowy zwrot, skracając zdania i usuwając ozdoby stylistyczne. Artykuł wyszedł szary i bez wyrazu. Po utarczce z jednym z redaktorów, zgodziłem się na okaleczenia; nie miało sensu wywoływać sporu i lepiej było opublikować artykuł w takiej formie, niż wcale.

Sprawa z *Nowoje Wremia* doprowadziła do jeszcze poważniejszych kłopotów. Okastrowali tam mój styl i moje pomysły w nieco mniej drastyczny sposób, ale rozcieńczyli lub skreślili w praktyce wszystko, co potwierdzało oryginalność i nadzwyczajne znaczenie osoby Tity. W czasie mej pierwszej konferencji z jednym z redaktorów *Nowoje Wremia* zgodziłem się na pewne nieistotne zmiany. Dopiero w czasie drugiej konferencji, gdy stało się jasne, że w ZSSR nie wolno słać nikogo poza Stalinem i gdy redaktor otwarcie przyznał to mówiąc: „To jest nieporęczne z uwagi na towarzysza Stalina; tak to tutaj bywa” — zgodziłem się

na inne zmiany, tym bardziej, że artykuł zachował swój koloryt i istotną treść.

Czołowa rola Stalina było dla mnie i dla innych komunistów jugosłowiańskich bezsporna. Tym niemniej zagadką było dla mnie, dlaczego inni przywódcy komunistyczni, w tym wypadku Tito, nie mogliby być wysławiani, jeśli na to zasługują z komunistycznego punktu widzenia.

Warto zaznaczyć, że Tito sam czuł się bardzo pochlebiony artykułem i że — o ile mi wiadomo — prasa sowiecka nigdy jeszcze nie opublikowała tak wysokiej pochwały jakiegokolwiek innej żyjącej osoby.

Należy to tłumaczyć faktem, iż sowiecka opinia publiczna — to jest opinia partii, jako że żadna inna opinia nie istnieje — była rozentuzjasmowana walką jugosłowiańską, a przy tym w toku wojny nastroje społeczeństwa sowieckiego zmieniły się.

Gdy patrzę wstecz, mogę powiedzieć, że w ZSSR spontanicznie szerzyło się przekonanie, iż teraz, po wojnie, która wykazała poświęcenie narodu sowieckiego dla ojczystego kraju i dla podstawowych osiągnięć rewolucji, nie będzie więcej powodu do restrykcji politycznych i do ideologicznych monopolów, utrzymywanych przez małe grupy przywódców, a zwłaszcza przez jednego przywódcę. Świat zmienił się w oczach sowieckiego narodu. Oczywiście było, że ZSSR nie będzie jedynym krajem socjalistycznym i że pojawili się nowi rewolucyjni przywódcy i trybuni.

Takie nastroje i poglądy nie przeszkadzały ówczesnym przywódcom sowieckim; przeciwnie, ponieważ przyczyniały się one do wysiłku wojennego, sami przywódcy je podsyćcali. Ostatecznie Tito, a raczej walka Jugosłowian przynosiła na Bałkanach i w Europie środkowej zmiany, które nie osłabiały pozycji Związku Sowieckiego, lecz ją w gruncie rzeczy wzmacniały. Należało więc popierać Jugosłowian i pomagać im.

Było w tym jednak jeszcze i coś więcej. Chociaż sprzymierzony z demokracjami zachodnimi, system sowiecki, a raczej komuniści sowieccy czuli się osamotnieni w walce. Walczyli o ocalenie swego własnego bytu i wyłącznie o swój sposób życia. Wobec braku drugiego frontu, to jest wielkich bitew na Zachodzie w czasie decydującym o losie narodu rosyjskiego, nawet prosty człowiek i zwykły żołnierz czuł

się osamotniony. Powstanie jugosłowiańskie podnosiło morale przywódców i narodu.

Miłość i poważanie z jakimi spotykałem się wszędzie, zwłaszcza zaś w Czerwonej Armii, wzruszały mnie zarówno jako komunistę jak i Jugosłowianina. Z czystym sumieniem na wystawie zdobycznej broni niemieckiej wpisałem do książki gości: „Jestem dumny, że nie ma tu broni z Jugosławii!” — albowiem była tam broń z całej Europy.

Zaproponowano nam odwiedzenie frontu południowo-zachodniego — drugiego frontu ukraińskiego — pozostającego pod dowództwem marszałka I.S. Koniewa. Udaliliśmy się samolotem do Humania, małego miasteczka na Ukrainie — okaleczonego pustkowia, jakie pozostawiły po sobie wojna i bezgraniczna ludzka nienawiść.

Miejscowy sowiet urządził kolację i spotkanie z lokalną starszyzną. Kolacji, odbywającej się w zaniedbanym, zniszczonym budynku brak było wesołego nastroju. Biskup Humania i sekretarz partyjny mimo obecności cudzoziemców nie potrafili ukryć, że się wzajemnie nie znoszą, chociaż obaj, każdy na swój sposób, walczyli przeciw Niemcom.

Dowiedziałem się uprzednio od dygnitarzy sowieckich, że natychmiast po wybuchu wojny patriarcha rosyjski, nie pytając rządu, zaczął rozpowszechniać powielane encykliki przeciw najeźdźcom niemieckim. Spotkały się one z odezwe, wychodzącym daleko poza niższy kler. Odezwy te były atrakcyjne i dlatego że wśród monotonii propagandy sowieckiej wyróżniały się świeżością dawnego i religijnego patriotyzmu. Rząd sowiecki dostosował się szybko i zaczął szukać poparcia Kościoła, mimo iż w dalszym ciągu uważał go za pozostałość starego ładu. Wśród zmiennych losów wojny religia odżyła i szerzyła się. Szef misji sowieckiej w Jugosławii, generał Korniejew opowiadał, że wielu ludzi — i to na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach — uważało nawrót do prawosławia w chwili śmiertelnego zagrożenia przez Niemcy za doskonały ideologiczny czynnik mobilizacyjny. Tłumaczył: „Ratowalibyśmy Rosję nawet poprzez prawosławie, gdyby to było nieuniknione!”.

Dzisiaj brzmi to niewiarygodnie, lecz tylko dla tych którzy nie znają ogromu ciosów, jakie spadły na naród rosyjski, dla tych którzy nie rozumieją, że każda społeczność ludzka nieuchronnie przyjmuje i rozwija idee, najbar-

dziej w danej chwili odpowiadające jej potrzebom. Chociaż pijaczyna, generał Korniejew nie był głupi; był on głęboko oddany ustrojowi sowieckiemu i komunizmowi. Komuś, kto tak jak ja wyrósł wraz z ruchem rewolucyjnym i kto musiał w ten sposób walczyć o przetrwanie, by nie naruszać czystości ideologicznej, hipotezy Korniejewa wydawały się absurdalne.

Wcale jednak nie zdziwiłem się — tak dalece wzrósł rosyjski patriotyzm, żeby nie powiedzieć nacjonalizm — gdy biskup Humania wzniósł toast na cześć Stalina jako „zjednoczyciela ziem rosyjskich”. Stalin rozumiał intuicyjnie, że jego rząd i jego ustrój społeczny nie mogą oprzeć się ciósom armii niemieckiej bez odwołania się do odwiecznych aspiracji i poczucia moralnego narodu rosyjskiego.

Sekretarz humanńskiego sowietu pałał niechęcią do biskupa za umiejętny i dyskretny nacisk, jaki kładł na rolę Kościoła, a jeszcze bardziej do ludności za jej bierną postawę. Jednostka partyzancka, którą dowodził, była liczebnie tak słaba, że ledwie mogła dać sobie rady z germanofilską żandarmerią ukraińską.

I doprawdy, nie można było ukryć biernego stosunku Ukraińców do wojny i do zwycięstw sowieckich. Ludność zachowywała się z posępną powściągliwością i nie zwracała na nas uwagi. Chociaż oficerowie, z którymi kontaktowaliśmy się, tuszowali lub wybielali zachowanie się Ukraińców, nasz rosyjski szofer przeklinał ich do siódmego pokolenia za to, że kiepsko walczyli i że Rosjanie musieli ich teraz oswobadzać.

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę przez ukraińskie wiosenne roztopy śladami zwycięskiej Czerwonej Armii. Zniszczony, rozbity w drzazgi sprzęt niemiecki, który tak często napotykalismy, był dodatkową ilustracją sprawności i siły Czerwonej Armii, a już najbardziej podziwialiśmy krzepkość i samozaparcie żołnierza rosyjskiego, który potrafił całymi dniami i tygodniami stać po pas w błocie, bez chleba i bez snu, pod huraganem ognia i stali rozpaczliwych ataków niemieckich.

Nawet po otrząśnięciu się ze stronniczego, dogmatycznego i romantycznego entuzjazmu, oceniam wysoko — dziś tak samo jak wtedy — zalety Czerwonej Armii, a zwłaszcza jej rosyjskiego trzonu. To prawda, że sowieckie kadry dowódcze, a w jeszcze większym stopniu żołnierze i podofice-

rowie, otrzymują jednostronne wychowanie polityczne, lecz pod każdym innym względem rozwijają oni inicjatywę wraz z pierwocinami kultury. Dyscyplina jest surowa i bezsporna, jednak nie bezmyślna, lecz zharmonizowana z głównymi celami i zadaniami. Oficerowie sowieccy są nie tylko bardzo sprawni technicznie, ale też tworzą najbardziej utalentowaną i najodważniejszą część inteligencji sowieckiej. Choć opłacani są stosunkowo dobrze, nie stanowią zamkniętej kasty i mimo, że nie wymaga się od nich zbyt wielkiej znajomości marksistowskiej doktryny, to jednak tym więcej wymaga się od nich odwagi i nieustępliwości w boju — na przykład ośrodek dowódcy korpusu w Jassach był o trzy kilometry od niemieckich linii. Stalin przeprowadził radykalne czystki, zwłaszcza w sferach wyższych dowódców. Jednakże przyniosły one mniej szkody niż się to czasem sądzi, gdyż nie wahał się on jednocześnie awansować młodych i utalentowanych żołnierzy; każdy oficer, wierny jemu i jego dążeniom, wiedział, że może liczyć na zaspokojenie swych ambicji. Szybkość i zdecydowanie, z jakimi pośród działań wojennych przeobraził naczelne dowództwo, potwierdziły jego umiejętność przystosowywania się i gotowość otwarcia kariery ludziom utalentowanym. Działał jednocześnie w dwóch kierunkach: wprowadził do armii bezwzględne posłuszeństwo wobec rządu, partii i swej osoby, nie szczędził też niczego, by osiągnąć gotowość militarną, wyższy poziom życia armii i szybkie awanse dla najlepszych.

W Czerwonej Armii posłyszałem po raz pierwszy od pewnego dowódcy armii śmiałą, choć obcą mi podówczas myśl. Wojny — wnioskował on — osiągną swój szczytowy, zawzięty charakter, gdy już komunizm zatriumfuje na całym świecie. Wedle marksistowskich teorii — które dowódcy sowieccy znali równie dobrze jak ja — wojny są wyłącznie produktem walki klas, skoro zaś komunizm zniesie klasy, zniknie też konieczność prowadzenia wojen. Lecz generał ów i wielu rosyjskich żołnierzy — a podobnie i ja sam — w toku najgorszej bitwy, w jakiej kiedykolwiek brałem udział, pojęliśmy także i inne prawdy wynikające z okropności wojny: że walki między ludźmi nabędą cech skrajnej zawziętości dopiero, gdy wszyscy ludzie będą podporządkowani temu samemu systemowi społecznemu, albowiem system taki będzie nie do utrzymania i różne sekty postawią sobie za cel bezwzględne zniszczenie rodzaju ludzkiego w imię jego większej

„szczęśliwości”. Wśród owych oficerów sowieckich, wyszkolonych w marksizmie, myśl ta była przypadkowa i uboczna. Lecz ja o niej nie zapomniałem, nie uważałem też jej wtedy za przypadkową. Jeśli nawet do ich świadomości nie dotarło, iż społeczeństwo, którego bronili, nie jest wolne od głębokich i antagonistycznych różnic, to jednak podświadomie dostrzegali, że chociaż człowiek nie może żyć poza uporządkowanym społeczeństwem i bez uporządkowanych idei, tym niemniej życie jego podlega także innym przemożnym siłom.

Przyzwyczailiśmy się w Związku Sowieckim do najróżniejszych rzeczy. Tym niemniej, jako dzieci partii i rewolucji, które nabyły wiarę w siebie i wiarę w lud drogą ascetycznej czystości, musieliśmy doznać wstrząsu na popijawie, urządzanej dla nas, w przeddzień naszego wyjazdu na front, na kwaterze marszałka Koniewa, w jakiejś besarabskiej wiosce.

Dziewczęta, zbyt urodziwe i zbyt ekstrawagancko wymalowane, by mogły być kelnerkami, wniosły ogromne ilości najwyszukańszych wiktuałów — kawior, wędzone łososie i pstrągi, świeże ogórki i marynowane bakłażany, gotowaną szynkę wędzoną, pieczone prosięta na zimno, gorące pierogi z mięsem i pikantne sery, barszcz, soczyste befsztyki, a wreszcie półmetrowej wysokości ciasta i półmiski z owocami południowymi, pod którymi ugiwały się stoły.

Już poprzednio było widoczne, że oficerowie sowieccy szykują się na ucztę. Wszyscy przybyli nastawieni na obżarstwo i pijaństwo. Jugosłowianie jednak szli jak na wielką próbę; musieli pić, pomimo faktu, że nie zgadzało się to z ich „komunistyczną moralnością”, to jest z obyczajami ich armii i partii. Zachowali się jednak świetnie, zwłaszcza jeśli zważyć, że nie byli przyzwyczajeni do alkoholu. Nakładem wielkiej siły woli i sumienności uniknęli wielu toastów „do samego dna” i nie wylądowali w końcu pod stołem.

Pilem mało i ostrożnie, wymawiając się bólem głowy, który mi rzeczywiście podówczas dokuczał. Nasz generał Terzicz wyglądał tragicznie. Musiał pić chociaż nie chciał, nie umiał bowiem odmówić rosyjskiemu koledze, który wznosił toast na cześć Stalina w sekundę po wypiciu na cześć Tity.

Eskortujący nas oficer wyglądał jeszcze tragiczniej. Był to pułkownik sowieckiego sztabu generalnego, a że był „z tyłów”, więc marszałek i jego generałowie dali mu szkołę,

wyzyskując w pełni swe wyższe rangi. Marszałek Koniew nie zwracał uwagi na to, że pułkownik był słabego zdrowia: wrócił do pracy w sztabie generalnym po odniesieniu rany na froncie. Po prostu rozkazał: „Pułkowniku, wypij sto gramów wódki za pomyślność drugiego frontu ukraińskiego!”. Zapadło milczenie. Wszyscy zwrócili się w stronę pułkownika. Chciałem się za nim wstawić, lecz on wstał, stanął na baczność i wypił. Wkrótce na jego bladym, wysokim czole pojawiły się krople potu. Nie wszyscy jednak pili: ci, co byli na służbie i utrzymywali łączność z frontem, nie pili. Nie pił też sztab na froncie, chyba w chwilach całkowitej przerwy w działaniach. Podobno w czasie kampanii fińskiej Żdanow zaproponował Stalinowi, by wyraził zgodę na wydawanie stu gramów wódki dziennie na głowę. Od tego czasu zwyczaj ten pozostał w Czerwonej Armii z tym, że przed atakiem porcja była podwójna: „Żołnierze czują się bardziej odprężeni!” tłumaczono nam.

Marszałek Koniew też nie pił. Nie miał nad sobą żadnego przełożonego, który by mu dawał rozkazy; ponadto lekarze zabronili mu pić ze względu na chorą wątrobę. Był to wysoki blondyn, pięćdziesięcioletni, o bardzo energicznej kościstej twarzy. Chociaż zachęcał do obżarstwa — trzymał się bowiem oficjalnej „filozofii”, że „żołnierze muszą się co jakiś czas rozerwać” — sam nie brał w tym udziału, panował zarówno nad sobą jak i nad swymi wojskami na froncie.

Pisarz Borys Polewoj towarzyszył nam na front jako korespondent *Prawdy*. Entuzjazmował się on zbyt łatwo bohaterstwem i cnotami swego kraju. Opowiedział nam anegdotę o nadludzkiej przytomności umysłu i odwadze Koniewa. Znalazłszy się na wysuniętej placówce pod ogniem moździerzy niemieckich, Koniew udawał, że patrzy przez lornetę, a w rzeczywistości obserwował spod oka zachowanie się swych oficerów. Każdy z nich wiedział, że byłby z miejsca zdegradowany, gdyby okazał jakiekolwiek wahanie i nikt nie ośmielił się zwrócić mu uwagi na niebezpieczeństwo, zagrażające jego własnemu życiu. Czas płynął, padali zabici i ranni, ale on opuścił placówkę dopiero po dokonaniu inspekcji. Przy innej okazji odłamek szrapnela ranił go w nogę. Zdjęto mu but i założono opatrunek, lecz z posterunku nie zszedł.

Koniew był jednym z nowych stalinowskich dowódców czasu wojny. Był on w mniejszym stopniu niż Rokossowski przykładem szybkiego awansu, gdyż jego kariera nie była ani tak nagła ani tak burzliwa, jak tego ostatniego. Jako młody robotnik wstąpił do Czerwonej Armii tuż po rewolucji i stopniowo awansował, stopień po stopniu i szkoła po szkole. Jednak i on zrobił karierę dopiero na polu bitwy, co było typowe dla Czerwonej Armii pod kierownictwem Stalina w drugiej wojnie światowej.

Na ogół milczący, Koniew w kilku słowach wyjaśnił mi przebieg bitwy pod Korsuniem Szewczenkowskim, która właśnie dobiegła końca i którą porównywano w Związku Sowieckim z bitwą stalingradzką. Nie bez radości, naszkicował mi obraz ostatecznej katastrofy niemieckiej: jakieś osiemdziesiąt, jeśli nie sto tysięcy Niemców odmawiających poddania się, zostało zagnanych w wąską przestrzeń, potem czołgi strzaskały im ciężki sprzęt i gniazda karabinów maszynowych, a wreszcie kozacka konnica wykończyła ich do reszty. „Pozwoliliśmy kozakom rąbać jak długo chcieli. Ścinałi ręce nawet tym, co je podnosili na znak poddania się!” — opowiadał marszałek z uśmiechem.

Muszę przyznać, że w owej chwili i ja także cieszyłem się z losu, jaki spotkał Niemców. Przecież i mojemu krajowi hitleryzm, w imię wyższej rasy, przyniósł wojnę pozbawioną wszelkich ludzkich względów. Ale jednak odczuwałem także i przerażenie, że tak być musiało, że nie mogło być inaczej.

Siedząc po prawicy tej niezwyklej osobistości, zapragnąłem wyjaśnić pewne szczególnie interesujące mnie kwestie. Przede wszystkim: Dlaczego Woroszyłow, Budienny i inni wysocy dowódcy, z którymi Związek Sowiecki wszedł do wojny, zostali usunięci ze swych kierowniczych stanowisk?

Koniew odpowiedział: — Woroszyłow jest człowiekiem niewyczerpanej odwagi, lecz — był niezdolny do zrozumienia nowoczesnej wojny. Jego zasługi są niepomierne, lecz — w wojnie trzeba zwyciężyć. W czasie wojny domowej, w której Woroszyłow zabłysnął, Czerwona Armia w praktyce nie miała przeciw sobie ani samolotów ani czołgów, natomiast w tej wojnie właśnie te maszyny odgrywają główną rolę. Budienny nigdy dużo nie umiał i nigdy niczego się nie uczył. Okazał się zupełnie niekompetentny

i pozwalał popełniać okropne błędy. Szaposznikow był i pozostaje technicznym oficerem sztabowym.

— A Stalin? — zapytałem.

Starając się nie okazać zdziwienia, że postawiłem takie pytanie, Koniew odpowiedział po chwili namysłu: — Stalin jest wszechstronnie utalentowany. Potrafi świetnie widzieć wojnę jako całość i to pozwala mu nadawać jej pomyslny kierunek.

Nie powiedział nic więcej, nic co mogłoby brzmieć jak stereotypowa gloryfikacja Stalina. Pominął milczeniem czysto wojskową stronę stalinowskiego przywództwa. Koniew był starym komunistą, bez reszty oddanym rządowi i partii, lecz niewątpliwie miał ustalone poglądy na sprawy wojskowe.

Koniew wręczył nam podarunki: dla Tity swoją własną lornetkę, a dla nas, pistolety. Przechowywałem swój, dopóki mi go nie skonfiskowały władze jugosłowiańskie w czasie aresztowania w roku 1956.

Front obfitował w przykłady osobistego bohaterstwa oraz nieustępliwej zawziętości i inicjatywy prostych żołnierzy. Cała Rosja żyła wolą oporu do ostatniego tchu, wyrzeczeniem i dążeniem do ostatecznego zwycięstwa. W owych dniach Moskwa i my z nią razem zatracaliśmy się po dziecinnemu w salwach witających zwycięstwa, spoza których wзираły pożogi i śmierć, a także gorycz. Niosły one bowiem radość również i jugosłowiańskim bojownikom, uginającym się pod brzemieniem nieszczęść swego kraju. Wydawało się, że nic innego nie istnieje w Związku Sowieckim prócz gigantycznego, wszechogarniającego wysiłku tego bezkresnego kraju i wielomilionowego narodu. I ja także tylko ten naród widziałem; ślepo utożsamiałem patriotyzm narodu rosyjskiego z sowieckim ustrojem, który był moim marzeniem i moją walką.

5.

Gdzieś około piątej po południu skończyłem swój wykład w Komitecie Wszechsłowiańskim i zacząłem odpowia-

dać na pytania, gdy ktoś szeptem nakazał mi natychmiast skończyć z uwagi na ważną i pilną sprawę. Nie tylko my, Jugosłowianie, ale i dygnitarze sowieccy nadali temu odczytowi większe niż zazwyczaj znaczenie. Zastępcą Mołotowa, A. Łozowski, przedstawił mnie wybranemu audytorium. Najwidoczniej problem jugosłowiański zaogniał się coraz bardziej między sprzymierzeńcami.

Usprawiedliwiłem się, a raczej mnie usprawiedliwiono, po czym wyprowadzono mnie na ulicę i wsadzono razem z generałem Terziczem do dziwnego i niezbyt eleganckiego samochodu. Dopiero w drodze, nieznany pułkownik z Bezpieczeństwa powiadomił nas, że mamy być przyjęci przez Józefa Wisarionowicza Stalina. W owym czasie nasza misja wojskowa przeniesiona została do willi w Serebrennym Borze, na przedmieście Moskwy. Pamiętając o darach dla Stalina, martwiłem się, że jeśli pojedziemy po nie tak daleko, spóźnimy się. Lecz niezawodne Bezpieczeństwo pomyślało i o tym; podarki leżały w wozie obok pułkownika. Wszystko tedy było w porządku, nawet nasze mundury. Od jakichś dziesięciu dni mieliśmy nowe mundury, wykonane w sowieckiej fabryce. Należało więc tylko zachować spokój, słuchać co mówi pułkownik i stawiać mu jak najmniej pytań.

Cóż bardziej podniecającego mogło spotkać komunistę — i to przybywającego z ognia walki i rewolucji? Zostać przyjętym przez Stalina — było największym uznaniem dla bohaterstwa i cierpień naszych partyzanckich bojowców i naszego narodu. W lochach więziennych i na pobojowiskach, w niemniej gwałtownych kryzysach duchowych i starciach z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami komunizmu Stalin był czymś więcej, jak przywódcą w boju. Był wcieleniem idei, przeobrażał się w umysłach komunistów w czystą ideę, a tym samym w coś nieomylnego i nieskalanego. Stalin był zwycięską bitwą dnia dzisiejszego i braterstwem ludzkim jutra. Zdawałem sobie sprawę, że przez przypadek byłem pierwszym jugosłowiańskim komunistą, którego miał przyjąć. Rozsadzała mnie radosna duma, że będę mógł opowiadać o tym spotkaniu moim towarzyszom i walczącym żołnierzom jugosłowiańskim.

Od razu znikło wszystko, co wydawało mi się w Związku Sowieckim niemiłe. Wszelkie nieporozumienia pomiędzy nami a przywódcami sowieckimi straciły na znaczeniu i wa-

dze, jak gdyby ich nigdy nie było. Wszystko co nieprzyjemne ulotniło się wobec wzruszającego ogromu i piękna tego, co mnie spotykało. Jakież znaczenie miał mój osobisty los wobec wielkości toczącej się walki i jakie znaczenie miały nasze nieporozumienia wobec oczywistej nieuchronności urzeczywistnienia naszej idei?

Czytelnik winien wiedzieć, że w owym czasie wierzyłem, iż trockiści, bucharinowcy i inni opozycjoniści w łonie partii byli naprawdę szpiegami i sabotażystami i że tym samym usprawiedliwione były wszelkie drastyczne kroki, podjęte przeciw nim i wszystkim innym, tak zwanym wrogom klasowym. Gdy zauważyłem, że ci, co byli w ZSSR w okresie czystki w połowie trzeciego dziesięciolecia, pomijali pewne rzeczy milczeniem, sądziłem, że chodzi o sprawę bez znaczenia i przesadzone: trzeba było skrwawić zdrową tkankę, by pozbyć się chorej, jak to niegdyś sformułował Dimitrow w rozmowie z Titą. Patrzyłem więc na wszystkie okrucieństwa popełnione przez Stalina dokładnie tak, jak je malowała propaganda — jako na nieuniknione pociągnięcia rewolucyjne, wzmacniające tylko jego postawę i jego historyczną rolę. Jeszcze i dzisiaj nie potrafię powiedzieć, co uczyniłbym, gdybym znał prawdę o procesach i czystkach. Na pewno przeżyłbym poważny kryzys, ale nie jest wykluczone, że pozostałbym w dalszym ciągu komunistą, wyznawcą komunizmu doskonalszego niż istniejący. Jeśli bowiem chodzi o komunizm jako ideę, nie to jest istotne, co się robi, ale dlaczego się robi. Ponadto była to ideologia najbardziej racjonalna i najbardziej upajająca, ideologia wszechogarniająca dla mnie i dla tych wszystkich w tym rozdartym i zrozpaczonym kraju, którzy tak pragnęli przeskoczyć stulecia niewoli i zacofania i przegonić samą rzeczywistość.

Nie miałem czasu na dłuższe rozmyślania, gdyż wóz wkrótce stanął u bram Kremla. Zaraz zajął się nami inny oficer. Jechaliśmy przez zimne i czyste dziedzińce, na których nie było żadnego śladu życia, prócz małych bezlistnych drzewek. Oficer zwrócił naszą uwagę na Car-Puszkę i Car-Kołakoł — te absurdalne symbole Rosji: z armaty nigdy nie strzelano, w dzwon nigdy nie bito. Po lewej stronie stała monumentalna dzwonnica Iwana Groźnego, potem szereg starych armat. Wkrótce znaleźliśmy się naprzeciw wejścia do niskiego i długiego gmachu, takiego, jakie budowano na urzędy i szpitale w połowie dziewiętnastego stulecia.

Tu znowu oczekiwał nas oficer, który wprowadził nas do środka. U wejścia na schody zdjęliśmy płaszcze, przyczesaliśmy się przed lustrem, po czym wprowadzono nas do windy, z której na drugim piętrze weszliśmy do długiego korytarza, wyścielonego czerwonym dywanem.

Na każdym zakręcie jakiś oficer salutował nas z głośnym stuknięciem obcasów. Wszyscy oni byli młodzi, przystojni i sztywni, w niebieskich czapkach Bezpieczeństwa. Zarówno teraz jak i za każdym następnym razem zdumiewała nas czystość tak doskonała, że wydawało się niemożliwe, by pracowali tu i mieszkali ludzie. Najmniejszej skazy na dywanach, najmniejszej plamki na wypolerowanych klamkach u drzwi.

Wprowadzono nas do małego biura, gdzie czekał już generał Żukow. Niski, tłusty i ospowaty stary urzędnik poprosił abyśmy usiedli, sam zaś powoli podniósł się zza stołu i wszedł do sąsiedniego pokoju,

Wszystko działo się ze zdumiewającą szybkością. Urzędnik powrócił wkrótce i powiadomił nas, że możemy wejść. Myślałem, że będę musiał przejść przez dwa lub trzy pokoje, zanim dostanę się do Stalina, lecz gdy tylko otwarłem drzwi i przekroczyłem próg, ujrzałem go wychodzącego z małego sąsiedniego pokoju, przez którego otwarte drzwi widać było ogromny globus. Był tam też Mołotow. Tęgi i blady, w doskonałym granatowym ubraniu europejskiego kroju, stał za długim stołem konferencyjnym.

Stalin spotkał nas na środku pokoju. Podszedłem do niego pierwszy i przedstawiłem się. Potem Terzicz uczynił to samo, recytując wojskowym tonem cały swój tytuł i stukając obcasami, na co nasz gospodarz — to było niemal komiczne — odpowiedział: „Stalin”.

Uścisnęliśmy też sobie ręce z Mołotowem i usiedliśmy za stołem w ten sposób, że Stalin usiadł w górze stołu, Mołotow był po jego prawicy, podczas gdy Terzicz, generał Żukow i ja siedzieliśmy po lewicy.

Pokój nie był duży, raczej długi i pozbawiony wszelkiego luksusu lub ozdób. Nad niezbyt dużym biurkiem w kącie wisała fotografia Lenina, a na ścianie nad stołem konferencyjnym, w jednakowych rzeźbionych ramach drewnianych, portrety Suworowa i Kutuzowa, zupełnie przypominające prowincjalne oleodruki.

Lecz najprostszy wśród tego wszystkiego był gospodarz. Stalin był w mundurze marszałka i w miękkich butach z cholewami, bez żadnych medali z wyjątkiem złotej gwiazdy — orderu Bohatera Związku Sowieckiego, na lewej piersi. W jego postawie nie było nic sztucznego, żadnej pozy. Nie był to ów majestatyczny Stalin z fotografii lub z kroniki filmowej — o sztywnych, obmyślonych ruchach i postawie. Ani przez chwilę nie zachowywał spokoju. Bawił się fajką z białą centką, angielskiej firmy Dunhill, lub kreślił niebieskim ołówkiem koła wokół słów, oznaczających główne tematy dyskusji i w miarę, jak poszczególne części dyskusji dobiegały końca, przekreślał je skośnymi liniami; nieustannie zwracał głowę to w tę to w tamtą stronę, kręcąc się przy tym na krześle.

Byłem zaskoczony: Stalin był bardzo niskiego wzrostu i źle zbudowany. Tułów miał krótki i wąski, natomiast nogi i ręce długie. Jego lewe ramię i bark wydawały się jakby sztywne. Miał bardzo duży brzuch i rzadkie włosy, chociaż nie był kompletnie łysy. Twarz miał białą, o rumianych policzkach. Później dowiedziałem się, że ten koloryt, tak znamienny dla tych co przesiadują długo w biurach, znany był w wysokich kołach sowieckich jako „kremłowska cera”. Zęby miał czarne i nierówne, zwrócone do wewnątrz. Nawet wąs jego nie był gęsty i mocny. Mimo to głowę miał niezłą; z tymi żółtymi oczyma i mieszaniną powagi i szelmostwa miała w sobie coś z ludu, z chłopstwa, z ojca rodziny.

Zdumiał mnie także jego akcent. Można było od razu poznać, że nie był Rosjaninem, tym niemniej miał bogate słownictwo rosyjskie, jego sposób wyrażania był żywy i plastyczny, przeplatany rosyjskimi przysłowiami i powiedzeniami. Później doszedłem do przekonania, że Stalin znał dobrze literaturę rosyjską — chociaż tylko rosyjską — zaś jedyną prawdziwą wiedzę o świecie poza granicami Rosji posiadał w zakresie historii politycznej.

Jedno mnie nie zdziwiło: Stalin miał poczucie humoru — humoru nieokrzesanego, nacechowanego pewnością siebie, ale nie pozbawionego całkowicie subtelności i głębi. Reakcje jego były szybkie, bystre — i ostateczne, co nie znaczy, że nie słyszał swego rozmówcy, lecz oczywiste było, że nie lubi długich wyjaśnień. Szczególny był też jego stosunek do Mołotowa. Najwidoczniej uważał go za bardzo

bliskiego przyjaciela, o czym mogłem się później przekonać. Mołotow był jedynym członkiem Politbiura, do którego Stalin zwracał się poufałym *ty*, co samo w sobie jest znamienne, jeśli zważyć, że u Rosjan forma *wy* jest normalna nawet wśród bardzo bliskich przyjaciół.

Rozmowę rozpoczął Stalin, zapytując nas o nasze wrażenia ze Związku Sowieckiego. Odpowiedziałem: „Jesteśmy zachwyceni!” — na co odparł: — Ale my nie jesteśmy zachwyceni chociaż robimy co możemy, by polepszyć stan rzeczy w Rosji. Wryło mi się w pamięć, że Stalin posługiwał się terminem *Rosja*, a nie Związek Sowiecki, co znaczyło, że nie tylko podsycił nacjonalizm rosyjski, ale i sam się nim przejmował i utożsamiał się z nim.

Nie miałem jednak wtedy czasu na zastanawianie się nad takimi rzeczami, gdyż Stalin przeszedł do stosunków z jugosłowiańskim rządem emigracyjnym, zwracając się do Mołotowa ze słowami: „Czy nie moglibyśmy jakoś nabrać Anglików na uznanie Tity, który sam jeden walczy z Niemcami”?

Mołotow uśmiechnął się — uśmiechem, w którym była ironia i zadowolenie z siebie: „Nie, to jest niemożliwe; oni zdają sobie doskonale sprawę z rozwoju wydarzeń w Jugosławii”.

Byłem zachwycony tym bezpośrednim, trafiającym w sedno rzeczy stylem postępowania, z którym do tej pory nie spotykałem się w oficjalnych kołach sowieckich, a szczególnie w sowieckiej propagandzie. Czułem, że byłem we właściwym miejscu, co więcej, z człowiekiem traktującym realia w familiarny, otwarty sposób. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że Stalin był taki tylko wśród swych własnych ludzi, to jest wśród oddanych mu i popierających jego linię komunistów.

Chociaż Stalin nie przyrzekał uznać Komitetu Narodowego za tymczasowy rząd jugosłowiański, widoczne było że interesował się jego zatwierdzeniem. Zarówno dyskusja jak i jego postawa były takie, że nawet nie podniosłem wprost tej kwestii; widoczne było, iż rząd sowiecki uczyni to natychmiast, gdy tylko uzna warunki za dojrzałe i jeśli rozwój wydarzeń nie przybierze odmiennego obrotu — przez chwilowy kompromis pomiędzy W. Brytanią a ZSSR, a z kolei także pomiędzy Komitetem Narodowym a królewskim rządem jugosłowiańskim.

Tym samym kwestia pozostała niezłatwiona. Trzeba było czekać na rozwiązanie i wypracować je. Stalin jednak wyrównał to, ustosunkowując się znacznie bardziej pozytywnie do kwestii udzielenia pomocy wojskom jugosłowiańskim.

Gdy poprosiłem o dwieście tysięcy dolarów tytułem pożyczki, nazwał to bagatelą, mówiąc że niewiele będziemy mogli zrobić z taką kwotą, że jednak zostanie nam ona przyznana bezzwłocznie. Gdy dodałem, że po oswobodzeniu spłacimy pożyczkę a tak samo wszystkie dostawy broni i innego sprzętu, rozżłościł się szczerze: — Obrażacie mnie. Przelewacie krew i myślicie, że wystawię wam rachunek za broń! Nie jestem handlarzem, nie jesteśmy handlarzami. Walczycie za tę samą sprawę co my. Mamy obowiązek dzielić się z wami wszystkim, co tylko mamy.

Lecz jak może być dostarczona ta pomoc?

Postanowiono prosić sprzymierzeńców zachodnich o zgodę na założenie sowieckiej bazy lotniczej we Włoszech która pomagałaby partyzantom jugosłowiańskim. — Spróbujmy — powiedział Stalin. — Zobaczymy, jakie stanowisko zajmie Zachód i o ile gotów jest pomagać Ticie.

Winienem zaznaczyć, że taka baza — złożona z dziesięciu samolotów transportowych, o ile dobrze pamiętam — została wkrótce założona.

— Lecz niewiele możemy wam pomóc samolotami — mówił Stalin w dalszym ciągu. — Armii nie da się zaopatrywać samolotem, a wy jesteście już armią. Trzeba po temu statków. A my nie mamy statków. Nasza flota czarnomorska jest zniszczona.

Generał Żukow wtrącił się: — Mamy statki na Dalekim Wschodzie. Moglibyśmy przenieść je do naszego portu na Morzu Czarnym i załadować na nie broń i co tylko trzeba.

Stalin przerwał mu brutalnie i kategorycznie. Z powściągliwej i niemal dobronudusznej osoby nagle wyłonił się inny Stalin. — Co sobie wyobrażacie? Czy macie wszystkie klepki w porządku? Na Dalekim Wschodzie toczy się wojna. Ktoś na pewno nie przegapi sposobności zatopienia tych statków. Oczywiście! Statki trzeba nabyć. Ale od kogo? Statków teraz brak. Turcja? Turcy nie mają wielu statków i w żadnym razie nam ich nie sprzedadzą. Egipt? Tak, moglibyśmy nabyć kilka statków od Egiptu. Egipt sprze-

— Egipt ma wszystko na sprzedaż, więc na pewno sprzeda nam statki.

Tak, to był prawdziwy, nie dobierający słów Stalin. Byłem przyzwyczajony do tego w mej własnej partii i sam lubowałem się w tym sposobie bycia, gdy nadchodziła pora powzięcia ostatecznej decyzji.

Generał Żukow szybko i w milczeniu notował decyzje Stalina. Nabycie statków i zaopatrywanie Jugosłowian drogą morską przez sowieckie statki nigdy nie doszło do skutku. Głównym tego powodem był rozwój operacyj na froncie wschodnim — Czerwona Armia wkrótce dotarła do granicy Jugosławii i tym samym mogła już jej nieść pomoc drogą lądową. Podtrzymuję, że w owym czasie Stalin miał stanowczy zamiar dopomagania nam.

Taka była główna treść rozmowy.

Mimochodem Stalin zainteresował się moją opinią o poszczególnych politykach jugosłowiańskich. Zapytał mnie, co myślę o Milanie Gawrilowiczu, przywódcy serbskiej partii agrarnej i pierwszym jugosłowiańskim ambasadorze w Moskwie. Odpowiedziałem: „To chytrus”.

Stalin zauważył, jak gdyby sam do siebie: „Tak, są politycy, którzy sądzą, iż chytrść to w polityce rzecz główna — ale na mnie Gawrilowicz wywarł wrażenie głupca”.

Dodałem: „Nie jest to polityk o szerokich horyzontach, chociaż nie sędzę, by można było powiedzieć, że jest głupi”.

Stalin wypytywał, gdzie król Piotr II znalazł sobie żonę. Gdy powiedziałem mu, że wziął sobie grecką księżniczkę, odparł żartobliwie: — Jakby to było, Wiaczesławie Michajłowiczu, gdybyś ty lub ja poślubił jakąś cudzoziemską księżniczkę? Może by coś dobrego z tego wynikło.

Mołotow zaśmiał się, ale powściągliwie i cicho.

Pod koniec złożyłem Stalinowi nasze dary. Wyglądały teraz szczególnie prymitywnie i nędźnie. On jednak bynajmniej nie okazał lekceważenia. Gdy ujrzał chłopskie sandały, wykrzyknął: *Lapti!* — rosyjskie ich określenie. Jeśli chodzi o karabin, odryglował go i zaryglował, próbował podnieść do góry i zauważył: — Nasz jest lepszy.

Spotkanie trwało około godziny.

Świtało już, gdy opuszczaliśmy Kreml. Towarzyszący nam oficer najwidoczniej zaraził się naszym entuzjazmem. Patrzył na nas radośnie i starał przypodobać się nam każdym słówkiem. Zorza polarna o tej porze roku sięga aż

do Moskwy, wszystko barwiło się fioletem i skrzyło — świat nierealny, piękniejszy, niż ten, w którym żyliśmy.

Jakoś tak to w duszy odczuwałem.

6.

Miałem jednak mieć jeszcze jedno, bardziej znamienne i interesujące spotkanie ze Stalinem. Pamiętam dokładnie, że zdarzyło się to w przeddzień lądowania sprzymierzeńców w Normandii.

Także i tym razem nikt mnie nie uprzedził. Po prostu powiadomiono mnie, że mam udać się na Kreml. Około dziewiątej wieczorem wsadzono mnie do samochodu i zawieziono na miejsce. Nawet w misji nie wiedział nikt, dokąd jadę.

Zabrano mnie do budynku, w którym Stalin przyjmował nas uprzednio, lecz do innych pokoi. Mołotow szykował się właśnie do wyjścia. Wkładając płaszcz i kapelusz powiadomił mnie, że mamy być na kolacji u Stalina.

Mołotow nie jest bardzo rozmowny. W towarzystwie Stalina, jeśli był w dobrym humorze i wśród ludzi podobnie jak on myślących, kontakt był łatwy i bezpośredni. Poza tym Mołotow był bierny, nawet w prywatnych rozmowach. Tym niemniej, w samochodzie zapytał mnie, jakimi językami władam prócz rosyjskiego. Powiedziałem mu, że mówię po francusku. Potem rozmowa zeszła na siłę i organizację Komunistycznej Partii Jugosławii. Podkreślałem, że wojna zastała partię jugosłowiańską jako partię nielegalną i stosunkowo nieliczną — jakieś dziesięć tysięcy członków, lecz świetnie zorganizowaną. Dodałem: „Jak partia bolszewicka w pierwszej wojnie światowej”.

— Mylicie się! — odparł Mołotow. — Pierwsza wojna światowa zastała naszą partię bardzo słabą, organizacyjnie rozbitą, rozproszoną i z niewielką liczbą członków. Pamiętam — mówił dalej — jak z początkiem wojny przybyłem nielegalnie z Piotrogradu do Moskwy w sprawach partyjnych. Nie miałem gdzie przenocować i musiałem zaryzykować zamieszkanie u siostry Lenina! Mołotow wymienił

też imię tej siostry; jeśli dobrze pamiętam, nazywała się Maria Iljiczewna.

Samochód posuwał się w stosunkowo dobrym tempie — około stu kilometrów na godzinę, nie napotykając na żadne przeszkody w drodze. Widocznie policja drogowa poznawała wóz i torowała mu drogę. Wydostawszy się z Moskwy, wyjechaliśmy na szosę wyasfaltowaną, zwaną — jak się później dowiedziałem — szosą rządową, ponieważ tylko wozy rządowe mogły jej używać jeszcze długo po wojnie. Czy tak jest i dzisiaj? Wkrótce natknęliśmy się na szlaban. Oficer siedzący obok kierowcy błysnął przez szybę małą oznaką i straż przepuściła nas bez żadnych formalności. Prawe okno było otwarte. Mołotow widząc, że dokuca mi przeciąg, zaczął podnosić szybę. Dopiero wtedy zauważyłem, że szkło jest bardzo grube; zrozumiałem że jedziemy samochodem opancerzonym. Sądzę, że to był Packard, albowiem Tito otrzymał od rządu sowieckiego taki sam w roku 1945.

Na jakieś dziesięć dni przed tą kolacją Niemcy przeprowadzili z nienacka atak na Naczelne Dowództwo Jugosłowiańskiej Armii Wyzwolenia Ludowego w Drwarze. Tito i misje wojskowe musieli uciekać w góry. Przywódcy jugosłowiańscy byli zmuszeni do podjęcia długich męczących marszów, w których traciło się cenny czas, potrzebny na działalność wojskową i polityczną. Zaostrzył się także problem żywności. Sowiecka misja wojskowa informowała o tym wszystkim Moskwę szczegółowo, podczas gdy nasza misja w Moskwie pozostawała w nieustannym kontakcie z odpowiedzialnymi oficerami sowieckimi, doradzając im, jak dostarczyć pomoc wojskom jugosłowiańskim i Naczelnemu Dowództwu. Samoloty sowieckie latały nawet nocą i zrzucały amunicję oraz żywność, co prawda bez wielkiego powodzenia, jako że zasobniki spadały na wielkim zalesionym obszarze, który trzeba było szybko wyewakuować.

W drodze Mołotow chciał poznać moje zdanie o powstałej w związku z tym sytuacji. Jego zainteresowanie było żywe, lecz beznamietne — chodziło mu bardziej o użyskanie wiernego obrazu.

Przejechaliśmy około trzydziestu kilometrów, skrzyliśmy w lewo na boczną drogę i wkrótce dotarliśmy do małego zagajnika jodłowego. Znowu szlaban, potem krót-

ka jazda i brama. Znaleźliśmy się przed niedużą willą, otoczoną jodłami.

Ledwo stanęliśmy w niewielkim przedsionku, pojawił się Stalin, tym razem w trzewikach i prostej bluzie, zapiętej po szyję, znanej tak dobrze z jego przedwojennych fotografii. W tym stroju wydawał mi się jeszcze niższy, ale też prostszy i całkowicie swobodny. Zaprowadził nas do małej i zdumiewająco pustej pracowni — żadnych książek, żadnych obrazów, same tylko nagie drewniane ściany. Zasiadliśmy wokół małego stołu do pisania i natychmiast zaczął nas wypytywać o wypadki, dotyczące jugosłowiańskiego Naczelnego Dowództwa.

Sam sposób zadawania pytań wykazywał ostry kontrast pomiędzy Stalinem a Mołotowem. U Mołotowa nie tylko jego myśli, ale i proces ich powstawania był nieprzenikniony. Podobnie i jego umysłowość była raczej niezbadana. Stalin natomiast miał temperament żywy, niemal nie znający wytchnienia. Zawsze wypytywał — siebie i innych; i sprzeczał się — z sobą i z innymi. Nie powiem, że Mołotow łatwo tracił panowanie nad sobą, albo że Stalin nie umiał się hamować i udawać; miałem później ujrzeć obu w tych rolach. Lecz Mołotow był niemal zawsze taki sam, niemal niezmienny, bez względu na to, o czym była mowa, podczas gdy Stalin zmieniał się zupełnie w swym własnym, komunistycznym środowisku. Churchill scharakteryzował Mołotowa jako typowego nowoczesnego robota. To jest ściśle. Lecz to jest tylko jedna, zewnętrzna jego strona. Stalin był nie mniej chłodnym kalkulatorem. Właśnie jednak dlatego, że miał bardziej namiętny i wszechstronny charakter, tak wyrównany i przekonujący, że zdawało się, iż nigdy nie udaje, lecz zawsze wiernie odgrywa każdą ze swych ról — był on łatwiejszy do przeniknięcia i dawał większe możliwości. Odnosiło się wrażenie, że Mołotow patrzył na wszystko — nawet na komunizm i jego cele ostateczne — jako na coś względnego, coś, czemu nie tyle winien był, ile musiał podporządkować swój własny los. Jak gdyby nie było dlań nic trwałego, jak gdyby istniała tylko przejściowa i niedoskonała rzeczywistość, przedstawiająca się każdego dnia odmiennie, której musiał ofiarować siebie samego i całe swe życie. Dla Stalina również wszystko było przejściowe. Lecz taki był jego pogląd filozoficzny. Za tą niestałością i w jej łonie ukrywały się pewne wielkie i osta-

teczne ideały — jego ideały, do których mógł się zbliżyć tworząc lub przetwarzając rzeczywistość i składających się na nią żywych ludzi.

Patrząc wstecz wydaje mi się, że ci dwaj — Mołotow ze swym relatywizmem, ze swą potrzebą szczegółowej codziennej rutyny i Stalin, ze swym fanatycznym dogmatyzmem a jednocześnie z szerszymi horyzontami i popędem do szukania dalszych, przyszłych możliwości idealnie uzupełniali się wzajemnie. Mołotow, chociaż bezsilny bez przewodnictwa Stalina, był pod wielu względami Stalinowi nieodzowny. Chociaż obaj nie znali skrupułów w doborze metod, to jednak zdaje mi się, że Stalin dobierał te metody starannie i dostosowywał je do okoliczności, podczas gdy Mołotow patrzył na nie z góry jako na przypadkowe i nieważne. Twierdzę, że nie tylko podjudzał on Stalina do wielu rzeczy, lecz podtrzymywał go także i rozpraszał jego wątpliwości. I chociaż Stalinowi, bardziej obrotnemu i przenikliwemu, przypadła główna rola w przeobrażeniu zacofanej Rosji w nowoczesną przemysłową potęgę imperialną, błędem byłoby nie doceniać roli Mołotowa, zwłaszcza jako faktycznego wykonawcy.

Mołotow nawet fizycznie wydawał się predestynowany do takiej roli: był dokładny, rozważny, spokojny i uparty. Pił więcej niż Stalin, ale jego toasty były krótsze i obliczone na wywołanie konkretnego efektu politycznego. Jego osobiste życie również było nieciekawe, a gdy w rok później spotkałem jego żonę, skromną i miłą kobietę, odniosłem wrażenie, że i każda inna mogła byłaby służyć jego regularnym, nieodzownym funkcjom.

Rozmowa ze Stalinem rozpoczęła się od jego podnieconych pytań co do dalszych losów jugosłowiańskiego Naczelnego Dowództwa i podległych mu oddziałów. „Wymrą z głodu!” wykrzykiwał.

Usiłowałem udowodnić mu, że to się stać nie może.

— A czemuż nie? — ciągnął dalej. — Ileż to razy żołnierzy zmógł głód. Głód jest strasznym wrogiem każdej armii.

Wyjaśniałem mu: „Teren jest taki, że zawsze da się coś znaleźć do jedzenia. Byliśmy w znacznie gorszym położeniu, a przecież głód nas nie zmógł”. Udało mi się uspokoić go i upewnić.

Przeszedł wtedy do możliwości przesłania pomocy. Front sowiecki był wciąż zbyt odległy, by pozwolić myśliwcom na eskortowanie transportów. W pewnym momencie Stalin wybuchnął zarzucając pilotom: „To tchórze — boją się latać za dnia! Tchórze, tchórze!”.

Mołotow, który znał całą sprawę, bronił pilotów: „Nie, to nie są tchórze. Daleko do tego. Po prostu myśliwce nie mają takiego zasięgu i transportowce byłyby zestrzelone przed osiągnięciem celów. Ponadto, ich pojemność jest nieznaczną. Muszą brać z sobą paliwo na drogę powrotną. To jedyna przyczyna, dla której muszą latać nocami i brać mały ładunek”.

Poparłem Mołotowa, bo wiedziałem, że piloci sowieccy zgłosili się na ochotnika do lotów dziennych, bez osłony myśliwców, by przyjść z pomocą swym kolegom — żołnierzom w Jugosławii.

Z drugiej strony całkowicie zgadzałem się ze Stalinem, gdy nalegał, aby Tito — wobec poważnych i skomplikowanych okoliczności i zadań — znalazł sobie bardziej stałą kwaterę i uwolnił się od codziennej troski o bezpieczeństwo. Nie ma żadnej wątpliwości, że Stalin przekazał ten pogląd misji sowieckiej, gdyż właśnie w tym czasie nalegała ona, aby Tito zgodził się na ewakuację do Włoch, a stamtąd na wyspę Vis, gdzie pozostawałby aż do wkroczenia Czerwonej Armii do Jugosławii. Oczywiście Stalin nic nie mówił o tej ewakuacji, lecz taki plan musiał mu przychodzić na myśl.

Sprzymierzeńcy wyrazili już zgodę na utworzenie sowieckiej bazy lotniczej we Włoszech dla pomagania żołnierzom jugosłowiańskim. Stalin podkreślał konieczność natychmiastowego wysłania tam samolotów transportowych i uruchomienia samej bazy.

Widocznie zachęcony moim optymizmem co do ostatecznego wyniku bieżącej ofensywy niemieckiej przeciw Ticie, podjął sprawę naszych stosunków ze sprzymierzeńcami, zwłaszcza z Wielką Brytanią, co stanowiło — jak mi się nawet wtedy wydawało — główny powód spotkania ze mną.

Istotę jego sugestyj stanowiła z jednej strony obawa, byśmy nie „nastraszyli” Anglików — przez co rozumiał, iż winniśmy unikać wszystkiego, co mogłoby w nich wzbu-

dzić podejrzenie, iż w Jugosławii odbywa się rewolucja albo próba objęcia rządów przez komunistów. „Cóż to za pomysł te czerwone gwiazdy na czapkach? Nie środki są ważne, lecz cel, a wy — czerwone gwiazdy! Gwiazdy nie są potrzebne!” — krzyczał zagniewany Stalin.

Nie krył jednak, że jego gniew nie był zbyt wielki. Był to tylko wyrzut. Wyjaśniłem mu, iż porzucenie czerwonych gwiazd jest niepodobieństwem, stały się one tradycją i nabrały pewnego znaczenia dla naszych żołnierzy.

Nie zmieniając zdania, lecz i zbyt nie nalegając, Stalin przeszedł do innego zagadnienia w stosunkach ze sprzymierzeńcami zachodnimi i powiedział: „Może myślicie, że zapomnieliśmy, kim są Anglicy i kim jest Churchill tylko dlatego że jesteśmy ich sprzymierzeńcami. Nic nie jest im miłsze, jak oszukać swych sprzymierzeńców. Podczas pierwszej wojny światowej stale oszukiwali Rosjan i Francuzów. A Churchill? Churchill to taki typ, że jeśli go nie przypilnujesz wyciągnie ci ostatnią kopiejkę z kieszeni. Tak jest, kopiejkę z kieszeni! Kopiejkę z kieszeni! A Roosevelt? Roosevelt jest inny. Wyciąga rękę tylko po grubsze pieniądze. Ale Churchill? Churchill — nawet po kopiejkę”.

Podkreślał wielokrotnie, że powinniśmy strzec się Intelligence Service i angielskiej obłudy, zwłaszcza jeśli chodzi o życie Tity. „To oni zabili generała Sikorskiego w samolocie, a potem zgrabnie zestrzelili samolot — żadnego dowodu, żadnych świadków”.

W toku spotkania Stalin raz po raz powtarzał te ostrzeżenia. Przekazałem je Ticie po moim powrocie. Prawdopodobnie odegrało to pewną rolę, gdyż zdecydował się on 21 września 1944 na konspiracyjną nocną ucieczkę z Vis do okupowanego przez Sowiety terytorium Rumunii.

Stalin przeszedł potem do stosunków z królewskim rządem jugosłowiańskim. Nowym mandatariuszem królewskim był dr Iwan Szubaszicz, który przyrzekł uregulować stosunki z Titą i uznać Armię Wyzwolenia Ludowego jako główną siłę w walce przeciw wojskom okupacyjnym. Stalin przynaglał: „Nie odmawiajcie rozmów z Szubasziczem — pod żadnym pozorem nie wolno wam tego czynić. Nie atakujcie go od razu. Zobaczmy, czego chce. Mówcie z nim. Nie możecie być uznani prosto z mostu. Musi się znaleźć jakieś przejście. Winniście mówić z Szubasziczem i zobaczyć, czy nie da się doprowadzić do kompromisu”.

Naleganie jego, choć zdecydowane, nie było kategoryczne. Przekazałem to Ticie i członkom Komitetu Centralnego. Zapewne odegrało to rolę w znanym porozumieniu Tito — Subaszcich.

Stalin zaprosił nas potem na kolację. W przedsionku zatrzymaliśmy się przed mapą świata, na której Związek Sowiecki oznaczony był czerwonym kolorem, co sprawiało, iż bardziej rzucał się w oczy i wydawał się większy. Stalin wymachiwał ręką nad Związkiem Sowieckim i — nawiązując do tego, co niedawno powiedział przeciw Brytyjczykom i Amerykanom — krzychał: „Oni nigdy nie pogodzą się z myślą, że tak wielka przestrzeń może być czerwona, nigdy, nigdy!”.

Zauważyłem, że na mapie obszar wokół Stalingradu zakreślony był od zachodu niebieskim ołówkiem. Widocznie Stalin zrobił to w toku bitwy stalingradzkiej. Dostrzegł on moje spojrzenie i miałem wrażenie, że sprawiło mu przyjemność, chociaż niczym nie zdradził swych uczuć.

Nie pamiętam z jakiego powodu powiedziałem: „Bez uprzedysławienia, Związek Sowiecki nie mógłby się ocalić i prowadzić takiej wojny”.

Stalin odrzekł: „Właśnie o to pokłóciliśmy się z Trockim i Bucharinem”.

I to było wszystko — tu przed mapą — co kiedykolwiek posłyszałem z ust Stalina o tych jego przeciwnikach: pokłócili się!

W jadalni czekały już dwie czy trzy osoby z wysokich sfer sowieckich. Czekaly stojąc, chociaż nie było tam nikogo z Politbiura prócz Mołotowa. Nie pamiętam kto to był. W każdym razie milczeli i zachowywali się dyskretnie w ciągu całego wieczoru.

W pamiętnikach swych Churchill żywo opisuje zaimprowizowaną kolację ze Stalinem na Kremlu. Lecz tak się w ogóle odbywały kolacje u Stalina.

— W rozległej i niczym nie przyozdobionej, chociaż gustownej jadalni połowa stołu zastawiona była wszelkiego rodzaju żywnością na podgrzanych ciężkich, srebrnych półmiskach, oraz napojami, talerzami i innymi przyborami. Każdy obsługiwał się sam i siadał gdzie chciał wokół wolnej połowy stołu. Stalin nigdy nie siadał u szczytu stołu, natomiast zawsze na tym samym krześle — pierwszym na lewo od szczytu stołu.

Dobór pokarmów i napojów był ogromny — przeważały mięsa i ciężkie trunki. Lecz wszystko poza tym było proste i nieostentacyjne. Służba nie pokazywała się, chyba że Stalin zadzwonił, a jedyną po temu okazję dała moja prośba o piwo. Każdy jadł co lubił i ile chciał; tyle tylko, że raczej za dużo nas namawiano i wzywano do picia i że wznoszono zbyt wiele toastów.

Taki obiad trwał zwykle sześć lub więcej godzin — od dziesiątej wieczorem do czwartej lub piątej rano. Jadło się i piło powoli, przeskakując przy tym w rozmowie z tematu na temat, od opowiadań i anegdotek do najpoważniejszych politycznych a nawet filozoficznych tematów. Nieoficjalnie i faktycznie, znaczna część polityki sowieckiej kształtowała się na tych obiadach. Ponadto stanowiły one najczęstszą, najłatwiejszą rozrywkę i jedyny luksus w skądinąd monotonnym i ponurym życiu Stalina.

Współpracownicy Stalina byli najwidoczniej przyzwyczajeni do tego stylu pracy i życia — i spędzali noce obiadując ze Stalinem lub między sobą. Nie przychodzili do biur przed południem i zazwyczaj siedzieli w nich do późnego wieczora. Komplikowało to i utrudniało pracę wyższej administracji, która musiała się dostosowywać tak samo jak i korpus dyplomatyczny, o ile miał kontakt z członkami Politbiura.

Nie było żadnej ustalonej kolejności, według której członkowie Politbiura lub inni wysocy dygnitarze brali udział w tych obiadach. Zazwyczaj byli to ci, którzy mieli jakiś związek ze sprawami, prowadzącymi gościa lub z bieżącymi zagadnieniami. Najwidoczniej krąg był jednak wąski — być zaproszonym na taki obiad było szczególnym wyróżnieniem. Tylko Mołotow był zawsze obecny; twierdząc, że tak było nie tylko dlatego, że był komisarzem to jest ministrem spraw zagranicznych, lecz także i dlatego, że był faktycznie zastępcą Stalina.

Na tych obiadach przywódcy sowieccy byli z sobą za pan brat, na stopie wzajemnej poufałości. Każdy opowiadał nowiny z zakresu swej jurysdykcji, kogo tego dnia spotkał i jakie miał plany. Zbytкова zastawa i znaczne, chociaż nie nadmierne ilości alkoholu ożywiały umysły i wzmacniały atmosferę serdeczności i poufałości. Nieświadomy gość nie dostrzegłby żadnej różnicy pomiędzy Stalinem a resztą. A jednak ta różnica istniała. Opinia Stalina noto-

wana była starannie. Nikt mu się zbytnio nie przeciwstawił. Wszystko to przypominało raczej patriachalną rodzinę, z dziwakiem na czele, którego słabostki niepokoiły domowników.

Stalin jadł dużo, zbyt wiele nawet na możliwości znacznie roślejszego mężczyzny. Przede wszystkim nakładał sobie mięso, co świadczyło o jego góralskim pochodzeniu. Lubił również specjalności kuchni rosyjskiej, lecz nie zauważyłem, by miał szczególne upodobanie do jakiejś potrawy. Pił umiarkowanie, najczęściej mieszając w małych szklanceczkach czerwone wino i wódkę. Nigdy nie zauważyłem u niego żadnych oznak upicia się, natomiast nie mógłbym tego samego powiedzieć o Mołotowie, a szczególnie o Berii, który ściśle mówiąc był pijakiem. Ponieważ wszyscy przywódcy sowieccy objadali się nadmiernie na tych ucztach, w ciągu dnia odżywiali się skromnie i nieregularnie; wielu z nich stosowało przez jeden dzień w tygodniu dietę złożoną z owoców i soków, jako odtrutkę dla organizmu.

Na tych obiadach rozstrzygał się los rozległej ziemi rosyjskiej, nowonabytych terytoriów, a w znacznym stopniu także i ludzkości. Jeśli nawet obiady nie natchnęły tych duchowych twórców — „inżynierów ludzkich dusz” — do wielkich czynów, wiele takich czynów zostało tu prawdopodobnie pogrzebanych na zawsze.

Mimo to nigdy nie słyszałem, by rozmawiano tu o wewnątrzpartyjnej opozycji lub o jej zwalczaniu. Najwidoczniej należało to wyłącznie do jurysdykcji Stalina i tajnej policji; przywódcy sowieccy też są ludźmi, więc chętnie zapominali o sumieniu, tym bardziej, że wszelki apel do sumienia byłby niebezpieczny przede wszystkim dla nich samych.

Wymienię tu tylko to, co wydało mi się na tym spotkaniu znamienne wśród szybkiego przerzucania się z tematu na temat.

Powołując się na dawniejsze węzły łączące południowych Słowian i Rosjan, powiedziałem: „Jednakże carowie rosyjscy nie rozumieli dążeń południowych Słowian — chodziło im o imperialistyczną ekspansję, a nam o odzyskanie wolności”.

Stalin zgodził się ze mną, lecz sformułował to inaczej: „Tak, carowie rosyjscy nie mieli horyzontów”.

Zainteresowanie się Stalina Jugosławią było odmienne od zainteresowania innych przywódców sowieckich. Nie obchodziły go poświęcenia i zniszczenie, a tylko sytuacja zaistniała wewnątrz kraju i rzeczywista siła ruchu powstańczego. Informacje te zdobywał nie poprzez zapytania, lecz w ciągu samej rozmowy.

W pewnej chwili wyraził zainteresowanie Albanią. „Co się tam naprawdę dzieje? Co to są za ludzie?”.

Wyjaśniłem: „W Albanii dzieje się prawie to samo, co w Jugosławii. Albańczycy są najstarszym ludem bałkańskim — starszym niż Słowianie, a nawet niż dawni Grecy”.

— Ale w jaki sposób osiedla ich otrzymały słowiańskie nazwy? — pytał Stalin. — Czy nie mają oni jakiegoś związku ze Słowianami?

I to wyjaśniłem. „W dawniejszych czasach doliny zamieszkiwali Słowianie, stąd słowiańskie nazwy miejscowości — a potem za tureckich czasów wypchnęli ich Albańczycy”.

Stalin mrugnął porozumiewawczo: „Spodziewałem się, że Albańczycy są bodaj trochę Słowianami”.

Opowiadając mu o okrutnym sposobie prowadzenia wojny w Jugosławii zaznaczyłem, że nie braliśmy Niemców do niewoli, gdyż oni także zabijali wszystkich naszych jeńców.

Stalin przerwał ze śmiechem: „Jeden z naszych żołnierzy prowadził dużą grupę Niemców i zabił po drodze wszystkich z wyjątkiem jednego. Gdy przybył do miejsca przeznaczenia, zapytano go: 'A gdzie wszyscy inni?' 'Wykonałem rozkazy naczelnego dowódcy', odpowiedział, 'zabić wszystkich co do jednego — to jest ten jeden' ”.

W toku rozmowy zauważył o Niemcach: „To dziwni ludzie, jak owce. Pamiętam z mego dzieciństwa: gdzie poszedł tryk, tam szła i reszta. Pamiętam także, gdy byłem w Niemczech przed rewolucją: grupa socjal-demokratów niemieckich spóźniła się na kongres, bo musiała czekać na potwierdzenie biletów czy coś w tym rodzaju. Czy byłoby to możliwe u Rosjan? Ktoś dobrze powiedział: 'W Niemczech nie może być rewolucji, bo trzeba byłoby deptać trawniki' ”.

Pytał mnie także, jakie są serbskie słowa ma określenie pewnych rzeczy. Oczywiście, uwidoczniło się wielkie podo-

bieństwo pomiędzy rosyjskim i serbskim. „Nie ma żadnej wątpliwości: ten sam naród” — zawołał Stalin.

Były też anegdoty. Stalinowi podobała się zwłaszcza jedna, opowiedziana przeze mnie. „W rzadkiej chwili rozejmu Turek i Czarnogórzec rozmawiali z sobą. Turek dziwił się, dlaczego Czarnogórcy nieustannie prowadzą wojnę. 'Dla rabunku', odpowiedział Czarnogórzec. 'Jesteśmy biedni i liczymy na łup. A wy o co walczycie? 'O honor i sławę', odpowiedział Turek. Na co Czarnogórzec odparł: 'Każdy walczy o to, czego nie ma' ”. Stalin rycząc ze śmiechu skomentował: „To jest mądre: każdy walczy o to, czego nie ma”.

Mołotow śmiał się także, ale znowu oszczędnie i bezdźwięcznie. Nie potrafił on doprawdy ani innych ani siebie samego rozweselić.

Stalin wypytywał się jakie czołowe osobistości spotkałem w Moskwie, a gdy wymieniłem Dimitrowa i Manuilskiego, zauważył: „Dimitrow jest znacznie bardziej do rzeczy niż Manuilski, znacznie bardziej do rzeczy”.

Powiedział przy tym na temat rozwiązywania Kominternu: „Oni, na Zachodzie, są tak przebiegli, że nie pisnęli o tym ani słówka. A my jesteśmy tak uparci, że gdyby to uczynili, nie rozwiązalibyśmy go wcale! Sytuacja z Kominternem stawiała się coraz to bardziej nienormalna. Władysław Michajłowicz i ja łamaliśmy sobie głowę, co robić podczas gdy Komintern szedł swą własną drogą — i niezgoda rosła. Z Dimitrowem łatwo jest pracować, ale z innymi było trudniej. Co najważniejsze, zawsze było coś nienormalnego, coś nienaturalnego w samym istnieniu powszechnego forum komunistycznego w okresie, gdy każda partia komunistyczna winna była szukać wspólnego z całym narodem języka i walczyć w warunkach, panujących w jej własnym kraju”.

Podczas tego wieczoru nadeszły dwie depesze. Stalin dał mi obie do przeczytania.

Jedna donosiła, co Szubaszicz powiedział w amerykańskim Departamencie Stanu. Stanowisko Szubaszicza było następujące: Jugosłowianie nie mogą być przeciwnikami Związku Sowieckiego, ani też nie mogą uprawiać antyrosyjskiej polityki, albowiem tradycje słowiańskie i rusofilskie są wśród nich bardzo silne.

— Szubaszicz straszy Amerykanów. Ale dlaczego ich straszy? Tak, straszy ich! Ale dlaczego, dlaczego? — zauważył Stalin.

A potem, prawdopodobnie widząc moje zdumienie, dodał: „Oni nam kradną depesze, my zaś kradniemy im”.

Druga depesza była od Churchilla. Zawiadamiał, iż lądowanie we Francji zacznie się następnego dnia. Stalin zaczął drwić z depeszy. „Tak, będzie lądowanie, jeśli nie będzie mgły. Do tej pory zawsze coś stawało na przeszkodzie. Podejrzewam, że jutro będzie coś innego. Możliwe, że natkną się na jakichś Niemców. Co będzie, jeśli natkną się na Niemców! Możliwe, że nie będzie wtedy lądowania, a tylko przyrzeczenia, jak zwykle”.

Chrzakając i postękując, Mołotow zaczął wyjaśniać na swój sposób: „Nie, tym razem to będzie naprawdę”.

Miałem wrażenie, że Stalin naprawdę nie wątpił w lądowanie sprzymierzonych, lecz chciał je ośmieszyć, a zwłaszcza przyczyny poprzednich odroczeń.

Gdy reasumuję dziś ów wieczór, zdaje mi się, że mogłbym zakończyć wnioskiem, iż Stalin rozmyślnie straszył przywódców jugosłowiańskich, by osłabić węzły łączące ich z Zachodem. Jednocześnie usiłował podporządkować ich politykę swym interesom i swym stosunkom z państwami zachodnimi, przede wszystkim z Wielką Brytanią.

Dzięki zarówno ideologii jak metodom, doświadczeniu osobistemu i spuściźnie dziejowej, Stalin uważał za pewne tylko to, co trzymał w garści. Każdy, kto znajdował się poza zasięgiem jego policji, był potencjalnym wrogiem. Wskutek wojny rewolucja jugosłowiańska wymknęła się spod jego kontroli, zaś wyłaniająca się spoza niej siła stawała się zbyt świadoma swego potencjału, by mógł jej zwyczajnie wydawać rozkazy. Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, toteż aby ją sobie podporządkować wyzyskiwał antykapitalistyczne uprzedzenia przywódców jugosłowiańskich przeciwko państwow Zachodu. Próbował związać tych przywódców z sobą, a ich politykę podporządkować swojej.

Świat w którym żyli przywódcy sowieccy — a był to także i mój świat — powoli przybierał dla mnie nowy wygląd: straszliwa, nieustająca walka na wszystkich frontach. W rzeczywistości wszystko sprowadzało się do walki, zmieniały się tylko jej formy. Z walki tej tylko mocniejszy i zręczniejszy wychodził z życiem. Pełen podziwu dla przy-

wódców sowieckich, uległem teraz gwałtownemu entuzjazmowi dla niespożytej woli i czujności, która ich nie opuszczała ani na chwilę.

To był świat, w którym do wyboru stało tylko zwycięstwo albo śmierć.

To był Stalin — budowniczy nowego ustroju społecznego.

Rozstając się ze Stalinem, zapytałem go raz jeszcze, czy nie ma jakichś uwag w związku z pracą partii jugosłowiańskiej. Odpowiedział: „Nie, nie mam. Wy sami wiecie najlepiej, co trzeba robić”.

Po przybyciu na Vis, złożyłem sprawozdanie Ticie i innym członkom Komitetu Centralnego. Zreasumowałem mą podróż do Moskwy w ten sposób: Komintern faktycznie przestał istnieć. My, komuniści jugosłowiańscy, mamy sami dbać o swe sprawy. Musimy opierać się przede wszystkim na naszych własnych siłach.

Gdy odchodziłem po owym obiedzie, Stalin wręczył mi dla Tity miecz — dar od Najwyższego Sowietu. Do tego wspaniałego i wzniosłego daru dodałem w drodze powrotnej przez Kair mój własny skromny podarunek: szachy z kości słoniowej. Nie sądzę, by w tym kryła się jakaś symbolika. Wydaje mi się jednak, że już wtedy — choć stłumiony — istniał we mnie świat odmienny od świata Stalina.

Z jodłowego zagajnika wokół willi Stalina podnosiła się mgła i świt. Stalin i Mołotow, zmęczeni po jeszcze jednej nieprzespanej nocy, w drzwiach uścisnęli mi ręce. Samochód wiozł mnie w poranek, do nierozbudzonej jeszcze Moskwy, skąpanej w czerwcowej błękitnej mgiełce i w rosie. Powróciło uczucie, które miałem, gdy stanąłem na rosyjskiej ziemi: Świat, oglądany z tego kraju, ostatecznie nie jest tak wielki. I może nie jest on nie do zdobycia — gdy się ma Stalina, gdy się ma idee, o których się sądzi, że nareszcie odkrywają człowiekowi prawdę o społeczeństwie i o nim samym.

Było to piękne marzenie — pośród wojennej rzeczywistości. Nigdy nie przyszło mi nawet na myśl, by ustalać, co z tych dwóch bardziej było rzeczywiste, tak samo jak i dzisiaj nie umiałbym ustalić, co bardziej zawiodło w dotrzymaniu swych obietnic — marzenie czy rzeczywistość.

Ludzie żyją marzeniami i rzeczywistością.

WĄTPLIWOŚCI

1.

Moja druga podróż do Moskwy, a tym samym moje drugie spotkanie ze Stalinem prawdopodobnie nigdy by nie nastąpiło, gdybym nie padł ofiarą swej własnej szczerości.

Po dotarciu Czerwonej Armii do Jugosławii i oswobodzeniu Belgradu jesienią 1944 roku, zarówno poszczególni żołnierze jak i całe grupy żołnierzy z Czerwonej Armii dokonały tylu poważnych napadów na obywateli i na żołnierzy armii jugosłowiańskiej, że dla nowego reżymu i dla partii komunistycznej powstał stąd problem polityczny.

Komuniści jugosłowiańscy idealizowali Czerwoną Armię. Sami rozprawiali się nielitościwie nawet z najdrobniejszą grabieżą i zbrodnią we własnych szeregach. Byli oszołomieni bardziej niż przeciętni ludzie, którym nabyte doświadczenie kazało od każdej armii oczekiwać grabieży i zbrodni. Problem zaistniał faktycznie. Co gorsze, nieprzyjaciele komunizmu wyzyskiwali wybryki żołnierzy Czerwonej Armii w walce przeciw nieustabilizowanemu reżymowi i w ogóle przeciw komunizmowi. Sprawę kom-

plikował fakt, że dowódcy Czerwonej Armii byli głusi na skargi, co sprawiało wrażenie, że tolerują te wybryki.

Natychmiast po powrocie Tity z Rumunii do Belgradu — w owym czasie odwiedził on też Moskwę gdzie spotkał się ze Stalinem po raz pierwszy — trzeba było poruszyć tę sprawę.

Na zebraniu u Tity, w którym brałem udział razem z Kardelem i Rankowiczem — my czterej byliśmy najbardziej znanymi przywódcami partii jugosłowiańskiej — postanowiono przeprowadzić dyskusję z szefem misji sowieckiej, generałem Korniejewem. Aby uprzytomnić Korniejewowi powagę całej tej sprawy, postanowiono, że winien z nim rozmawiać nie tylko Tito, ale że winniśmy wziąć udział w spotkaniu także my trzej, a ponadto dwaj najwybitniejsi dowódcy jugosłowiańscy — generałowie Peko Dapczewicz i Kocza Popowicz.

Tito przedstawił problem Korniejewowi w sposób nadzwyczaj łagodny i uprzejmy. Tym bardziej zdumiewała szorstka i urażona reakcja tego ostatniego. Zaprośiliśmy Korniejewa jako towarzysza i komunistę, a on wykrzykiwał: „W imieniu rządu sowieckiego protestuję przeciw takim insynuacjom pod adresem Czerwonej Armii, która...”.

Wszystkie wysiłki, by go przekonać, były daremne. Nagle ujrzał on siebie w roli przedstawiciela wielkiego mocarstwa i „wyzwoleńczej” armii.

Wtedy powiedziałem: „Trzeba pamiętać, że nasi wrogowie posługują się tym argumentem przeciwko nam i porównują napaści żołnierzy Czerwonej Armii z zachowaniem się oficerów angielskich, którzy takich wybryków nie popełniają”.

Szczególnie na moje słowa Korniejew zareagował z całkowitym brakiem zrozumienia. „Jak najostrzej protestuję przeciw znieważaniu Czerwonej Armii przez porównywanie jej z armiami krajów kapitalistycznych”.

Później dopiero władze jugosłowiańskie zebrały dane statystyczne o bezprawnych czynach żołnierzy Czerwonej Armii. Wedle skarg wniesionych przez obywateli, było 121 wypadków zgwałcenia, z czego 111 zgwałcenia połączonego z morderstwem oraz 1.204 wypadki napadów i rabunku — liczby wcale nie bez znaczenia, jeśli zważyć, że Czerwona Armia wkroczyła tylko do północno-zachod-

niego zakątką Jugosławii. Liczby te wskazują, dlaczego przywódcy jugosłowiańscy musieli rozpatrywać te zajścia jako problem polityczny, tym poważniejszy, że stał się on zagadnieniem walki wewnętrznej. Komuniści patrzeli na ten problem także jako na problem moralny: Czyżby taka miała być ta idealna i długo wyczekiwana Armia Czerwona?

Spotkanie z Korniejewem skończyło się bez wyników, aczkolwiek zauważono później, iż dowódcy sowieccy surowiej reagują na samowolę swych żołnierzy. Gdy Korniejew wyszedł, niektórzy towarzysze czynili mi wymówki, jedni łagodnie a drudzy ostrzej, za to co powiedziałem. W gruncie rzeczy nigdy mi przez myśl nie przeszło porównywać Czerwoną Armię z Brytyjczykami — Wielka Brytania miała tylko misję w Belgradzie — stwierdziłem jedynie oczywiste fakty i przedstawiłem mój pogląd na problem polityczny, do czego sprowokował mnie brak zrozumienia i nieprzejednanie generała Korniejewa. Daleka na pewno była mi myśl o znieważaniu Czerwonej Armii, która w owym czasie była mi tak samo droga jak generałowi Korniejewowi. Z uwagi na zajmowane przeze mnie stanowisko nie mogłem jednak milczeć gdy gwałcono kobiety — zbrodnia, którą zawsze uważałem za jedną z najohydniejszych — i gdy obrzucano naszych żołnierzy obelgami, a nasze mienie rabowano.

Moje słowa i kilka innych spraw było przyczyną pierwszego zadrażnienia pomiędzy przywódcami jugosłowiańskimi i sowieckimi. Miały później wyłonić się poważniejsze niż ta sprawa, ale właśnie te słowa miały być najczęściej przytaczane jako powód oburzenia sowieckich przywódców i ich przedstawicieli. Na marginesie zaznaczę, że na pewno był to powód, dla którego rząd sowiecki nie nadał mi orderu Suworowa, gdy nim obdzczał niektórych innych czołowych członków jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego. Dla podobnych powodów pominął również generała Peko Dapczewicza. To skłoniło Rankowicza i mnie do namówienia Tity, by dla przeciwwagi tego zlekceważenia odznaczył Dapczewicza orderem Jugosłowiańskiego Bohatera Narodowego. To także było jednym z powodów, dla których agenci sowieccy w Jugosławii zaczęli z początkiem 1945 roku szerzyć pogłoski o mym „trockizmie”. Sami jednak musieli zaprzestać tych oszczerstw

nie tyle z racji bezsensowności obwinień, ile z racji polepszenia się naszych stosunków.

Tym niemniej, z powodu mego oświadczenia, znalazłem się wkrótce niemal w odosobnieniu, nie dlatego by moi najbliżsi przyjaciele mnie potępiali — chociaż było i trochę surowych wymówek — albo by przywódcy sowieccy wyolbrzymiali i rozdmuchiwali całe zajście; głębszą przyczyną były me własne przeżycia wewnętrzne. To znaczy, stanąłem już wtedy przed dylematem, przed którym staje każdy komunista, który przyjął ideę komunistyczną z dobrą wolą i altruizmem. Prędzej czy później musi on skonfrontować zgodność pomiędzy ideą a praktyką przywódców partyjnych. W tym jednak wypadku nie chodziło o rozpiętość pomiędzy idealnym obrazem Czerwonej Armii a rzeczywistymi czynami jej żołnierzy; zdawałem sobie przecież sprawę, iż chociaż była to armia społeczeństwa „bezklasowego”, to jednak nie mogła „jeszcze” być tym wszystkim, czym być powinna i że musiały w niej wciąż tkwić „relikty przeszłości”. Mój dylemat stworzyła obojętna, by nie powiedzieć pobłażliwa, postawa przywódców sowieckich i dowódców sowieckich wobec zbrodni, odmowa ich rozpatrzenia i protesty, ilekroć zwracano im na to uwagę. Nasze intencje były dobre: ocalić reputację Czerwonej Armii i Związku Sowieckiego, reputację, budowaną w ciągu całych lat przez propagandę Komunistycznej Partii Jugosławii. A z czym spotkały się te nasze dobre intencje? Z arogancją i odmową, typową dla postawy wielkiego państwa wobec małego, silnego wobec słabego.

Wysiłki przedstawicieli sowieckich, by moimi słowami, podyktowanymi najlepszą intencją, uzasadnić własną arogancją i krytyczną postawę wobec kierownictwa jugosłowiańskiego szczególnie pogłębiały ten dylemat.

Co uniemożliwiało przywódcom sowieckim zrozumienie nas? Z jakiego powodu wyolbrzymiano i wypaczano znaczenie mych słów? Dlaczego przedstawiciele sowieccy wyzyskiwali je w tej przekręconej formie dla swych politycznych celów — odmalowując przywódców jugosłowiańskich jako ludzi niewdzięcznych wobec Czerwonej Armii, która we właściwym momencie odegrała rzekomo główną rolę w oswobodzeniu stolicy Jugosławii i zainstalowała w niej przywódców jugosłowiańskich?

Na te pytania nie było odpowiedzi — i nie mogło jej być w owym czasie.

Jak wielu, wstrząśnięty byłem także innymi czynami przedstawicieli sowieckich. Na przykład, dowództwo sowieckie ogłosiło, iż przeznaczą jako pomoc dla Belgradu dar w postaci dość dużej ilości pszenicy, ale okazało się, że w rzeczywistości była to pszenica, ściągnięta od jugosłowiańskich chłopów przez Niemców i zamagazynowana na obszarze Jugosławii. Dowództwo sowieckie uważało tę pszenicę — i nie tylko ją — po prostu za swój łup wojenny. Na dobitkę, agenci wywiadu sowieckiego werbowali masowo białych emigrantów rosyjskich, a nawet Jugosłowian; niektóre z tych osób wchodziły bezpośrednio w skład aparatu Komitetu Centralnego. Przeciwnie komu i dlaczego zatrudniano tych ludzi? Także na polu agitacji i propagandy, które pozostawało pod mym zarządem, odczuwało się dotkliwie tarcia z przedstawicielami sowieckimi. Prasa sowiecka systematycznie zniekształcała i pomniejszała walkę komunistów jugosłowiańskich, podczas gdy przedstawiciele sowieccy dążyli, początkowo ostrożnie, a potem coraz to jawniej, do podporządkowania propagandy jugosłowiańskiej potrzebom i wzorom sowieckim.

Pijaństwa przedstawicieli sowieckich, przybierające coraz to bardziej charakter istnych bachanalii, na które usiłowali ściągać przywódców jugosłowiańskich, mogły tylko w moich oczach i w oczach wielu innych potwierdzić niezgodność pomiędzy sowieckimi ideałami a postępowaniem, pomiędzy etyką wyznawaną w słowach a niemoralnością w czynach.

Pierwsze zetknięcie się dwóch rewolucji i dwóch rządów, chociaż opartych na podobnych podstawach społecznych i ideologicznych, mogło doprowadzić tylko do drażnienia. Zachodziło to w ramach wyłącznej i zamkniętej ideologii, więc początkowo mogło mieć tylko aspekt dylematu moralnego oraz zmartwienia i żalu Jugosłowian, iż centrum prawdziwej wiary nie rozumiało dobrych intencji małej partii i ubogiego kraju.

Ponieważ reakcje ludzkie nie zawsze są świadome, nagle „odkryłem” nierozzerwalne więzy, łączące człowieka z przyrodą — powróciłem do wypraw myśliwskich mej

wczesnej młodości i zauważyłem naraz, że istnieje piękno poza partią i rewolucją.

Lecz gorycz dopiero się zaczynała.

2.

Zimą 1944-1945 wyjechała do Moskwy dość duża delegacja rządowa, w skład której wchodził Andrija Hebrang, członek Komitetu Centralnego i minister przemysłu, Arso Jowanowicz, szef Sztabu Generalnego i Mitra Mitrowicz, moja ówczesna żona. Niezależnie od reakcji politycznych, umiała ona także przekazywać mi czysto ludzkie reakcje przywódców sowieckich, na które byłem szczególnie wrażliwy.

Delegacja, zarówno każdy z jej członków osobno jak i zbiorowo, została obsypana gradem rekryminacyj na temat ogólnej sytuacji w Jugosławii i niektórych przywódców jugosłowiańskich. Dygnitarze sowieccy zazwyczaj rozpoczynali od ścisłych faktów, a potem je wyolbrzymiali i uogólniali. Na dobitkę, szef delegacji, Hebrang, związał się ściśle z przedstawicielami sowieckimi, przedkładając im pisemne sprawozdania i zwalając niełaskę sowiecką na innych członków delegacji. Sądząc z posiadanych elementów, do takiego postępowania popychało Hebranga niezadowolenie z powodu usunięcia go ze stanowiska sekretarza partii komunistycznej na Chorwację, a jeszcze bardziej jego tchórzliwe zachowanie się w więzieniu — co się ujawniło dopiero później — zachowanie, które usiłował w ten sposób osłonić.

Samo udzielanie informacji partii sowieckiej nie było podówczas uważane za grzech śmiertelny, gdyż żaden komunistę jugosłowiański nie przeciwstawiał swego własnego Komitetu Centralnego — Komitetowi Centralnemu sowieckiemu. Co więcej, sowiecki Komitet Centralny miał dostęp do wiadomości o sytuacji w partii jugosłowiańskiej i możliwość ich otrzymywania. Jednakże w wypadku Hebranga przybrało to wręcz charakter podkopywania jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego. Nie wykryto nigdy treści jego

donosów. Lecz z jego zachowania się, oraz z opowiadań poszczególnych członków delegacji, można było ponad wszelką wątpliwość wywnioskować, że już w owym czasie Hebrang udzielał informacji sowieckiemu Komitetowi Centralnemu. Chciał w ten sposób zjednać sobie jego poparcie i podburzyć go przeciw jugosłowiańskiemu Komitetowi Centralnemu, aby doprowadzić w nim do odpowiadających mu zmian. Rzecz jasna, wszystko to działo się w imię zasad, wszystko to miało swe usprawiedliwienie w mniej lub więcej oczywistych poślizgnięciach się i pomyłkach Jugosłowian. Istotna jednak przyczyna była następująca: Hebrang sądził, że Jugosławia nie powinna budować swej gospodarki i swych planów gospodarczych niezależnie od ZSSR, podczas gdy Komitet Centralny popierał ścisłą współpracę ze ZSSR, lecz bez ujemy dla własnej niepodległości.

Moralny *coup de grâce* zadał delegacji — oczywiście — Stalin. Zaprosił on całą delegację na Kreml i ugościł ją zarówno zwyczajową ucztą, jak i sceną, jaką można by znaleźć tylko w sztukach Szekspira.

Skrytykował armię jugosłowiańską i sposób kierowania nią. Jedyne mnie zaatakował osobiście. I to jak zaatakował! Mówił podnieconym tonem o cierpieniach Czerwonej Armii i okropnościach, jakie musiała przechodzić, posuwając się wśród walk przez tysiące kilometrów zniszczonego kraju. Płakał, wykrzykując: „I taką to armię znieważył nie kto inny, jak Dżilas! Dżilas, po którym czegoś takiego najmniej mógłbym się spodziewać, człowiek, którego tak dobrze przyjąłem! I to armię, która nie szczędziła dla was krwi! Czyżby Dżilas, który sam jest pisarzem, nie wiedział, czym jest ludzkie cierpienie i ludzkie serce? Czy nie może zrozumieć żołnierza, który przeszedłszy tysiące kilometrów przez krew i ogień, zabawi się z kobietą albo zabierze jakiś drobiazg?”.

Wznosił częste toasty: jednemu pochlebił, z drugim pożartował, trzeciemu przyciął, ucałował mą żonę, jako że była Serbką i znowu lał łzy nad trudami Czerwonej Armii i jugosłowiańską niewdzięcznością.

Stalin i Mołotow niemal po aktorsku podzielili między sobą role, zgodnie ze swymi możliwościami: Mołotow na zimno dolewał oliwy do ognia, podczas gdy Stalin wpadł w tragiczny patos. Nastrój ten doszedł do zenitu, gdy Stalin

całując mą żonę wykrzykiwał, że tym czułym gestem naraża się na oskarżenie o zgwałcenie.

Mówił bardzo niewiele, albo w ogóle nic, o partiach, komunizmie, marksizmie, za to bardzo wiele o Słowianach, o węzłach łączących Rosjan i południowych Słowian oraz — na nowo — o bohaterskich poświęceniach i cierpieniach Czerwonej Armii.

Śluchając tego, byłem naprawdę wstrząśnięty i osłupiały. Dzisiaj wydaje mi się, że Stalin uczynił ze mnie kozła ofiarnego nie tyle za mój „wybuch”, ile dla zjednania mnie sobie w jakiś sposób. Tylko mój szczerzy entuzjazm dla Związku Sowieckiego i dla niego samego jako osobistości mógł go do tego skłonić.

Bezwzględnie po moim powrocie do Jugosławii napisałem artykuł o „Spotkaniu ze Stalinem”, który sprawił mu wielką przyjemność. Pewien przedstawiciel sowiecki zwrócił mi uwagę, że w następnych wydaniach powinienem usunąć spostrzeżenie o za dużych nogach Stalina i że winienem bardziej uwypuklić zażyłość między Stalinem i Mołotowem. W tym samym czasie Stalin, który szybko rozgryzał ludzi i który miał szczególnie dar wyzyskiwania słabych stron ludzkich, musiał wiedzieć, że nie może apelować do moich ambicji politycznych, nie miałem ich bowiem, ani też do mej ideologii, gdyż nie kochałem partii sowieckiej bardziej niż partię jugosłowiańską. Mógł wpłynąć na mnie tylko poprzez moje emocje — mą szczerość i mój entuzjazm — i taki też przyjął kurs.

Chociaż jednak wrażliwość i szczerość były moimi mocnymi stronami, łatwo przeobrażały się w coś zgoła odmiennego, gdy natrafiałem na nieszczerość i niesprawiedliwość. Z tego powodu Stalin nie chciał werbować mnie jawnie. Stawałem się coraz bardziej twardy i zdecydowany, w miarę jak doświadczenie wskazywało mi niesprawiedliwe, hegemonistyczne sowieckie zamierzenia, to jest w miarę jak oswobadzałem się z mego sentymentalizmu.

Trudno dziś ustalić, ile było w poczynaniach Stalina gry aktorskiej, a ile rzeczywistej urazy. Osobiście sędzę, że nie da się u niego oddzielić jednego od drugiego. Pozory były u niego tak spontaniczne, że, jak się zdaje, sam wierzył w prawdziwość i szczerość swych słów. Bardzo łatwo

dostosowywał się do każdej zmiany w toku dyskusji na jakikolwiek nowy temat, a nawet do każdej nowej osoby.

W każdym bądź razie delegacja powróciła całkowicie osłupiała i przygnębiona.

Tymczasem moje odosobnienie pogłębiało się, teraz również z powodu łez Stalina nad mą „niewdzięcznością” dla Czerwonej Armii. Chociaż coraz to bardziej odosobniony, nie popadłem w letarg. Coraz częściej wracałem do pióra i książek, znajdując w nich ucieczkę od dręczących mnie trudności i wątpliwości.

3.

Czas robił swoje. Stosunki pomiędzy Związkiem Sowieckim a Jugosławią nie mogły pozostać w stadium ustalonym przez misje wojskowe i armie. Mnożyły się więzy, rozkwiwały stosunki, przybierając coraz to bardziej określoną formę międzynarodową.

W kwietniu miała wyjechać delegacja państwowa celem podpisania ze Związkiem Sowieckim traktatu o wzajemnej pomocy. Delegację prowadził Tito, towarzyszył mu minister spraw zagranicznych dr Szubaszicz. W delegacji było poza tym dwóch ministrów gospodarczych — B. Andrejew i N. Petrowicz. Mój przydział do tej delegacji można było na pewno przypisać pragnieniu zlikwidowania zatargu o „znieważenie” Czerwonej Armii drogą bezpośredniego kontaktu. Tito po prostu wciągnął mnie na listę delegacji, a ponieważ strona sowiecka nie zgłosiła żadnych obiekcji, wsiadłem wraz z innymi do sowieckiego samolotu.

Było to w pierwszych dniach kwietnia. Z powodu niesprzyjającej pogody samolot przez cały czas podskakiwał gwałtownie w powietrzu. Tito i większość jego świty chorowała. Nawet piloci cierpieli. Ja także czułem się chory — ale na inny sposób.

Czułem się źle od tej chwili, gdy dowiedziałem się że mam jechać na spotkanie ze Stalinem — jak gdybym był jakimś grzesznikiem. A przecież nie było żadnego rzeczywistego powodu, abym miał odbyć pokutę. Wokół mnie

w Belgradzie sytuacja stawała się coraz to bardziej napięta jak gdybym był kimś, kto nisko upadł — „narobił zamętu” — toteż takiej osobie nie pozostawało nic innego, jak tylko uzyskać jakoś odpuszczenie grzechów i zdać się wyłączyć na wspaniałomyślność Stalina.

Samolot zbliżał się do Moskwy. Wzbierało we mnie znane już poczucie odosobnienia. Po raz pierwszy czułem, że moi bracia i towarzysze broni z łatwością mnie porzucali, ponieważ wszelki kontakt ze mną zagrażał ich pozycji w partii i mógł sprawiać wrażenie, że i oni „odchylili się”. Nawet w samolocie nie byłem od tego wolny. Stosunek pomiędzy mną a Andrejewem, oparty na zażyłości zrodzonej z przejść wojennych i cierpień więziennych — one bowiem lepiej niż cokolwiek innego ujawniają charakter człowieka i stosunki między ludźmi — zawsze nacechowany był dobroduszością i otwartością. Ale teraz? Jak się zdaje ubolewał nade mną, nie mogąc mi dopomóc, ja zaś nie miałem odwagi zbliżyć się do niego — z obawy przed upokorzeniem, a jeszcze bardziej z obawy, iż zmuszę go do niewygodnego i niepożądanego bratania się ze mną. Tak samo było z Petrowiczem, którego poznałem dobrze podczas trudnego okresu mego życia w podziemiu; przyjaźń nasza miała charakter przeważnie intelektualny, lecz teraz nie ośmieliłbym się rozpocząć jednej z naszych niekończących się dyskusji na temat serbskiej historii politycznej. Jeśli chodzi o Tite, nie wspominał o całej sprawie, jak gdyby nic się nie stało i nie ujawniał żadnych określonych uczuć czy poglądów na mój temat. Tym niemniej podejrzewałem, że na swój sposób — z powodów politycznych — był po mej stronie, że dlatego wziął mnie ze sobą i że dlatego nie wypowiadał się.

Przeżywałem pierwszy konflikt pomiędzy moim zwykłym ludzkim sumieniem, to jest normalną ludzką skłonnością do dobra i prawdy, a otoczeniem, w którym żyłem i z którym wiązały mnie wszystkie moje czynności, to jest z ruchem określonym własnymi abstrakcyjnymi celami a ograniczonym istniejącymi możliwościami. Tym razem konflikt ten nie przybrał jeszcze realnych kształtów, był raczej starciem się pomiędzy moimi dobrymi intencjami w celu ulepszenia świata, a brakiem zrozumienia u tych, którzy pobierają decyzje.

Mój niepokój rósł z każdą chwilą, z każdym metrem zbliżania się do Moskwy.

Pode mną szybko przesuwała się ziemia, której czerni wynurzała się właśnie spod topniejącego śniegu, ziemia poryta potokami oraz — w wielu miejscach — bombami, spustoszona i niezamieszkała. Niebo również było pochmurne i ponure, nieprzeniknione. Nie istniało dla mnie ani niebo ani ziemia. Pograżony byłem w świecie nierzeczywistym, być może śniłem, w świecie, który zarazem odczuwałem jako bardziej rzeczywisty niż ten, w którym żyłem dotychczas. Leciąłem rozdarty między niebem i ziemią, między sumieniem i doświadczeniem, między pragnieniem i możliwością. W pamięci mojej pozostało tylko to nierealne i bolesne rozdarcie — ani śladu owych początkowych sentymentów słowiańskich ani nawet owych rewolucyjnych uniesień, które cechowały me pierwsze spotkanie z rosyjską, sowiecką ziemią i jej przywódcą.

Nad wszystkim górowała choroba Tity. Wyczerpany, zielony, wydobył z siebie maksimum woli aby wyrecytować mowę powitalną i przebrnąć przez uroczystości. Mołotow, który stał na czele komitetu powitalnego, zimno uścisnął mi rękę, bez uśmiechu i bez żadnego widomego znaku, iż mnie sobie przypomina. Nieprzyjemne też było, że Titę wzięto do specjalnej willi, zaś pozostałych członków delegacji umieszczono w Hotelu Metropol.

Trudności i przykrości rosły. Przybrały nawet rozmiary kampanii.

Następnego dnia, lub w dwa dni później, odezwał się telefon w moim pokoju. Usłyszałem uwodzicielski głos kobiety. „Mówi Katia”.

— Jaka Katia? — zapytałem.

— To ja, Katia. Nie pamiętasz? Muszę cię zobaczyć. Po prostu muszę cię zobaczyć.

W głowie mej szybko przesuwały się Katie — nie znałem jednak ani jednej — a w ślad za nimi przyszły podejrzenia. Wywiad sowiecki wiedział, że w Komunistycznej Partii Jugosławii panowały surowe zasady jeśli idzie o moralność osobistą i zastawiał pułapkę, by móc mnie później szantażować. Nie widziałem niczego dziwnego ani nowego w tym, że „socjalistyczna” Moskwa, jak każda metropolia, rośla się od nierejestrowanych prostytuttek. Jeszcze

lepiej jednak wiedziałem, że nie mogły one — chyba że chciał tego wywiad, kontaktować się z wysoko postawionymi cudzoziemcami, pilnowanymi tutaj i śledzonymi bardziej niż gdziekolwiek na świecie. Niezależnie od tych myśli, uczyniłem to, co uczyniłbym w każdym wypadku; powiedziałem chłodno i zwięźle: „Proszę nie zwracać mi głowy!” — i odłożyłem słuchawkę.

Podejrzałem, że tylko ja byłem przedmiotem tej przejrzystej a brudnej intrygi. Tym niemniej, z uwagi na mój wysoki stopień w partii, uważałem za konieczne ustalić, czy to samo zdarzyło się Petrowiczowi i Andrejewowi, a ponadto chciałem porozmawiać z nimi po męsku. Tak jest — i ich telefony odezwały się, lecz zamiast Katii były Natasza i Wowa. Opowiedziałem im, co mnie spotkało i zakazałem im nawiązywania jakichkolwiek kontaktów.

Doznawałem mieszanych uczuć: ulgi, że nie byłem jedynym celem, oraz pogłębiających się wątpliwości. Po co to wszystko? Nigdy by mi nie przyszło na myśl, zapytać dra Szubaszicza, czy i on spotkał się z podobną próbą. Nie był komunistą i byłoby mi nie na rękę, ukazywać mu Związek Sowiecki i jego metody w złym świetle — i to tym bardziej, że metody te zwrócone były przeciw komunistom. Byłem jednak zupełnie pewny, że żadna Katia nie zwracała się do Szubaszicza.

Wówczas nie umiałem jeszcze wyciągnąć wniosku — że to właśnie komuniści byli celem i środkiem osłaniania hegemonii sowieckiej w krajach Europy wschodniej. Jednak już mi się nasuwało to podejrzenie. Przeraziły mnie metody i miałem żal o to, że moja osoba poddana została takim machinacjom.

W owym czasie wciąż jeszcze wierzyłem, że mogę być komunistą i pozostać wolnym człowiekiem.

4.

Nic godnego uwagi nie zdarzyło się w związku z trakta-tem przymierza pomiędzy Jugosławią a ZSSR. Traktat był taki jak nakazuje zwyczaj, a moim zadaniem było po prostu sprawdzenie przekładu.

Podpisanie nastąpiło na Kremlu 11 kwietnia wiecz-

rem, w bardzo wąskim, oficjalnym gronie. Spośród publiczności — o ile takie określenie da się zastosować do tego środowiska — obecni byli tylko fotografowie sowieccy.

Jedyny godny uwagi epizod zaszedł wtedy, gdy Stalin, trzymając w ręku szklankę szampana, zwrócił się do służącego i wezwał go do trącenia się z nim szklanką. Służący był zakłopotany wyraźnie, lecz gdy Stalin powiedział: „Co, nie wypijecie za przyjaźń sowiecko-jugosłowiańską?” posłusznie wziął szklankę do ręki i wychylił ją do dna. Było coś demagogicznego, nawet groteskowego w całej tej scenie, lecz każdy przyglądał się jej z błogim uśmiechem; uważano to za objaw szacunku Stalina dla prostych ludzi, za chęć bliskiego z nimi kontaktu.

Było to moje pierwsze — ponowne — spotkanie ze Stalinem. Zachowanie jego było raczej niechętne chociaż bez zimnej sztywności Mołotowa i jego sztucznej uprzejmości. Stalin nie powiedział do mnie ani jednego słowa. Zatarg o zachowanie się żołnierzy Czerwonej Armii widocznie nie był ani zapomniany ani wybaczony. Trzymano mnie w ogniu czyszcowym.

Stalin zresztą nie odezwał się w ogóle w czasie obiadu na Kremlu do nikogo z obecnych. Po obiedzie oglądaliśmy filmy. Ponieważ Stalin wspomniał, że ma dość tematyki wojennej, pokazano płytki film o szczęśliwym gospodarstwie kolektywnym. W czasie pokazu Stalin czynił komentarze, uwagi jego były podobne do reakcji ludzi bez wykształcenia, biorących realizm artystyczny za rzeczywistość. Drugi film był przedwojenny na wojenny temat: „Jeśli jutro wojna” („Jesli zawtra wojna...”). Wojna na tym filmie toczyła się przy użyciu gazów trujących, podczas gdy na tyłach najeźdźców — Niemców — wybuchały powstania elementów proletariackich. Pod koniec filmu Stalin zauważył spokojnie: „Niezbyt odmienny od tego co się faktycznie działo, tyle tylko, że nie było gazu trującego i że proletariat niemiecki nie powstał”.

Wszyscy byli zmęczeni toastami, jedzeniem, filmami. Znowu bez jednego słowa Stalin podał mi rękę, teraz jednak byłem bardziej odprężony i spokojny, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć — dlaczego. Być może z powodu lepszej atmosfery. A może była to moja wewnętrzna determinacja i śmiałość? Zapewne jedno i drugie. W każdym razie — można żyć bez miłości Stalina.

W kilka dni później odbył się oficjalny obiad w jekaterynowskiej sali. Zgodnie z ówczesnym protokołem sowieckim, Tito zasiadł po lewej ręce Stalina a po prawej Kalinina, podówczas przewodniczącego Najwyższego Sowie-tu. Mnie posadzono po lewej ręce Kalinina. Mołotow i Szuba-szicz siedzieli naprzeciw Stalina i Tity, podczas gdy inni dygnitarze jugosłowiańscy i sowieccy zasiedli wkoło.

Sztywna atmosfera wydawała się tym bardziej nienatu-ralna, że wszyscy obecni, z wyjątkiem dra Szubaszicza, byli komunistami, a mimo to wznosząc toasty zwracali się do siebie przez „pan” i przestrzegali ściśle międzynarodowego protokołu, tak jakby to było zebranie przedstawicieli odmien-nych ustrojów i ideologii.

Poza toastami i protokołem, zachowywaliśmy się w stosunku do siebie jak towarzysze, to jest jako ludzie bliscy sobie, będący w tym samym ruchu, o tych samych celach. Ten kontrast między przepisową formalnością a rzeczywi-stością był tym drastyczniejszy, że stosunki pomiędzy komu-nistami sowieckimi i jugosłowiańskimi były wciąż serdeczne, niezamącone przewagą sowiecką i rywalizacją o prestiż w ko-munistycznym świecie. Życie nie respektuje jednak pragnień i zamierzeń, lecz narzuca schematy, których nikt przewidzieć nie potrafi.

Stosunki pomiędzy Związkiem Sowieckim a sprzymie-rzeńcami zachodnimi były wciąż jeszcze takie jak w miodo-wym miesiącu wojennym. Przestrzegając formalności rząd sowiecki chciał uniknąć skarg, iż nie traktuje Jugosławii jako narodu niepodległego właśnie dlatego, że jest to kraj komunistyczny. Później, gdy już usadowił się w Europie wschodniej na dobre, rząd sowiecki nalegał na porzucenie protokołu i innych formalności jako „burżuazyjnych” i „na-cjonalistycznych” przesądów.

Stalin przełamał lody. Tylko on mógł to uczynić bez narażenia się na niebezpieczeństwo wytknięcia mu *faux pas*. Po prostu wstał z miejsca, podniósł szklankę i zwrócił się do Tity przez „towarzysz”, dodając, że nie mógłby go nazywać „panem”. To przywróciło prawdziwie przyjazny nastrój i ożywiło atmosferę. Dr Szubaszicz również uśmiech-nął się przyjaźnie, choć trudno było uwierzyć, by uczynił to szczerze; w tym polityku, bezideowym i pozbawionym w ogóle jakichkolwiek stałych zasad, wiele było fałszu i obłudy.

Stalin zaczął żartować i wesoło zaczepiać uczestników bankietu. Raz ożywiony nastrój trwał dalej.

Stary Kalinin, który ledwo już widział, miał trudności ze znalezieniem szklanki, talerza i chleba; starałem się opiekować nim przez cały czas. Tito przed kilkoma godzinami złożył mu nakazaną protokołem wizytę i powiedział mi, że staruszek nie jest zupełnie do niczego. Lecz z relacji Tity i z uwag uczynionych przez Kalinina na bankiecie można było wyciągnąć wręcz odwrotne wnioski.

Stalin na pewno wiedział o zgrzybiałości Kalinina, zarzucił sobie bowiem z niego, gdy ten ostatni poprosił Tite o jugosłowiańskiego papierosa. „Nie bierzcie ich, to kapitalistyczne papierosy”, powiedział, i Kalinin zmieszany wypuścił papierosa z trzęsących się palców, na co Stalin zaśmiał się ze złośliwym zadowoleniem. Trochę później nie kto inny jak Stalin wzniósł toast na cześć „naszego prezydenta” Kalinina. Były to uprzejme frazesy pod adresem tego, kto od dawna był już tylko figurantem.

Tutaj, w szerszym raczej i bardziej oficjalnym gronie, ubóstwianie Stalina było bardziej namacalne i bezpośrednie. Teraz dochodzę do wniosku, że ubóstwianie Stalina, albo — jak się to dziś nazywa — „kult jednostki”, było co najmniej w tym samym stopniu dziełem kręgu Stalina i biurokracji, potrzebującej takiego przywódcy, co i jego własnym tworem. Oczywiście, stosunek później uległ zmianie. Ubóstwiony — Stalin stał się tak potężny, że z biegiem czasu przestał zwracać uwagę na zmieniające się potrzeby i pragnienia tych, co go wywyższyli.

Brzydki karzeł wszedł na wysadzone złotem i marmurem sale cesarskie: otwarła się przed nim droga; za nim szły rozradowane, pełne podziwu spojrzenia; uszy dworaków z napięciem chwytaly każde jego słowo. On zaś pewny siebie i swych dzieł, ostentacyjnie nie zwracał na to wszystko żadnej uwagi. Jego własny kraj był zrujnowany, głodny i wyczerpany. Lecz jego armie i marszałkowie, ciężcy od tłuszczu i medali, pijani wódką i zwycięstwem, stratowali już połowę Europy, on zaś był przekonany, że w następnej rundzie stratuja i tę pozostałą. Wiedział, że był jedną z najokrutniejszych, najbardziej despotycznych postaci w dziejach ludzkich, ale to go ani trochę nie gnębiło, był pewny, że spełnia wyrok historii. Nic nie dręczyło jego sumienia, mimo milio-

nów zagłodzonych w jego imieniu i na jego rozkaz, mimo tysięcy jego najbliższych współpracowników, których zamordował pod zarzutem zdrady, gdyż wątpili, że wie dzie on kraj i naród do szczęścia, do równości i swobody. Walka była ryzykowna, długotrwała i tym bardziej nikczemna, że oponenti byli nieliczni i słabi. Lecz powiodło mu się, a powodzenie jest jedynym sprawdzianem prawdy! Czymże bowiem jest sumienie? Czy ono w ogóle istnieje? Nie było miejsca dla sumienia w jego filozofii, a tym mniej w jego poczynaniach. Ostatecznie, człowiek jest wytworem sił produkcyjnych.

Poeci czerpali z niego natchnienie, orkiestry rozbrzmiewały kantatami na jego cześć, filozofowie w instytutach pisali tomy o jego wypowiedziach, a męczennicy konali w miejscach kaźni z jego imieniem na ustach. Teraz był zwycięzcą w największej wojnie swego narodu, największej wojnie w dziejach. Jego absolutna władza nad szóstą częścią globu rozszerzała się coraz dalej i bez ustanku. Przekonało go to, że jego społeczeństwo nie zawiera w sobie żadnych sprzeczności i że wykazuje pod każdym względem wyższość nad innymi społeczeństwami.

Gdy żartował ze swymi dworakami-„towarzyszami”, nie czynił tego wyłącznie ze szczodrości panującego. Królew ska szczodrość widoczna była tylko w sposobie, w jaki to czynił: nigdy na własny koszt. Nie, dowcipkował, gdyż lubił zstępować ze swych olimpijskich wyżyn; ostatecznie, żył między ludźmi i co pewien czas winien był okazywać, że jednostka jest niczym bez zbiorowości.

I mnie także ujmował Stalin i jego humor. Lecz w jakimś małym kąci ku mego mózgu, w mej podświadomości przebudziłem się i zaniepokoiłem: zauważyłem jarmarczność i nie mogłem wewnętrznie zaakceptować sposobu żartowania Stalina — ani też jego rozmyślnego unikania, aby powiedzieć do mnie jedno ludzkie, godne towarzyszy słowo.

5.

Byłem jednak mile zdziwiony, gdy zostałem zaproszony na intymny obiad w willi Stalina. Oczywiście, dr Szubaszicz

absolutnie nic o tym nie wiedział. Byliśmy tam tylko my, jugosłowiańscy ministrowie komunistyczni, a ze strony sowieckiej najbliżsi druhowie Stalina: Malenkow, Bułganin, generał Antonow, Beria no i — rzecz jasna — Mołotow.

Jak zazwyczaj, około dziesiątej wieczorem znaleźliśmy się wokół stołu Stalina. Przybyłem w jednym samochodzie z Titą. W górze stołu siedział Beria, po jego prawej ręce Malenkow, dalej ja i Mołotow, jeszcze dalej Andrejew i Petrowicz, zaś po lewej — Stalin, Tito, Bułganin i generał Antonow, zastępca szefa Sztabu Generalnego.

W Politbiurze Stalina nie było chyba nikogo, kto by go przewyższał wzrostem. Beria także był raczej niski, trochę otyły, zielonkawo-błady, o miękkich, wilgotnych rękach. Jego kwadratowe usta i wylupiane oczy za binoklami nagle przypomniały mi Wujkowicza, jednego z naczelników królewskiej policji belgradzkiej, który specjalizował się w torturowaniu komunistów. Stałem się odegnać nieprzyjemne porównanie, tym dokuczliwsze, że podobieństwo rozciągało się nawet na wyraz jego twarzy — pewne zadowolenie z siebie i ironia, zmieszana z serwilizmem i zapobiegliwością urzędnika. Beria był Gruzinem, jak Stalin, lecz na to nie wyglądał. Gruzini są na ogół kościści i ciemni. Opisać go było trudno. Można go było wziąć za Słowianina lub Łotysza, najłatwiej jednak za jakiegoś mieszańca.

Malenkow był jeszcze niższy i bardziej otyły, był to jednak typowy Rosjanin, z domieszką mongolską — ciemny, z wystającymi kośćmi policzkowymi i lekko ospowaty. Sprawiał wrażenie człowieka pełnego rezerwy, ostrożnego i niezbyt przyjemnego. Zdawało się, jak gdyby pod pokładami i zwojami tłuszczu krył się inny człowiek, żywy i zręczny, o inteligentnych i czujnych czarnych oczach. Od jakiegoś czasu wiadomo było, że nieoficjalnie wyręcza on Stalina w sprawach partyjnych. W praktyce wszystkie sprawy dotyczące organizacji partyjnej, awansów i degradacji funkcjonariuszy były w jego rękach. Był jednym z tych, którzy wymyślili „rejstry kadr” — szczegółowe życiorysy wszystkich członków i kandydatów na członków wielomilionowej partii — strzeżone i systematycznie uzupełniane w Moskwie. Skorzystałem ze spotkania z nim, by poprosić go o dzieło Stalina „O opozycji” (*Ob opozicii*), wycofane ze sprzedaży z powodu zawartych w nim licznych cytatów

z Trockiego, Bucharina i innych. Następnego dnia otrzymałem używany egzemplarz książki. Znajduje się on obecnie w mej bibliotece.

Bułganin był w mundurze generała. Był on raczej korpulentny, przystojny i niezaprzeczalnie rosyjski, ze staromodną kozią bródką, nadzwyczaj wstrzemięźliwy w swych wypowiedziach. Generał Antonow był jeszcze młody, bardzo przystojny, ciemny i zwinny. On także nie wtrącał się do rozmowy, chyba że dotyczyła go bezpośrednio.

Siedząc naprzeciwko Stalina, twarzą w twarz, nagle nabrałem pewności siebie, chociaż nie zwracał się on do mnie przez dłuższy czas. Dopiero gdy atmosferę rozgrzały trunki, toasty i dowcipy, Stalin uznał, że dojrzała pora zlikwidowania zatargu ze mną. Uczynił to w sposób na poły żartobliwy. Nalał dla mnie małą szklaneczkę wódki i wezwał mnie do wypicia za zdrowie Czerwonej Armii. Nie zrozumiałwszy od razu jego intencji, chciałem wypić na jego zdrowie. „Nie, nie”, nalegał, śmiejąc się i patrząc na mnie badawczo, „tylko za zdrowie Czerwonej Armii. Co, nie wypijecie za zdrowie Czerwonej Armii?”.

Wypiłem oczywiście, chociaż nawet u Stalina unikałem picia czegokolwiek poza piwem, gdyż po pierwsze alkohol mi nie służy, a po drugie, dlatego że pijaństwo nie zgadza się z moimi poglądami, aczkolwiek nie głosiłem nigdy wstrzemięźliwości.

Wtedy Stalin zapytał mnie o sprawę Czerwonej Armii. Wyjaśniłem mu, że znieważanie Czerwonej Armii nie leżało w mej intencji, lecz że pragnąłem zwrócić uwagę na uchybienia poszczególnych żołnierzy i na trudności polityczne, jakie nam to stwarzało.

Stalin przerwał: „Tak, czytaliście oczywiście Dostojewskiego? Czy rozumiecie, jak skomplikowana jest dusza ludzka, psyche ludzka? No więc, wyobraźcie sobie kogoś, kto bił się od Stalingradu do Belgradu — poprzez tysiące kilometrów swego własnego zniszczonego kraju, kto maszerował po martwych ciałach swych towarzyszy i swych najukochańszych! Jak może taki człowiek reagować normalnie? I cóż jest tak odrażającego w tym, że po takich okropnościach zabawi się z kobietą? Wyobrażaliście sobie, że Czerwona Armia jest idealna. Nie, ona nie jest idealna i nie może być idealna, nawet gdyby nie zawierała pewnego odsetka kryminalistów — otwarliśmy nasze zakłady karne

i wszystkich wcieliliśmy do wojska. Była raz taka historia. Jeden major lotnictwa zabawił się z kobietą, a pewien rycerski mechanik przybiegł by ją ratować. Major wyciągnął pistolet: 'Ech, ty tyłowy krecie!' krzyknął — i zastrzelił rycerskiego mechanika. Majora skazano na śmierć. Jakoś ta sprawa dotarła do mnie. Zarządziłem dochodzenia — mam po temu prawo jako naczelny dowódca w czasie wojny — zwolniłem majora i posłałem go na front. Obecnie jest jednym z naszych bohaterów. Trzeba rozumieć żołnierza. Czerwona Armia nie jest idealna. Ważne jest, że bije się z Niemcami — i bije się dobrze, a reszta nic nie znaczy”.

Wkrótce potem, po moim powrocie z Moskwy, posyłałem, ku memu przerażeniu, o daleko bardziej znamienitym przykładzie „wyrozumiałości” Stalina dla grzechów Czerwonej Armii. Mianowicie, przechodząc przez Prusy Wschodnie żołnierze sowieccy, szczególnie zaś jednostki czołgistów spędzały w jedno miejsce i po prostu zabijały wszystkich niemieckich cywilnych uchodźców — kobiety i dzieci. Powiadomiono o tym Stalina i zapytano go, co robić. Odpowiedział: „Za dużo udzielamy naszym żołnierzom pouczeń; pozwólcie im mieć trochę inicjatywy!”.

Owej nocy, w willi, zapytał później: „A co tam z generałem Korniejewem, szefem naszej misji, co to za człowiek?”.

Nie chciałem mówić źle o nim i o jego misji, aczkolwiek dałoby się wywlec niejedno, ale Stalin sam zamknął sprawę: „Biedny człowiek, nie jest głupi, lecz to pijak, nieuleczalny pijak”.

Potem Stalin widząc, że piję piwo, zażartował ze mnie. W rzeczywistości nawet piwa nie lubię. Stalin komentował: „Dziś pije piwo jak Niemiec, jak Niemiec — to jest Niemiec, Niemiec”.

Wcale mi się ten żart nie podobał; w tym czasie nawiść do Niemców, nawet do tych kilku emigrantów niemieckich, doszła w Moskwie do zenitu, ale przełknąłem to bez gniewu czy wewnętrznego niezadowolenia.

Tym samym zdawało się, że zatarg o zachowanie się Czerwonej Armii został zlikwidowany. Stosunek Stalina do mnie powrócił na tory początkowej serdeczności.

I tak było do czasu rozstania się Komitetów Centralnych: jugosłowiańskiego i sowieckiego, w roku 1948, kiedy

to Mołotow i Stalin podjęli w swych listach na nowo ten sam zatarg o Czerwoną Armię i wyrządzone jej przeze mnie „zniewagi”.

Stalin dokuczał Ticie z widocznym rozmysłem — w sposób, w którym było tyleż złośliwości co dowcipu. Wyrażał się nieżyczliwie o armii jugosłowiańskiej, pochlebiając jednocześnie armii bułgarskiej. Poprzedniej zimy jednostki jugosłowiańskie, w których było wielu rekrutów biorących po raz pierwszy udział w bardzo poważnych atakach frontalnych, poniosły klęski i Stalin, który, jak widać, był dobrze poinformowany, skorzystał z okazji, by powiedzieć: „Armia bułgarska jest lepsza niż jugosłowiańska. Bułgarzy mieli swoje słabe strony oraz nieprzyjaciół w swych szeregach. Rozstrzelali jednak kilkudziesięciu — i teraz wszystko jest w porządku. Armia bułgarska jest bardzo dobra — wyćwiczona i zdyscyplinowana. A wasza armia, jugosłowiańska — toż to wciąż partyzanci, nie nadający się do poważnej walki na froncie. Ostatniej zimy jeden pułk niemiecki rozbił całą waszą dywizję. Pułk pobił dywizję!”.

Nieco później Stalin wzniosł toast za zdrowie armii jugosłowiańskiej, nie zapomniał jednak dodać: „ale takiej, która będzie dobrze stawiała na udeptanej ziemi!”.

Tito powstrzymywał się od reagowania na komentarze Stalina. Ilekroć Stalin czynił jakąś dowcipną uwagę naszym kosztem, Tito spoglądał na mnie z powściągliwym uśmiechem, a ja z solidarnością i sympatią odwzajemniałem się mu tym samym. Kiedy jednak Stalin powiedział, że armia bułgarska jest lepsza niż jugosłowiańska, Tito nie wytrzymał i wykrzyknął, że armia jugosłowiańska szybko otrząśnie się ze swych niedociągnięć.

Można było wyczuć w stosunkach pomiędzy Stalinem a Titą coś szczególnego, niewypowiedzianego — jak gdyby ci dwaj mieli wzajemnie do siebie jakąś pretensję, lecz każdy miał swe własne powody, by się hamować. Stalin uważał, aby niczym nie obrazić Tity osobiście, jednocześnie jednak nieustannie naśmiewał się ze stosunków panujących w Jugosławii. Z drugiej strony Tito traktował Stalina z respektem, jak niższy stopniem wyższego, ale dawało się także odczuć jego niezadowolenie, zwłaszcza z uwag Stalina na temat stosunków jugosłowiańskich.

W pewnej chwili Tito powiedział, że wyłoniły się nowe zjawiska w socjalizmie i że socjalizm urzeczywistnia

się teraz na drogach odmiennych od dróg przeszłości, co dało Stalinowi okazję do powiedzenia: „Socjalizm jest dzisiaj możliwy nawet w monarchistycznej Anglii. Rewolucja nie jest już wszędzie konieczna. Dopiero niedawno była tu delegacja labourzystów brytyjskich i mówiliśmy o tym szczegółowo. Zaszło wiele zmian i socjalizm jest możliwy nawet pod panowaniem króla angielskiego”.

Jak wiadomo, Stalin nigdy nie podtrzymał tego poglądu publicznie. Labourzyści brytyjscy wkrótce potem zdobyli większość w wyborach i znacjonalizowali ponad dwadzieścia procent produkcji przemysłowej. Tym niemniej Stalin nigdy nie uznał tych posunięć za socjalistyczne, ani labourzystów za socjalistów. Twierdzę, że główną przyczyną były różnice i konflikty z rządem labourzystowskim w dziedzinie polityki zagranicznej.

W toku rozmowy na ten temat wtrąciłem, iż w Jugosławii istnieje w gruncie rzeczy sowiecki typ rządu; partia komunistyczna trzyma w swym ręku wszystkie kluczowe pozycje i nie ma żadnej poważnej partii opozycyjnej. Stalin jednak nie zgodził się z tym. „Nie, wasz rząd nie jest sowiecki — macie raczej coś pośredniego pomiędzy Francją de Gaulle’a a Związkiem Sowieckim”.

Tito zauważył, że w Jugosławii następują zmiany, ale dyskusja ta pozostała niedokończona. Wewnętrznie nie mogłem przyznać racji Stalinowi; myślałem też, że nie różnię się z Titą.

Stalin przedstawił swe poglądy na szczególny charakter toczącej się wojny: „Ta wojna nie jest taka, jak w przeszłości; kto okupuje terytorium, narzuca także swój własny ustrój społeczny. Każdy narzuca swój własny ustrój, tak daleko jak może dotrzeć jego armia. Nie może być inaczej”.

Nie wdając się w długie wyjaśnienia, wyłuszczył też znaczenie swej polityki wszechsłowiańskiej. „Jeśli Słowianie będą zjednoczeni i zachowają solidarność, nikt w przyszłości nie będzie mógł palcem ruszyć. Nawet palcem ruszyć!” — powtarzał i podkreślał tę myśl, przecinając powietrze palcem wskazującym.

Ktoś wyraził wątpliwość, czy Niemcy będą w stanie odzyskać na nowo siły przed upływem pięćdziesięciu lat. Lecz Stalin był innego zdania. „Nie, oni odzyskają siły — i to bardzo szybko. Jest to wysoko rozwinięty kraj prze-

myślowy z niezwykle wykwalifikowaną i liczną klasą robotniczą i inteligencją techniczną. Dajcie im dwanaście do piętnastu lat, a staną znowu na nogi. Dlatego też tak ważna jest jedność wśród Słowian. Jeśli zaistnieje jedność wśród Słowian, nikt nie ośmieli się palcem ruszyć!”.

W pewnej chwili powstał, podciągnął spodnie jak gdyby brał się do mocowania lub do boksu i zawołał niemal z uniesieniem: „Wkrótce wojna się skończy. W ciągu piętnastu do dwudziestu lat odzyskamy siły, a potem na nowo weźmiemy się do dzieła”.

Było coś przerażającego w jego słowach: przecież ta straszliwa wojna wciąż jeszcze trwała. Mimo to, robiły wrażenie jego dalsze plany oraz poczucie nieuchronności, stojącej przed światem, w którym żył i ruchem, któremu przewodził.

Reszta tego co mówiono owego wieczoru nie zasługiwała na zapamiętanie. Jedzono dużo, pito jeszcze więcej i wznoszono niezliczone toasty.

Mołotow opowiadał, jak Stalin dogryzł Churchillowi. „Stalin wzniósł toast za zdrowie tajnych agentów i tajnej służby, czyniąc aluzję do niepowodzeń Churchilla w Gallipoli w czasie pierwszej wojny światowej, spowodowanych brakiem dokładnych informacji”. Mołotow powołał się także, nie bez uciechy, na dziwaczne poczucie humoru Churchilla. „Churchill oświadczył w Moskwie, przy wódce, że zasługuje na najwyższy order i pochwałę w rozkazie dziennym Czerwonej Armii, ponieważ dzięki interwencji w Archangielsku nauczył ją bić się tak dobrze”. Nie można zaprzeczyć, że chociaż go nie lubili, Churchill wywarł na przywódcach sowieckich głębokie wrażenie jako daleko-wzroczny i niebezpieczny „burżuazyjny mąż stanu”.

W drodze powrotnej w samochodzie Tito, który również nie wytrzymał dużych ilości napojów, zauważył: „Nie wiem, co do licha jest z tymi Rosjanami, że tyle piją — zupełna dekadencja!”. Oczywiście zgodziłem się z nim i mimo wielu usiłowań nigdy nie zdołałem znaleźć wyjaśnienia, dlaczego wysocy urzędnicy sowieccy piją tak rozpaczliwie i tak zapamiętale.

Wracając do miasta z willi w której ulokowany był Tito, porządkowałem swe wrażenia z owej nocy, w ciągu której faktycznie nic ważnego się nie stało: nie było żadnych kwestii spornych, a jednak wydawało się, że jesteśmy

bardziej od siebie oddaleni niż kiedykolwiek przedtem. Ze względów politycznych, wszystkie zatargi zostały rozwiązane, rzecz nieuchronna w stosunkach pomiędzy niepodległymi państwami.

Pod koniec naszego pobytu (już po obiedzie ze Stalinem) spędziliśmy wieczór u Dimitrowa. Aby czymś go wypełnić, zaprosił on kilku aktorów sowieckich, którzy dali krótkie przedstawienie.

Oczywiście mówiło się o przyszłej unii bułgarsko-jugosłowiańskiej, ale bardzo ogólnikowo i krótko. Tito i Dimitrow wymieniali wspomnienia z Kominternu. W sumie było to bardziej przyjacielskie zebranie, niż spotkanie polityczne.

Dimitrow był już wtedy sam, ponieważ wszyscy Bułgarzy dawno temu wyjechali do Bułgarii — śladem Czerwonej Armii. Widać było, że jest on zmęczony i zubożniały; znaliśmy — przynajmniej w części — powody, chociaż nic się o tym nie mówiło. Aczkolwiek Bułgaria była oswobodzona, Stalin nie pozwalał na powrót Dimitrowa, twierdząc, że jeszcze nie nadeszła pora, gdyż państwa zachodnie wzięłyby jego powrót za jawną oznakę usadowienia się komunizmu w Bułgarii — jak gdyby takich również i o tym nie było! Na obiedzie u Stalina mówił: „Nie pora jeszcze Dimitrowowi jechać do Bułgarii; jest mu dobrze tu, gdzie jest”.

Nie było na to żadnych dowodów, a jednak już wtedy podejrzewano, iż Stalin nie dopuści do powrotu Dimitrowa, dopóki sam nie rozstrzygnie spraw w Bułgarii! Te nasze podejrzenia nie implikowały jeszcze hegemonii sowieckiej, choć już się pojawiały jej zapowiedzi, natomiast wiedzieliśmy w tym nieunikniony wynik rzekomych obaw Stalina, iż Dimitrow mógłby przedwcześnie posunąć sprawy w Bułgarii zbyt daleko na lewo.

Lecz nawet to było znamienne i wystarczające — na początek. Stąd cała seria zapytań. Stalin był genialny, ale i Dimitrow nie wypadł sroce spod ogona. Jakim cudem Stalin mógł lepiej wiedzieć od Dimitrowa, co należy robić w Bułgarii? Czy trzymanie Dimitrowa wbrew jego woli w Moskwie nie podważy jego reputacji wśród bułgarskich komunistów i bułgarskiego ludu? I w ogóle o co chodzi

w tej skomplikowanej rozgrywce o jego powrót, w której Rosjanie nie opowiadali się nikomu, nawet Dimitrowowi?

W polityce, bardziej niż gdziekolwiek indziej, początek wszystkiego leży w oburzeniu moralnym i w zwątpieniu w dobre intencje innych.

6.

Powróciliśmy drogą na Kijów. Na życzenie nasze i rządu sowieckiego zatrzymaliśmy się tam przez kilka dni, by złożyć wizytę rządowi ukraińskiemu.

Sekretarzem Partii Ukraińskiej i premierem rządu był N. S. Chruszczow, komisarzem spraw zagranicznych — Manuiliński. Oni to nas przyjęli i z nimi spędziliśmy całe trzy dni.

W owym czasie, w roku 1945, wojna wciąż jeszcze trwała i wolno było wyrażać skromne życzenia. Chruszczow i Manuiliński wyrazili życzenie, by Ukraina mogła nawiązać stosunki dyplomatyczne z „demokracjami ludowymi”.

Nic z tego jednak nie wyszło. Stalin wkrótce spotkał się z oporem nawet w „demokracjach ludowych”, tak że daleki był od wzmacniania jakiejkolwiek odrębności ukraińskiej. Jeśli chodzi o wymownego i rzeźkiego starego weterana Manuilińskiego — ministra bez ministerstwa — wygłaszał on później przez kilka lat mowy w Narodach Zjednoczonych, by pewnego dnia zniknąć i przepaść w bezimiennej masie ofiar Stalina czy kogoś innego.

Przeznaczenie Chruszczowa było zgoła odmienne. W owym jednak momencie nikt nie mógł się tego domyślać. Już wtedy był on w czołówce politycznego kierownictwa — był w niej od roku 1939 — aczkolwiek sądzono, że nie jest tak bliski Stalinowi, jak Mołotow i Malenkow, czy nawet Kaganowicz. W najwyższych sferach sowieckich uważano go za bardzo zręcznego wykonawcę o wielkich talentach w sprawach ekonomicznych i organizacyjnych, lecz nie za pisarza lub mówcę. Wszedł w skład kierownictwa na Ukrainie po czyszkach w połowie lat trzydziestych. Nie potrafię powiedzieć — bo wtedy się tym nie interesowałem — jaki był w nich jego udział. Wiadomo jednak, jak się szło w

górze w stalinowskiej Rosji: na pewno przez zdecydowanie i zręczność w czasie krwawych kampanii „antykułackich” i „antypartyjnych”. Na pewno nie mogło być inaczej zwłaszcza na Ukrainie, gdzie oprócz wymienionych wyżej „grzechów śmiertelnych” istniał również „nacionalizm”.

Chociaż poszczęściło mu się w stosunkowo młodym wieku, nie było w karierze Chruszczowa niczego zdumiewającego nawet w świetle warunków sowieckich; jako robotnik torował sobie drogę przez szkoły, polityczne i inne — i wspinał się po partyjnej drabinie dzięki poświęceniu, czujności i inteligencji. Jak większość przywódców, należał do nowej, porewolucyjnej stalinowskiej generacji dygnitarzy partyjnych i sowieckich. Wojna zastała go na najwyższym stanowisku na Ukrainie. Ponieważ Czerwona Armia musiała wycofać się z Ukrainy przed Niemcami, otrzymał w niej stanowisko polityczne, wysokie lecz nie najwyższe — był wciąż w mundurze generała brygady. Po wypędzeniu Niemców powrócił do Kijowa jako szef partii i rządu.

Styszeliliśmy kiedyś, że z urodzenia nie był Ukraińcem, lecz Rosjaninem. Jakkolwiek o tym nie mówiono, on sam unikał wzmianki na ten temat, gdyż byłoby kłopotliwe, gdyby nawet premier Ukrainy nie był Ukraińcem! Nawet dla nas komunistów, którzy umieliśmy usprawiedliwić i wytłumaczyć wszystko, co mogłoby przyciemnić idealny obraz nas samych — byłoby niezrozumiałe że między Ukraińcami, w narodzie tak samo licznym jak Francuzi a pod niektórymi względami kulturalniejszym od Rosjan, nie było ani jednej osoby, nadającej się na urząd premiera rządu.

Nie dało się też ukryć przed nami, że Ukraińcy, w miarę wkraczania Niemców na ich ziemie, masowo dezertowali z Czerwonej Armii. Po wypędzeniu Niemców, jakieś półtrzecia miliona Ukraińców wcielono w szeregi Czerwonej Armii. Chociaż wciąż jeszcze przeprowadzano mniejsze operacje przeciw nacjonalistom ukraińskim (jedną z ich ofiar był utalentowany generał sowiecki Watutin), to jednak nie mogliśmy w pełni dać wiary wyjaśnieniu, że ten stan rzeczy na Ukrainie spowodowała wyłącznie uporczywość ukraińskiego nacjonalizmu burżuazyjnego. Narzucało się samo przez się zapytanie: Skąd ten nacjonalizm, jeśli narody ZSSR są naprawdę równe?

Zdumiewała nas i zastanawiała wybitna rusyfikacja życia publicznego. W teatrze panował język rosyjski, nawet dzienniki były w języku rosyjskim.

Dalecy byliśmy jednak od obwiniania naszego miłego gospodarza, N.S. Chruszczowa, o to lub cokolwiek innego, gdyż jako dobry komunista mógł tylko wykonywać rozkazy swej partii, swego leninowskiego Komitetu Centralnego, oraz swego przywódcy i nauczyciela, J.W. Stalina. Wszyscy przywódcy sowieccy odznaczali się praktycznością oraz bezpośredniością w stosunkach między sobą. N.S. Chruszczow wybijał się nad innych w obu wypadkach.

Ani wtedy ani obecnie — po uważnym zapoznaniu się z jego mowami na kongresach — nie odniosłem wrażenia, by jego wiedza wychodziła poza granice klasycznej literatury rosyjskiej i historii Rosji, zaś jego wiedza teoretyczna jest na poziomie średniej szkoły partyjnej. Prócz tej wiedzy powierzchownej, nabytej na kursach, znacznie ważniejsza jest wiedza, którą nabył jako samouk, w nieustannym doskonaleniu się, a jeszcze bardziej doświadczenie, zdobyte w ożywionej i wielostronnej działalności. Wiedzy tej nie da się określić, gdyż zarówno zdumiewająca jest jego znajomość pewnych rzadkich faktów, jak i jego nieznanomość elementarnych prawd. Ma pamięć doskonałą i mówi żywo i obrazowo.

Odmienne od innych przywódców sowieckich, Chruszczow był niezmiernie gadatliwy, ale tak jak i oni lubił posługiwać się przysłowiami i powiedzeniami ludowymi. Taka to była podówczas moda na dowód łączności z ludem. U niego było to jednak mniej sztuczne, gdyż jego sposób bycia i mówienia jest prosty i niezmanierowany. Ma również poczucie humoru. Odmienne od poczucia humoru Stalina, przeważnie intelektualnego i tym samym cynicznego, humor Chruszczowa jest typowo ludowy, a przeto często prymitywny, lecz żywy i niespożyty. Teraz, gdy wspiął się na najwyższe szczyty władzy i jest na oczach całego świata, dba o swój wygląd i sposób wyrażania się, ale w zasadzie pozostał niezmieniony. Pod skórą obecnego szefa sowieckiego państwa i partii nietrudno jest odkryć człowieka z ludu. Należałoby jednak dodać, że — mniej niż jakikolwiek inny komunistyczny samouk czy niedokończony student — cierpi on na kompleks niższości, to jest nie odczuwa potrzeby ukrywania osobistej ignorancji i słabości pod błyskotli-

wymi wypowiedziami. Banały, w które obfituje rozmowa z nim, są wyrazem zarówno istotnej ignorancji, jak i mechanicznie wyuczonych marksistowskich maksym, nawet te wygłasza jednak z przekonaniem i szczerością. Język i sposób ich wygłaszania przemawia do kręgu większego niż ten, do którego przemawiał Stalin, chociaż on także zwracał się do tej samej — partyjnej — publiczności.

W swym niezbyt nowym, niewyprasowanym mundurze generalskim, był jednym jedynym spośród przywódców sowieckich, który wnikał w szczegóły, w codzienne życie komunistycznych szeregowców i obywateli. Naturalnie, nie czynił tego z myślą o zmianie, lecz o wzmocnieniu i udoskonaleniu istniejących stosunków. Wglądał w sprawy i zarządzał im, podczas gdy inni wydawali rozkazy zza biurka i otrzymywali raporty.

Żaden przywódca sowiecki nie odwiedzał kołchozów, chyba z racji jakiegoś święta lub parady. Chruszczow towarzyszył nam przy zwiedzaniu kołchozu i jak najgłębiej przekonany o słuszności samego systemu, trącał się wielkimi szklankami wódki z kołchoźnikami, oglądał inspekty, zajrzał do chlewu i omawiał sprawy praktyczne. W drodze powrotnej do Kijowa powracał raz po raz do kwestii gospodarstw kolektywnych i otwarcie uwypuklał niedociągnięcia.

Mogliśmy dokładnie zaobserwować jego nadzwyczajny zmysł praktyczny na posiedzeniach rządu ukraińskiego poświęconych sprawom gospodarczym. Odmiennie od ministrów jugosłowiańskich, jego komisarze byli znakomicie obznajomieni ze sprawami i — co jeszcze ważniejsze — realistycznie oceniali możliwości.

Raczej niski i gruby, lecz żwawy i ruchliwy, był z gruba ciosany i jakby z jednej bryły. Dosłownie połykał imponujące ilości żywności — jakby chciał oszczędzać swą sztuczną szczękę stalową. Podczas gdy Stalin i jego otoczenie czyniło wrażenie smakoszów, wydawało mi się, że Chruszczowowi było wszystko jedno, co je i że ważne dlań było tylko aby się najeść — jak dla każdego ciężko pracującego człowieka, o ile, oczywiście, może sobie na to pozwolić. Zastawa jego stołu także była dostatnia — okazała, ale pospolita. Chruszczow nie jest smakoszem, chociaż je nie mniej niż Stalin, a pije jeszcze więcej.

Jest on nadzwyczaj żywotny i — jak wszyscy ludzie czynu — posiada wielką umiejętność przystosowywania się. Nie sędzę, by zbyt często zastanawiał się nad doborem metod, dopóki przynoszą mu one praktyczne wyniki. Natomiast, jak wszyscy popularni demagodzy, którzy często sami wierzą w to co mówią, z łatwością porzuca metody niepraktyczne i chętnie uzasadnia zmianę, powołując się na racje moralne i na najwyższe ideały. Lubi przytaczać przysłowie: „W czasie walki nie zatrzymuj się, by zbierać szczapy”. Służy mu ono do stwierdzenia znaczenia byle szczapy, wtedy, gdy nie ma walki. Wszystko, co tu powiedziałem, nie jest bynajmniej tym, co należałoby o Chruszczowie powiedzieć dzisiaj. Mimo to przedstawiłem me wrażenia z dawnych czasów, a także, mimochodem, me przygodne refleksje dzisiejsze.

W owym czasie nie mogłem zauważyć żadnego śladu, by Chruszczow nie pochwałał polityki Stalina i Mołotowa. Ilekroć mowa była o Stalinie, mówił o nim z respektem i podkreślał swą z nim intymność. Opowiadał, jak w przededniu ataku niemieckiego Stalin zatelefonował do niego z Moskwy, ostrzegając go by był czujny, gdyż otrzymał wiadomość, iż Niemcy mogą rozpocząć operacje następnego dnia — 22 czerwca. Przytaczam to jako fakt, a nie dla odparcia zarzutów Chruszczowa przeciw Stalinowi, dotyczących zaskoczenia przez niemiecki atak. Zaskoczenie było wynikiem błędnej oceny politycznej ze strony Stalina.

Tym niemniej, w Kijowie czuło się pewną świeżość — dzięki bezgranicznemu wigorowi i praktyczności Chruszczowa, entuzjazmowi Manuilewskiego oraz pięknu samego miasta, które widnymi horyzontami i panującymi nad wielką mulistą rzeką wzgórzami przypomina Belgrad. Chociaż Chruszczow wywierał wrażenie siły, pewności siebie i realizmu, a Kijów wrażenie świadomej i pielęgnowanej urody, to jednak Ukraina pozostała w mej pamięci związana z utratą osobowości, ze znużeniem i beznadziejnością.

Im bardziej wgłębiałem się w rzeczywistość sowiecką, tym bardziej mnożyły się me wątpliwości. Pogodzenie tej rzeczywistości z moim sumieniem stawało się zadaniem coraz bardziej beznadziejnym.

ROZCZAROWANIA

1.

Moje trzecie spotkanie ze Stalinem nastąpiło z początkiem 1948 roku. Było to spotkanie najważniejsze, gdyż miało miejsce w przede dniu rozejścia się przywódców: sowieckiego i jugosłowiańskiego. Poprzedziły je znamienne wypadki i zmiany w stosunkach jugosłowiańsko-sowieckich.

Stosunki pomiędzy Związkiem Sowieckim a Zachodem przybrały już formę zimnej wojny między dwoma blokami. Moim zdaniem kluczowymi wydarzeniami prowadzącymi do tego były: odrzucenie przez Sowiety planu Marshalla, wojna domowa w Grecji i utworzenie przez niektóre partie komunistyczne Biura Informacyjnego — Kominformu. Jugosłavia i Związek Sowiecki były jedynymi krajami wschodnioeuropejskimi, zdecydowanie przeciwnymi planowi Marshalla — pierwsza głównie z racji rewolucyjnego dogmatyzmu, drugi z obawy, iż amerykańska pomoc gospodarcza zachwieje imperium, tak niedawno zdobytym siłą.

Jako delegat jugosłowiański na kongres Francuskiej Partii Komunistycznej w Strassburgu znalazłem się w Paryżu w tym samym czasie, w którym Mołotow przeprowadzał rozmowy w sprawie planu Marshalla z przedstawicielami państw zachodnich. Mołotow przyjął mnie w ambasadzie

sowieckiej. Byliśmy zgodni co do bojkotu planu Marshalla, a także w naszej krytyce partii francuskiej z jej tak zwaną „linią narodową”. Mołotowa interesowały szczególnie moje wrażenia z kongresu. Mówiąc o *La Nouvelle Democratie*, periodyku, którego redaktorem był Duclos i którego celem było wyrażanie jednolitych poglądów partii komunistycznych, zauważył: „To nie to, co było potrzebne i co należało zrobić”.

Jeśli chodzi o plan Marshalla, Mołotow zastanawiał się, czy nie należałoby zwołać konferencji z udziałem krajów wschodnich, lecz tylko w celach propagandowych, w zamiarze wyzyskania rozgłosu konferencji, a potem opuszczenia jej w dogodnym momencie. Nie entuzjazmowałem się tym wariantem, choć nie opierałbym mu się, gdyby Rosjanie nalegali, takie bowiem stanowisko zajął rząd mego kraju. Mołotow otrzymał jednak depezę z Politbiura w Moskwie, iż nawet na to nie powinien dać zgody.

Natychmiast po powrocie do Belgradu dowiedziałem się, że w Moskwie ma się odbyć konferencja krajów wschodnio-europejskich celem ustosunkowania się do planu Marshalla. Mnie wyznaczono na przedstawiciela Jugosławii. Rzeczywistym celem konferencji miało być wywarcie zbiorowego nacisku na Czechosłowację, której rząd nie był przeciwny udziałowi w planie Marshalla. Samolot sowiecki czekał już na lotnisku belgradzkim, nie poleciałem jednak następnego dnia, gdyż z Moskwy nadszedł telegram, zawiadamiający, iż konferencja jest niepotrzebna — rząd czechosłowacki porzucił swe pierwotne stanowisko.

Ta zgodność poglądów ze Związkiem Sowieckim, chociaż z powodów odmiennych, uwidoczniła się też w utworzeniu Kominformu. Już w roku 1946 dyskutowano myśl o konieczności utworzenia jakiegoś ciała, mogącego ułatwić koordynację i wymianę poglądów pomiędzy partiami komunistycznymi. Stalin, Tito i Dimitrow rozmawiali o tym wiosną tegoż roku. Realizację tego planu trzeba było jednak odłożyć z wielu przyczyn, głównie dlatego, że wszystko zależało od decyzji przywódców sowieckich. Jesienią 1947 roku, najprawdopodobniej w związku z odrzuceniem planu Marshalla przez Sowiety i z utrwaleniem się panowania sowieckiego nad Europą wschodnią, przywódcy sowieccy orzekli, że nastąpi odpowiednia pora.

Na zebraniu założycielskim — w zachodniej Polsce, to jest, na dawnym terytorium niemieckim — tylko dwie delegacje były zdecydowanie za Kominformem: jugosłowiańska i sowiecka. Gomułka był przeciwny, ostrożnie lecz nie-dwuznacznie wypowiadając się za „polską drogą do socjalizmu”.

W związku z tym winienem wymienić jako curiosum, że Stalin chciał, aby organ Kominformu nazywał się: *O trwałą pokój, o demokrację ludową*, myśląc, że za każdym razem, gdy prasa zachodnia będzie go cytowała, będzie musiała to hasło powtórzyć. Lecz oczekiwania Stalina nie spełniły się: z powodu długości i oczywiście propagandowego charakteru jej nazwy, gazeta — jak na złość — najczęściej określana była po prostu jako „organ Kominformu”. Stalin też zadecydował ostatecznie, gdzie ma być siedziba Kominformu. Delegaci zgodzili się na Pragę i przedstawiciel czeski, Slansky, pojechał tegoż wieczoru samochodem do Pragi na naradę w tej sprawie z Gottwaldem. Lecz tej nocy Żdanow i Malenkov rozmawiali ze Stalinem (gdyż nawet w tej zapadłej dziurze było bezpośrednie połączenie telefoniczne z Moskwą) i chociaż Gottwald raczej niechętnie się na to zgodził, Stalin zarządził, że siedziba winna być w Belgradzie.

Ta dwoistość postępowania występowała na dnie stosunków jugosłowiańsko-sowieckich: na powierzchni, całkowita zgodność polityczna a zwłaszcza ideologiczna, lecz w rzeczywistości rozbieżne praktyki i oceny.

Gdy wiosną 1946 roku przybyła do Moskwy dość liczna delegacja czołowych przywódców jugosłowiańskich — Tito, Rankowicz, Kidricz, Neskowicz — stosunki pomiędzy dwiema grupami kierowniczymi były bardziej niż serdeczne. Stalin uściskał Titę, wspomniał o jego ogólnoeuropejskiej roli i demonstracyjnie umniejszał Bułgarów i Dimitrowa. Lecz wkrótce potem spółki mieszane doprowadziły do napięcia i niezgody.

Podskórne zadrażnienie trwało nieustannie. Niewidoczne dla świata niekomunistycznego, wybuchło w ścisłych naradach partyjnych, wywołane przez werbunek do wywiadu sowieckiego; werbunek ten był wyjątkowo nierozważny, jeśli chodzi o aparat państwowy i partyjny. Wybuchło ono także w sferze ideologii, zwłaszcza z powodu lekceważenia

przez Sowiety rewolucji jugosłowiańskiej. Przedstawicielom sowieckim szczególnie nie w smak było stawianie przez Jugosłowian Tity zaraz po Stalinie. Byli oni wyjątkowo wrażliwi na samodzielne zrzeszanie się Jugosławii z innymi państwami wschodnio-europejskimi i wzrost wśród nich jej prestiżu.

Zadrażnienie rychło przerzuciło się na stosunki gospodarcze, zwłaszcza gdy stało się dla Jugosłowian oczywiste, iż poza zwyczajnymi powiązaniem handlowymi nie mogą liczyć na pomoc sowiecką w wykonywaniu ich planu pięcioletniego. Wyczuwając opór, Stalin podkreślał, że spółki mieszane między zaprzyjaźnionymi krajami nie są wskazane i przyrzekał dać wszelką możliwą pomoc. Jednocześnie jednak jego negocjatorzy wyzyskiwali przewagę gospodarczą Sowietów, korzystając z zajątrzonych stosunków między Jugosławią i Zachodem i złudnego poglądu Jugosłowian, że ZSSR jest państwem obcym egoizmowi i hegemonizmowi.

Poza Albanią, Jugosławia była jedynym państwem wschodnio-europejskim, które oswobodziło się samo spod najazdu hitlerowskiego, a jednocześnie przeprowadziło rewolucję wewnętrzną bez rozstrzygającej pomocy Czerwonej Armii. Posunęło się ono najdalej w dokonywaniu przeobrażeń społecznych, było ponadto położone w najbardziej — jak się wkrótce okazało — eksponowanym miejscu bloku sowieckiego. W Grecji toczyła się wojna domowa. W Narodach Zjednoczonych oskarżano Jugosławię o jej podsycanie i o dawanie pomocy materiałowej. Stosunki Jugosławii z Zachodem, a szczególnie ze Stanami Zjednoczonymi, były tak napięte, że groziły zerwaniem.

Gdy rozpamiętuję przeszłość, wydaje mi się, że rząd sowiecki nie tylko patrzył z zadowoleniem na zaostrzanie się stosunków pomiędzy Jugosławią a Zachodem, ale je nawet podniecał, zważając — oczywiście — by nie wyjść poza granice swych własnych interesów i możliwości. Po zestrzeleniu dwóch samolotów amerykańskich w Jugosławii Mołotow niemal wyściskał Kardela w Paryżu, ostrzegając go jednak przed zestrzeleniem trzeciego. Rząd sowiecki nie podjął żadnej akcji bezpośredniej, jeśli chodzi o powstanie w Grecji, pozostawiając w praktyce Jugosławię samą w obliczu Narodów Zjednoczonych, nie podjął też — póki Stalin nie uznał, że leży to w jego interesie — żadnych stanowczych kroków, by doprowadzić do zawieszenia broni.

Tak samo i wyznaczenie Belgradu na siedzibę Kominformu tylko pozornie było wyrazem uznania dla rewolucji jugosłowiańskiej. Krył się za nim tajny zamiar Sowietów, by rewolucyjnym samozadowoleniem ukołysać przywódców jugosłowiańskich i podporządkować Jugosławię jakiejś rzekomej międzynarodowej solidarności komunistycznej — faktycznie zaś, hegemonii państwa sowieckiego, a raczej nie-nasyconym wymaganiom sowieckiej biurokracji politycznej.

Pora by rzec coś o stosunku Stalina do rewolucji, a tym samym do rewolucji jugosłowiańskiej. Ponieważ Moskwa wstrzymywała się — zawsze w rozstrzygających momentach — od udzielenia poparcia rewolucjom: chińskiej, hiszpańskiej, a pod wielu względami nawet i jugosłowiańskiej, nie bez racji przeważał pogląd, że Stalin jest w ogóle przeciwny rewolucjom. Jest to jednak niezupełnie ściśle. Był on przeciwny tylko warunkowo, to jest od momentu, w którym rewolucja wychodziła poza interesy państwa sowieckiego. Czuł instynktownie, że stworzenie ośrodków rewolucyjnych poza Moskwą może zagrozić jej zwierzchnictwu w komunizmie światowym; i rzeczywiście to właśnie nastąpiło. Oto dlaczego pomagał rewolucjom, ale tylko do pewnego miejsca — dopóki mógł je kontrolować — zawsze był jednak gotów rzucić je na łaskę losu, ilekroć wymknęły mu się z rąk. Twierdzę, że nawet i dzisiaj nie ma pod tym względem żadnej istotnej zmiany w polityce rządu sowieckiego.

Jako człowiek, który podporządkowywał sobie i swym poglądom wszystkie poczynania we własnym kraju, Stalin nie mógł na zewnątrz zachowywać się odmiennie. Utożsamiając postęp wewnętrzny i wolność z interesami i przywilejami jednej partii politycznej, nie mógł postępować w sprawach zagranicznych inaczej niż jako hegemonista. Jak u każdego, miarodajne są nie jego słowa, lecz czyny. Stał się sam niewolnikiem despotyzmu, biurokracji, ciasnoty poglądów i służalczości, które narzucił swemu krajowi. Bo jest prawdą, że nikt nie może pozbawić innych wolności, nie tracąc swej własnej.

Okazję do mego wyjazdu do Moskwy dała rozbieżność pomiędzy polityką Jugosławii a polityką ZSSR wobec Albanii. Z końcem grudnia 1947 roku nadeszła z Moskwy depesza, w której Stalin zażądał przybycia kogoś z jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego — wymienił tylko mnie z nazwiska — celem zharmonizowania polityki obu rządów w stosunku do Albanii.

Brak harmonii dawał się odczuwać w różnoraki sposób, najbardziej rzucając się w oczy po samobójstwie Naku Spiru, członka albańskiego Komitetu Centralnego.

Jugosławia i Albania wiązały się z sobą we wszystkich dziedzinach. Jugosławia posyłała do Albanii różnych ekspertów w coraz to większej liczbie. Do Albanii szła żywność, chociaż Jugosławia sama cierpiała na jej brak. Zaczęło się tworzenie spółek mieszanych. Oba rządy zgodziły się w zasadzie, że Albania winna połączyć się z Jugosławią, co rozwiązałoby kwestię mniejszości albańskiej w Jugosławii.

Warunki, które rząd jugosłowiański przedłożył rządowi albańskiemu, były korzystniejsze i sprawiedliwsze dla Albańczyków niż — dla porównania — warunki zaoferowane Jugosłowianom przez rząd sowiecki. Widocznie jednak problem nie leżał w stopniu sprawiedliwości, lecz w istotnym charakterze tych stosunków. Część kierownictwa albańskiego była w głębi duszy, potajemnie przeciwna ofercie jugosłowiańskiej.

Naku Spiru — drobny słabowity, bardzo wrażliwy, o świetnym intelekcie — zarządzał w owym czasie sprawami gospodarczymi Albanii i pierwszy zbuntował się przeciw Jugosławii, żądając, by Albania rozwijała się samodzielnie. Stanowisko jego wywołało ostrą reakcję nie tylko w Jugosławii, ale także w albańskim Komitecie Centralnym. Przeciwwstawiał mu się szczególnie Koczi Dzodze, albański minister spraw wewnętrznych, którego później rozstrzelano pod zarzutem, że był pro-jugosłowiański. Robotnik z południowej Albanii i stary rewolucjonista, Dzodze cieszył się opinią najwierniejszego członka partii, pomimo, iż Enver Hodża — niewątpliwie bardziej wykształcony i przedsiębiorczy — był sekretarzem generalnym partii i premierem. Hodża także podzielał krytyczny stosunek do Spiru, mimo że jego

ówczesna sytuacja była niejasna. Nieszczęsny Spiru, osamotniony, oskarżony o szowinizm i prawdopodobnie na progu wyrzucenia z partii, popełnił samobójstwo. Zgon jego zapoczątkował — co na pewno nigdy nie było jego myślą — pogorszenie stosunków jugosłowiańsko-albańskich.

Rzecz jasna, całą sprawę zatajono przed szerokim ogółem. Później, po jawnym zerwaniu z Jugosławią w roku 1948, Enver Hodża umieścił Spiru na piedestale jako bohatera narodowego. Lecz na „wierchuszce” obu krajów sprawa pozostawiła złe wrażenie. Nie mogły go rozwiać plotki na temat tchórzostwa Spiru, jego drobnomieszczańskiego ducha i tym podobne, jakich nigdy nie brak w komunistycznym arsenale stereotypów.

Rząd sowiecki doskonale wiedział zarówno o rzeczywistych przyczynach zgonu Spiru, jak i o całokształcie poczynañ Jugosławii w Albanii. Misja jugosłowiańska w Albanii rozrastała się coraz bardziej. Ponadto, stosunki pomiędzy trzema rządami — sowieckim, albańskim i jugosłowiańskim — były takie, że dwa ostatnie nie ukrywały specjalnie swych stosunków przed pierwszym. Chociaż należy też powiedzieć, iż rząd jugosłowiański nie zasięgał zdania rządu sowieckiego co do szczegółów swej polityki.

Przedstawiciele sowieccy coraz częściej żalili się na pewne kroki jugosłowiańskie w Albanii, a jednocześnie dawało się zauważyć coraz większe zbliżenie pomiędzy grupą otaczającą Hodżę i misją sowiecką. Co chwila pojawiało się jakieś zażalenie tego czy innego przedstawiciela sowieckiego: Dlaczego Jugosłowianie tworzą spółki mieszane z Albańczykami, jeśli we własnym kraju odmawiali tworzenia takich spółek z ZSSR? Dlaczego posyłają swych instruktorów do armii albańskiej, jeśli mają w swej własnej armii instruktorów sowieckich? Jak może Jugosławia dostarczać Albanii ekspertów, jeśli sama stara się o ekspertów z zagranicy? Jak to jest, że Jugosławia, sama biedna i niedorozwinięta, raptem zamierza rozwijać Albanię?

Równolegle do tych rozbieżności pomiędzy rządami: sowieckim i jugosłowiańskim, coraz to widoczniejsze stawało się dążenie Moskwy do zajęcia miejsca Jugosławii w Albanii, co wydawało się Jugosłowianom szczególnie niesprawiedliwe wobec faktu, że nie ZSSR proponował połączenie się z Albanią i że nie ZSSR sąsiadował z Albanią. Coraz widoczniejsze stawało się, iż przywódcy albańscy zwracają się ku

Związkowi Sowieckiemu, coraz też żywszy znajdowało to wyraz w ich propagandzie.

Inicjatywę rządu sowieckiego zmierzającą do zakończenia sporu w sprawie Albanii, przyjęto w Belgradzie najżywczej, chociaż do dzisiaj nie wyjaśniło się, dlaczego Stalin kładł nacisk właśnie na moje przybycie do Moskwy.

Zdaje mi się, że kierowały nim dwa powody. Prawdopodobnie uważał mnie za człowieka szczerego i otwartego. Sądzę, że za takiego uważali mnie również i jugosłowiańscy komuniści. Nadawałem się tedy do uczciwej dyskusji w skomplikowanej i bardzo delikatnej sprawie. Przypuszczam, że miał on także zamiar pozyskania mnie w celu rozbicia od wewnątrz i podporządkowania sobie jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego. Miał już po swej stronie Hebranga i Żujowicza, lecz Hebrang został usunięty z Komitetu Centralnego i oddany pod tajny nadzór z powodu niewyjaśnionego zachowania się w więzieniu w czasie wojny. Żujowicz był osobistością wybitną, lecz nawet jako członek Komitetu Centralnego nie należał do ścisłego grona, które w toku walki o jedność partii i podczas samej rewolucji uformowało się wokół Tity.

Gdy Tito podczas pobytu w Moskwie w 1946 roku powiedział, że cierpię na bóle głowy, Stalin zaprosił mnie, bym przyjechał do niego na Krym, na kurację odpoczynkową. Nie pojechałem jednak, głównie dlatego, że zaproszenie nie zostało ponowione drogą przez ambasadę, uważałem je więc tylko za grzecznościowy gest, uczyniony po prostu dlatego, że rozmowa zesłała na mnie.

Jeśli mnie pamięć nie myli, ruszyłem w drogę do Moskwy 8 stycznia, a w każdym razie gdzieś około tej daty — z mieszanymi uczuciami. Pochlebiało mi, iż Stalin specjalnie mnie zaprosił, miałem jednak także niejasne, niewypowiedziane podejrzenie, że nie było to przypadkowe i że nie wynikało z czystych zamiarów w stosunku do Tity i jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego.

Nie otrzymałem żadnych specjalnych poleceń czy instrukcji w Belgradzie, żadne też instrukcje nie były potrzebne, ponieważ należałem do ścisłego grona przywódców i byłem *au courant* stosunków albańsko-jugosłowiańskich. Mieliśmy już skryształizowany pogląd, iż przedstawiciele sowieccy swymi nietaktownymi poczynaniami lub zajmowa-

niem innej linii nie powinni przeszkadzać ogłoszonej już polityce połączenia się Jugosławii z Albanią.

Przedstawiciele armii jugosłowiańskiej skorzystali z tej sposobności, by razem ze mną posłać swoją własną delegację, która miała przedstawić postulaty w zakresie amunicji i rozwoju naszego przemysłu wojennego. W skład delegacji wchodził: ówczesny szef Sztabu Generalnego, Kocza Popowicz oraz szef jugosłowiańskiego przemysłu wojennego, Mijalko Todorowicz. Swetozar Wukmanowicz-Tempo, podówczas szef zarządu politycznego armii, również jechał z nami, w celu zapoznania się z doświadczeniami Czerwonej Armii w tej dziedzinie.

Jechaliśmy do Moskwy pociągiem, w dobrym nastroju i z jeszcze większą ufnością. A także z utrwalonym poglądem, iż Jugosławia winna rozwiązywać swe problemy w swój własny sposób i w oparciu głównie o własne zasoby.

3.

Pogląd ten został przedwcześnie ujawniony na obiedzie w ambasadzie jugosłowiańskiej w Bukareszcie, w którym udział brała Anna Pauker, rumuński minister spraw zagranicznych i wielu dygnitarzy rumuńskich.

Wszyscy Jugosłowianie, z wyjątkiem ambasadora Golułowicza, który później wyemigrował jako zwolennik Moskwy, mniej lub więcej otwarcie wyłuszczali, że Związek Sowiecki nie może być jedynym modelem „budownictwa socjalistycznego”, gdyż sytuacja uległa zmianie, a warunki i stosunki są różne w poszczególnych krajach Europy wschodniej. Zauważyłem, że Anna Pauker starała się nie zabierać głosu. Jeśli już z czymś się zgadzała, to czyniła to powściągliwie. Usiłowała unikać rozmów na drażliwe tematy. Jeden spośród Rumunów — myślę, że to był Bodnerasz — przeciwstawiał się naszym poglądom, inny zaś — niestety nie pamiętam jego nazwiska — z całego serca godził się z nami. Uważałem rozmowę tego rodzaju za trochę niepołączną, byłem bowiem przekonany, że każde słowo dojdzie do uszu Rosjan i że nie potrafią oni nadać im innego zna-

czenia, jak tylko „antysowieckie” — synonim wszystkiego, co złe na tym świecie. Nie mogłem jednak zaprzeczyć się swego stanowiska. Starałem się więc stonować te poglądy, podkreślając zasługi ZSSR i teoretyczne znaczenie eksperymentu sowieckiego. Wszystko to jednak było bez znaczenia, gdyż sam podkreśliłem, iż każdy winien wytyczać własną drogę, zgodnie z własnymi konkretnymi warunkami. Nie dało się już rozproszyć zakłopotania. Było to dla mnie ostrzeżeniem; wiedziałem, że przywódcy sowieccy nie mają zrozumienia dla odcieni i kompromisów, zwłaszcza w własnych komunistycznych szeregach.

Chociaż tylko przejeżdżaliśmy przez Rumunię, wszędzie stykaliśmy się ze sprawami, dającymi powody do krytyki. Po pierwsze, jeśli chodzi o stosunki pomiędzy Związkiem Sowieckim a innymi krajami wschodnio-europejskimi: kraje te wciąż były pod faktyczną okupacją. Ich mienie zabierano im na różne sposoby, najczęściej poprzez spółki mieszane, w które Rosjanie nie zainwestowali chyba nic poza niemieckim kapitałem, uznanym przez nich po prostu za łup wojenny. Handel z tymi krajami nie był uprawiany jak wszędzie w świecie, lecz na podstawie specjalnych układów, mocą których rząd sowiecki kupował po cenach niższych, a sprzedawał po wyższych od cen światowych. Tylko Jugosławia stanowiła wyjątek. Wiedzieliśmy o tym wszystkim. Widok nędzy oraz świadomość bezsiły i służalczości władz rumuńskich mogła tylko powiększać nasze oburzenie.

Najbardziej zaskoczyła nas arogancka postawa przedstawicieli sowieckich. Pamiętam, jak przeraziły nas słowa sowieckiego komendanta w Jassach: „Oh, te brudne rumuńskie Jassy! I ci rumuńscy zjadacze mamałygi (*mamałyżniki*)!”. Powtarzał też *bon mot* Erenburga i Wyszyńskiego, wywołane korupcją i złodziejstwem Rumunów: „To nie jest narodowość, lecz zawód!”.

Szczególnie tej łagodnej zimy, Jassy były zacisznym miastem bałkańskim, którego urok — jego wzgórze, ogrody i tarasy — mogło dostrzec tylko doświadczone oko. Wiedzieliśmy wszakże, że miasta sowieckie nie wyglądały lepiej, a może i gorzej. Ta postawa „wyższej rasy” i zarozumiałość wielkiego mocarstwa złościły nas najbardziej. Uprzejma i pełna głębokiego respektu postawa Rosjan w stosunku do nas, nie tylko jeszcze bardziej akcentowała poniżenie Ru-

munów, lecz także napawała nas dumą z naszej własnej niezależności i naszej swobody myślenia.

Pogodziliśmy się już z tym, że takie postępowanie i nastawienie, jakie stosowano wobec Rumunów, „są możliwe nawet w socjalizmie”, ponieważ „Rosjanie są tacy” — zacofani, od dawna odcięci od reszty świata i głusi na swe rewolucyjne tradycje.

Wynudziliśmy się w Jassach przez kilka godzin, dopóki nie przybył po nas sowiecki pociąg ze specjalnym wagonem, a z nim — rzecz jasna — nieunikniony kapitan Kozowski, którego specjalnością w sowieckim Bezpieczeństwie byli nadal Jugosłowianie. Tym razem był mniej niż przedtem wylewny i pogodny, zapewne tylko dlatego, że miał teraz przed sobą ministrów i generałów. Nieuchwytna, nieokreślona, chłodna urzędowość zakradła się w stosunki pomiędzy nami a naszymi sowieckimi „towarzyszami”.

Nasze sarkastyczne uwagi nie oszczędziły nawet wagonu, którym podróżowaliśmy, a który na nic lepszego nie zasługiwał mimo wygodnych urządzeń, znakomitego jedzenia i dobrej obsługi. Komiczne wydawały nam się wielkie mosiężne ręczki, staromodne drobiazgi dekoracyjne i sedes tak wysoki, że nogi nie sięgały ziemi. Czyż wszystko to było potrzebne? Czy wielkie państwo, suwerenne mocarstwo, musi się tak popisywać? Najbardziej groteskowy był fakt, że w tym uroczystym wagonie z carskich czasów, konduktor w swoim przedziale trzymał w klatce kurę, znoszącą jaja. Marnie wynagradzany i nędznie ubrany, tłumaczył się: „Co robić, towarzysze? Robotnik musi sobie radzić, jak może. Mam liczną rodzinę — życie jest ciężkie”.

Chociaż jugosłowiańska sieć kolejowa też nie mogła szczycić się punktualnością, to jednak tutaj nikt się nie przejmował spóźnieniem wielogodzinnym. Jeden z konduktorów odpowiadał po prostu: „Dojedziemy”. Wydawało się, że Rosja potwierdza nieodmienność swej ludzkiej i narodowej duszy; wszystkie jej istotne cechy opierały się temu uprzedmysłowieniu i wszechmocy administracji.

Ukraina i Rosja, zakopane w śniegu po same okapy, wciąż jeszcze nosiły znaki zniszczenia i okropności wojny — spalone stacje, baraki i widok oczyszczających tory otulonych w chustki kobiet, których wyżywienie stanowiła gorąca woda (*kipiatok*) i kawałek żytniego chleba.

Także i tym razem Kijów pozostawił wrażenie dyskretnego piękna i czystości, kultury i poczucia stylu i smaku, pomimo swego ubóstwa i odosobnienia. Była noc, więc nie było widać Dniepru i równin zlewających się z niebem. Wciąż jednak wszystko to przypominało mi Belgrad — Belgrad przyszłości, z milionową ludnością, starannie i harmonijnie zabudowany. Zatrzymaliśmy się w Kijowie na krótko, tyle, ile trzeba było, by nasz wagon przyłączyć do pociągu idącego do Moskwy. Nie witał nas żaden ukraiński dygnitarz. Wkrótce byliśmy w drodze — w noc białą od śniegu i czarną od smutku. Tylko nasz wagon skrzył się świetnością komfortu i obfitości wśród tego bezgranicznego spustoszenia i ubóstwa.

4.

Już w kilka godzin po naszym przybyciu do Moskwy, gdy byliśmy pogrążeni w serdecznej rozmowie z ambasadorem jugosłowiańskim, Władimirem Popowiczem, zadzwonił telefon na jego biurku. Sowieckie ministerstwo spraw zagranicznych zapytywało, czy jestem zmęczony, gdyż Stalin pragnie mnie widzieć bez zwłoki, tego wieczoru. W Moskwie taki pośpiech jest niezwykle. Komuniści zagraniczni zawsze tam czekali długo, tak że krążyło wśród nich powiedzenie: Łatwo jest dostać się do Moskwy, ale trudno się z niej wydostać. Rzecz jasna, gdybym nawet był zmęczony, przyjąłbym zaproszenie Stalina jak najchętniej. Cała delegacja patrzyła na mnie z entuzjazmem, choć i nie bez zazdrości, zaś Kocza Popowicz i Todorowicz nieustannie przypominali mi, bym pamiętał dlaczego i oni przyjechali, aczkolwiek w czasie wspólnej podróży zapoznałem się dokładnie z ich postulatami.

Moja radość z nadchodzącego spotkania się ze Stalinem była powściągliwa i nieco zamącona pośpiechem, z jakim do niego doszło. To złe przeczucie nie opuściło mnie przez całą noc, którą spędziłem ze Stalinem i innymi przywódcami sowieckimi.

Jak zazwyczaj, około dziewiątej wieczorem zabrano mnie na Kreml, do biura Stalina. Zastałem tam Stalina, Mo-

Łotowa i Żdanowa. Ten ostatni, jak mi było wiadome, miał powierzone w Politbiurze utrzymywanie stosunków z partiami zagranicznymi.

Po zwyczajowych powitaniach, Stalin bezzwłocznie przeszedł do sedna sprawy: „A więc członkowie Komitetu Centralnego w Albanii odbierają sobie życie przez was! To jest bardzo niewygodne, bardzo nie na rękę”.

Zacząłem wyjaśniać: Naku Spiru był przeciwny związaniu się Albanii z Jugosławią; wyobcował się w swym własnym Komitecie Centralnym. Jeszcze nawet nie skończyłem, gdy ku memu zdumieniu Stalin powiedział: „Nie interesujemy się specjalnie Albanią. Zgadza się, by Jugosławia połknęła Albanię!...”. Złączył przy tym palce prawej ręki i — przybliżywszy je do ust — uczynił ruch, jak gdyby je miał połknąć.

Byłem zdumiony sposobem wyrażania się Stalina i jego gestem, naśladującym połykanie — prawie zaniemówiłem. Nie wiem jednak, czy było to widoczne na mej twarzy, usiłowałem bowiem obrócić to w żart i potraktować jako właściwy Stalinowi drastyczny i obrazowy sposób wyrażania się. Wyjaśniłem ponownie: „To nie jest sprawa połknięcia, lecz połączenia!”.

Wtedy Mołotow wtrącił: „Ale to jest połknięcie!”.

Stalin zaś dodał, znowu z tym swoim gestem: „Tak, tak. Połknięcie! Ale zgadzamy się z wami: powinniście połknąć Albanię — im szybciej tym lepiej”.

Pomimo tego sposobu wyrażania się, cała atmosfera była serdeczna i więcej niż przyjacielska. Nawet Mołotow powiedział tych kilka słów o połknięciu z niezwykłą u niego, niemal żartobliwą uprzejmością.

Podchodziłem do *rapprochement* i połączenia z Albanią z szczerych i — oczywiście — rewolucyjnych pobudek. Jak wielu innych, uważałem, że połączenie — przy naprawdę dobrowolnej zgodzie przywódców albańskich — nie tylko miałoby bezpośrednią wartość zarówno dla Jugosławii jak i Albanii, ale położyłoby też ostatecznie kres tradycyjnej nietolerancji i konfliktowi pomiędzy Serbami i Albańczykami. Szczegółne jego znaczenie, moim zdaniem, polegało na tym, że umożliwiłoby ono zespolenie się naszej dużej i zwartej mniejszości albańskiej z Albanią jako osobną republiką w Jugosłowiańsko-Albańskiej Federacji. Każde inne rozwiązanie problemu albańskiej mniejszości narodo-

wej wydawało mi się niewykonalne, jako że zwyczajne przekazanie terytoriów jugosłowiańskich, zamieszkałych przez Albańczyków, wywołałoby niemożliwy do opanowania sprzeciw w samej jugosłowiańskiej Partii Komunistycznej.

Miałem do Albanii i Albańczyków szczególne upodobanie, które mogło tylko wzmocnić idealizm mých pobudek: Albańczycy, szczególnie ci z północy, swą mentalnością i sposobem życia spokrewnieni są z Czarnogórcami, z których sam pochodzę. Ich żywotność i zdecydowanie utrzymania swej niepodległości nie mają sobie równych w historii.

Chociaż nie miałem zamiaru różnić się poglądami od przywódców mego kraju i zgodzić się ze Stalinem, to jednak wtrącone w naszą rozmowę uwagi Stalina po raz pierwszy nasunęły mi dwie myśli. Pierwszą z nich było podejrzenie, że coś jest nie w porządku w polityce Jugosławii wobec Albanii, drugą była myśl, że Związek Sowiecki nie zjednoczył, lecz połknął kraje bałtyckie. Uwaga Mołotowa przypomniała mi to bezpośrednio.

Obie myśli zlały się w jedno — w uczucie zaniepokojenia.

Myśl, że może być coś ciemnego i niekonsekwentnego w jugosłowiańskiej polityce wobec Albanii, nie skłoniła mnie jednakże do przyznania, że jest to polityka „połknięcia”. Uderzyło mnie jednak to, że polityka ta nie jest zgodna z wolą i pragnieniami komunistów albańskich, które dla mnie, jako komunisty, były jednoznaczne z dążeniami ludu albańskiego. Dlaczego Spiru odebrał sobie życie? Nie był on bardziej „drobnomieszczaninem”, „obciążonym nacjonalizmem”, niż komunistą i marksistą. Jeśli Albańczycy życzyli sobie — jak myśmy sobie życzyli wobec Związku Sowieckiego — mieć własne, odrębne państwo, co wtedy? Jeśli połączenie nastąpiłoby wbrew życzeniom Albańczyków, przez wyzyskanie ich odosobnienia i nędzy, czy nie doprowadzi to do nie dających się pogodzić konfliktów i trudności? Etnicznie odmienni, o starodawnym rodowodzie. Albańczycy jako naród są młodzi i dlatego pełni niewyżytej jeszcze świadomości narodowej. Czy nie będą oni uważali połączenia za utratę swej niepodległości, za wyzbycie się swej osobowości?

Co do drugiej myśli — że ZSSR połknął państwa bałtyckie — połączyłem ją z pierwszą, do której ustawicznie

wracalem: My, Jugosłowianie, nie chcemy, nie ośmielimy się przyjąć tej drogi połączenia z Albanią. Nie ma też żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa, że jakieś imperialistyczne mocarstwo, takie jak np. Niemcy, może wyrzucić nacisk na Albanię i użyć jej jako bazy przeciw Jugosławii.

Lecz Stalin przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości. „A co z Hodżą, co o nim myślicie?”.

Uchyliłem się od bezpośredniej i jasnej odpowiedzi, ale Stalin wyraził o Hodży dokładnie tę samą opinię, jaką wyrobili sobie przywódcy jugosłowiańscy. „Czy jest on drobnomieszczaninem, o nacjonalistycznych skłonnościach? Tak, my też tak myślimy. Czy naprawdę najsilniejszą pozycję ma Dżodze?”.

Odpowiedziałem twierdząco na zapytania.

Stalin zakończył rozmowę o Albanii. Trwała ona zaledwie dziesięć minut. „Nie ma między nami różnic. Przygotujecie projekt depeszy w tej sprawie do Tity w imieniu rządu sowieckiego i przedstawicie mi ją jutro”.

Obawiając się, że go nie zrozumiałem, chciałem się upewnić i posłyszałem raz jeszcze, że mam napisać imieniem rządu sowieckiego depeszę do rządu jugosłowiańskiego.

W owym momencie wziąłem to za przejaw szczególnego do mnie zaufania i za najwyższy wyraz zgodności z polityką jugosłowiańską wobec Albanii. Gdy jednak naza jutrz pisałem depeszę, przyszło mi na myśl, że pewnego dnia może ona być użyta przeciw rządowi mego kraju. To też sformułowałem ją ostrożnie i bardzo zwięźle, mniej więcej tak: „Dziś przybył wczoraj do Moskwy. Na odbytym z nim tego samego dnia spotkaniu stwierdzono całkowitą zgodność pomiędzy rządem sowieckim i Jugosławią w odniesieniu do kwestii Albanii”. Depesza ta nie została nigdy wysłana do rządu jugosłowiańskiego, nie była też nigdy użyta przeciw nam w późniejszych starciach pomiędzy Moskwą i Belgradem.

Reszta rozmowy nie trwała już długo i obracała się leniwie wokół takich nieważnych kwestii, jak pomieszczenie Kominformu w Belgradzie i jego pisma, zdrowie Tity i tym podobnych.

Skorzystałem jednak z dogodnego momentu i podniosłem kwestię dostaw dla armii jugosłowiańskiej i naszego przemysłu wojennego. Podkreśliłem, że często napotykalismy trudności ze strony przedstawicieli sowieckich, ponieważ

odmawiali nam tego i owego, zaślaniając się „tajemnicą wojskową”. Stalin wstał, krzycząc: „Nie mamy wobec was żadnych tajemnic wojskowych. Jesteście zaprzyjaźnionym krajem socjalistycznym — nie mamy wobec was żadnych tajemnic wojskowych”.

Potem podszedł do swego biurka, połączył się telefonicznie z Bułganinem i wydał mu krótki rozkaz: „Są tu Jugosłowianie, delegacja jugosłowiańska — należy ich natychmiast wysłuchać”.

Cała rozmowa na Kremlu trwała około pół godziny, a potem ruszyliśmy w drogę do willi Stalina na obiad.

5.

Usadowiliśmy się w samochodzie Stalina. Zdawało mi się, że to ten sam samochód, którym jechałem z Mołotowem w roku 1945. Żdanow siedział w tyle wozu na prawo ode mnie, podczas gdy Stalin i Mołotow przed nami na składanych siedzeniach. W drodze Stalin zaświecił i spojrzał na wiszący w samochodzie zegarek kieszonkowy — była prawie dziesiąta — zaobserwowałem wprost przede mną jego zgarbione już plecy i kościsty szary kark o pomarszczonej skórze ponad sztywnym kołnierzem marszałkowskim. Pomyślałem sobie: Oto jest jeden z najpotężniejszych dziś ludzi, oto są jego druhowie. Cóż by to była za sensacyjna katastrofa, gdyby tak nagle wybuchła tu bomba i rozerwała nas wszystkich na strzępy! Lecz myśl ta była tylko przelotna, szpetna i tak nieoczekiwana nawet dla mnie samego, że mnie przeraziła. Ze smutkiem pomieszanim z czułością widziałem w Stalinie starca, który przez całe swe życie — i teraz także — troszczy się o powodzenie i szczęśliwość całego komunistycznego rodu.

Czekając na przybycie innych, Stalin, Żdanow i ja znaleźliśmy się w przedsionku willi, przy mapie świata. Rzuciłem znowu okiem na zrobiony niebieskim ołówkiem znak wokół Stalingradu — i znowu Stalin to spostrzegł. Niepodobnieństwem byłoby nie dostrzec, że moja uwaga sprawiła mu przyjemność. Żdanow również spostrzegł tę wymianę

spojrzeń, przyłączył się do nas i zauważył: „Początek bitwy stalingradzkiej”.

Ale Stalin nic na to nie powiedział.

O ile dobrze pamiętam, Stalin zaczął szukać Królewca, został on bowiem przemianowany na Kaliningrad — w trakcie szukania natrafiliśmy na miejscowości wokół Leningradu, wciąż jeszcze noszące niemieckie nazwy z czasów Katarzyny. Zauważył to Stalin i zwrócił się do Żdanowa, mówiąc krótko: „Zmieńcie to — to nie ma sensu, że te miejscowości wciąż noszą niemieckie nazwy!”. Na to Żdanow wyjął notesik i małym ołówkiem zapisał polecenie Stalina.

Potem Mołotow i ja udaliśmy się do toalety, mieszczącej się w piwnicach willi. Zawierała ona szereg ubikacji i pisuary. Mołotow już w drodze zaczął rozpinąć spodnie, mówiąc: „Nazywamy to rozładowaniem przed załadowaniem!”. I wtedy ja, długoletni bywalec więzień, gdzie człowiek zmuszony jest zapomnieć o skromności, poczułem się w obecności Mołotowa, człowieka starszego, zawstydzony, wszedłem do ubikacji i zatrzasnąłem drzwi.

Potem obaj udaliśmy się do jadalni, gdzie zebrali się już Stalin, Malenkow, Beria, Żdanow i Wozniesiński. Dwaj ostatni, to nowe postacie w tych pamiętnikach.

Żdanow też był raczej niski, z brązowym, przystrzyżonym wąsem, wysokim czołem, zadartym nosem i chorobliwie czerwoną twarzą. Był wykształcony i uważano go w Politbiurze za wielkiego intelektualistę. Pomimo jego znanej ciasnoty poglądów i dogmatyzmu, powiedziałbym, że jego wiedza była znaczna. Chociaż jednak znał się prawie na wszystkim, nawet na muzyce, nie powiedziałbym, że była bodaj jedna dziedzina, którą znałby dokładnie — typowy intelektualista, który zdobył wiedzę z innych dziedzin poprzez literaturę marksistowską. Był on też cynikiem, na manierę intelektualisty — tym gorzej, bo za intelektualizmem niechybnie wyczuwało się potentata, „wspaniałomyślnego” w stosunku do ludzi ducha i pióra. Był to okres „dekretów” — postanowień sowieckiego Komitetu Centralnego w sprawach literatury i innych gałęzi sztuki, równoznacznych z gwałtownym atakiem na tę nawet minimalną wolność wyboru tematu i formy, która się ostała (a raczej została wydarta) z rąk biurokratycznej kontroli partyjnej w czasie wojny. Pamiętam, że owego wieczora Żdanow opowiadał jako najnowszy dowcip, jak zrozumiano w Le-

ningradzie jego krytykę satyryka Zoszczenki: Po prostu odebrali Zoszczence kartę żywnościową i oddali mu ją dopiero po wspaniałomyślnej interwencji Moskwy.

Wozniesiński, przewodniczący Komisji Planowania ZSSR, miał nieco ponad czterdziestkę — typowy Rosjanin, blondyn, z wystającymi kośćmi policzkowymi, raczej wysokim czołem i kręconymi włosami. Robił wrażenie człowieka o uporządkowanym trybie życia, kulturalnego, a przede wszystkim pełnego rezerwy, małowównego i zawsze wewnętrznie uśmiechniętego. Czytałem uprzednio jego książkę o ekonomice sowieckiej podczas wojny i odniosłem wrażenie, że autor jest człowiekiem sumiennym i myślącym. Później książka jego spotkała się w ZSSR z krytyką i Wozniesiński został zlikwidowany z powodów nie ujawnionych po dzień dzisiejszy.

Znałem dobrze starszego brata Wozniesińskiego, profesora uniwersytetu, dopiero co mianowanego ministrem oświaty Federacji Rosyjskiej. Miałem kilka bardzo ciekawych dyskusji ze starszym Wozniesińskim w czasie kongresu wszechsłowiańskiego w Belgradzie, zimą 1946 roku. Zgodni byliśmy z sobą nie tylko jeśli chodzi o ograniczoność i tendencyjność panujących teorii „socjalistycznego realizmu”, ale także o pojawienie się nowych zjawisk w socjalizmie (to jest, komunizmie) razem z powstaniem nowych krajów socjalistycznych i z jeszcze nie przedyskutowanymi teoretycznie zmianami w kapitalizmie. Prawdopodobne jest, że i ta piękna myśląca głowa spadła w bezsensownych czystkach.

Obiad zaczął się w ten sposób, że ktoś — zdaje mi się, że to był sam Stalin — zaproponował, by wszyscy zgadywali, ile jest stopni poniżej zera; każdy będzie ukarany wypiciem tylu szklanek wódki, o ile stopni się pomyli. Na szczęście, jeszcze w hotelu popatrzyłem na termometr i coś teraz dodałem, by uwzględnić spadek temperatury w ciągu nocy, tak że pomyliłem się tylko o jeden stopień. Pamiętam, że Beria pomylił się o trzy stopnie, zaznaczając, że czyni to celowo, aby móc wypić więcej szklanek wódki.

Taki początek obiadu nasunął mi heretycką myśl: Ci ludzie, zamknięci w wąskim gronie, zdolni są znajdować jeszcze bardziej nonsensowne powody picia wódki — długość jadalni w metrach albo stołu w centymetrach. Kto wie, czy tego właśnie nie czynią! W każdym bądź razie,

ten przydział szklanek wódki w zależności od odgadniętej temperatury nagle uświadomił mi więzienny, czczy i bezsensowny tryb życia przywódców sowieckich, trzymających się poły swego podstarzałego zwierzchnika, nawet wtedy gdy odgrywali rolę decydującą dla ludzkości. Przypomniałem sobie, że Piotr Wielki odbywał podobne kolacje ze swymi pomocnikami; żarli i spijali się do stanu odrętwienia, decydując jednocześnie o losie Rosji i ludu rosyjskiego.

Wrażenie pustki takiego życia nie ustępowało, lecz powracało w czasie całego obiadu pomimo mych wysiłków, by je stłumić. Wzmacniał je szczególnie wiek Stalina, rzucające się w oczy przejawy jego starczości. Mój ogromny szacunek i miłość dla jego osoby — a żywiłem je uporczywie — nie mogły tego zatrzeć w mej świadomości.

Było w jego starczości coś zarówno tragicznego jak i ohydneho. Tragizm był niedostrzegalny — były to powstałe w moim umyśle refleksje na temat nieuchronnego schyłku nawet tak wielkiej osobistości. Ohyda dochodziła do głosu nieustannie. Chociaż zawsze lubił jeść dobrze, Stalin przejawiał obecnie żarłoczność, jak gdyby lękał się, że nie wystarczy dla niego jego ulubionych potraw. Z drugiej strony, pił mniej i ostrożniej, jak gdyby obliczał każdą kroplę — dla uniknięcia ujemnych następstw.

Umysł jego był w stanie jeszcze widoczniejszego upadku. Lubował się we wspominaniu wydarzeń ze swej młodości — wygnania na Sybirze, dzieciństwa na Kaukazie; porównywał wszystko co nowe z czymś co już się zdarzyło: „Tak, pamiętam, to samo...”.

Przez tych kilka lat zmienił się nie do pojęcia. Gdy go widziałem ostatnim razem, w roku 1945, był jeszcze ożywiony, dowcipny i miał duże poczucie humoru. Było to jednak w czasie wojny i — jak się zdaje — był to ostatni wysiłek i kres jego możliwości. Obecnie śmiał się z bezmyślnych i pustych dowcipów. Raz nie tylko nie dostrzegł politycznego ostrza anegdoty, którą mu opowiedziałem i w której wystrychnął Churchilla i Roosevelta na dudków, ale miałem wrażenie, że czuł się obrażony, jak to bywa ze starymi ludźmi. Dostrzegłem nieukrywane zdumienie na twarzach reszty biesiadników.

Pod jednym tylko względem Stalin nie zmienił się: był, jak dawniej, uparty, przykry i podejrzliwy, gdy ktoś był innego zdania. Mołotowowi przerywał i wyczuwało się

między nimi napięcie. Wszyscy zabiegali o jego względy, czekali z wygłaszaniem opinii dopóki Stalin nie powiedział swego zdania, a potem spieszenie mu potakiwali.

Jak zazwyczaj, przeskakiwali z tematu na temat. Pójdę w ich ślady w moim sprawozdaniu.

Stalin zabrał głos na temat bomby atomowej: „To jest potężna rzecz, po-tęż-na!”. Wyraz jego twarzy był pełen podziwu, odnosiło się wrażenie, że nie spocznie, póki także nie zdobędzie tej „potężnej rzeczy”. Nie powiedział jednak, czy ją już ma, lub czy ZSSR nad nią pracuje.

Z drugiej strony, gdy Kardel i ja spotkaliśmy się miesiąc później w Moskwie z Dimitrowem, powiedział on nam poufnie, że Rosjanie mają już bombę atomową i to nawet lepszą od amerykańskiej, która spadła na Hiroszimę. Twierdzę, że była to nieprawda, lecz że Rosjanie pracowali już nad jej wyprodukowaniem. Przytaczam jednak to co wtedy mówiono.

Zarówno owej nocy, jak i wkrótce potem na spotkaniu z delegacjami: bułgarską i jugosłowiańską, Stalin podkreślał, że Niemcy zostaną podzielone: „Zachód zabierze sobie Niemcy zachodnie, a my przekształcimy Niemcy wschodnie w nasze własne państwo”.

Ten pomysł był nowy, lecz zrozumiały; wynikał on z całego kierunku polityki sowieckiej w Europie wschodniej i w stosunku do Zachodu. Nigdy nie mogłem zrozumieć oświadczeń złożonych przez Stalina i przywódców sowieckich wiosną 1946 roku Bułgarom i Jugosłowianom, że całe Niemcy muszą być nasze, to jest sowieckie, komunistyczne. Zapytałem jednego z obecnych, jak Rosjanie zamierzają to osiągnąć. Odpowiedział: „Sam nie wiem!”. Podejrzewam, że nawet ci, co wtedy te oświadczenia składali, faktycznie nie wiedzieli. Ponościło ich podniecenie z powodu zwycięstw militarnych i nadzieje na gospodarczy i inny rozkład Europy zachodniej.

Pod koniec obiadu Stalin niespodziewanie zapytał mnie, dlaczego w partii jugosłowiańskiej jest niewielu Żydów i dlaczego tych kilku nie odgrywa w niej żadnej poważnej roli. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że w Jugosławii jest niewielu Żydów i że należą oni przeważnie do klasy średniej. Dodałem: „Jedynym wybitnym komunistą Żydem jest Pi-jade, który uważa się bardziej za Serba niż za Żyda”.

Stalin zaczął przypominać sobie: „Pijade, niski, w okularach? Tak, pamiętam, odwiedził mnie. Jakże zajmuje on stanowisko?”.

— Jest członkiem Komitetu Centralnego, starym komunistą, tłumaczem „Kapitału”, — wyjaśniłem.

— W naszym Komitecie Centralnym nie ma Żydów — przerwał Stalin i zaczął się śmiać szyderczo. „Wy też jesteście antysemitą, wy także, Dżilas, wy także jesteście antysemitą!”.

Zrozumiałem jego słowa i jego śmiech, tak jak należało, to jest odwrotnie — jako wyraz jego własnego antysemityzmu i jako prowokację, zmierzającą do wydobycie ze mnie oświadczenia w sprawie mego stosunku do Żydów, zwłaszcza zaś Żydów w ruchu komunistycznym. Zaśmiałem się z cicha i milczałem; nie było to dla mnie trudne, ponieważ nigdy nie byłem antysemitą i dzieliłem komunistów wyłącznie na dobrych i złych. Stalin sam rychło porzucił ten śliski temat, poprzestając na swej cynicznej prowokacji.

Po mej lewej ręce siedział milczący Mołotow, zaś po mej prawej gadatliwy Żdanow. Ten ostatni mówił o swych kontaktach z Finami i z podziwem podkreślał ich skrupulatność w dostawie reparacji. „Wszystko na czas, doskonale opakowane i w znakomitym gatunku”.

Zakończył słowami: „Zrobiliśmy błąd, nie okupując Finlandii. Wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy to uczynili”.

Mołotow: „Ach, Finlandia — to orzeszek”.

W tym samym czasie Żdanow odbywał zebrania z kompozytorami i przygotowywał „dekret” w sprawie muzyki. Lubił opery i zapytał mnie mimochodem: „Czy macie operę w Jugosławii?”.

Zdumiony jego zapytaniem, odpowiedziałem: „W Jugosławii wystawia się opery w dziewięciu teatrach!”. Jednocześnie pomyślałem: Jak mało wiedzą oni o Jugosławii. Nie widać, żeby ich interesowała, chyba tylko jako określone miejsce na mapie.

Jeden jedyny Żdanow pił oranżadę. Wyjaśnił mi, że to z powodu choroby serca. Zapytałem go czy jest poważnie chory.

Odpowiedział z powściągliwym uśmiechem i właściwymi mu drwinami: „Mogę umrzeć każdej chwili, a mogę też

żyć bardzo długo”. Na pewno wykazywał on przesadną wrażliwość i reagował szybko i zbyt łatwo.

Właśnie ogłoszono nowy plan pięcioletni. Nie zwracając się do nikogo specjalnie, Stalin ogłosił, że pensje nauczycieli winny być podwyższone. A potem do mnie: „Mamy bardzo dobrych nauczycieli, ale ich pensje są niskie — musimy coś tu zrobić”.

Każdy z obecnych zgodził się z tym i dorzucił kilka słów, podczas gdy mnie przyszły na myśl — nie bez goryczy — niskie pensje i nędzne warunki jugosłowiańskich pracowników kultury i moja bezsila w przyjsciu im z pomocą.

Wozniesiński milczał przez cały czas; zachowywał się jak podwładny wśród przełożonych. Stalin zwrócił się do niego bezpośrednio z jednym tylko zapytaniem: „Czy można by poza planem zdobyć środki na budowę kanału Wołga — Don? Bardzo to ważne zadanie! Musimy znaleźć środki! Ważne zadanie także i z wojskowego punktu widzenia: w wypadku wojny mogą nas wyprzeć z Morza Czarnego — nasza flota jest słaba i przez długi jeszcze czas będzie słaba. Co zrobilibyśmy w takim wypadku z naszymi okrętami? Wyobraźcie sobie, jak cenna byłaby flota czarnomorska podczas bitwy stalingradzkiej, gdybyśmy ją mieli na Wołdze! Ten kanał ma pierwszorzędne, pierwszorzędne znaczenie”.

Wozniesiński zgodził się, że środki da się znaleźć, wyjął notesik i zapisał.

Od dawna interesowały mnie — przede wszystkim prywatnie — dwa zagadnienia i pragnąłem zapytać Stalina o jego zdanie. Jedno było z dziedziny teorii: ani w literaturze marksistowskiej, ani nigdzie indziej nie mogłem znaleźć wyjaśnienia różnicy pomiędzy „ludem” a „narodem”. Stalin od dawna cieszył się wśród komunistów sławą rzeczoznawcy w sprawach narodowościowych, zapytałem go więc, przypominając, że nie zajął się tą kwestią w swej książce o kwestii narodowościowej, opublikowanej jeszcze przed pierwszą wojną światową i od tego czasu uważanej za autorytatywny pogląd bolszewicki.

Na moje zapytanie najpierw odpowiedział Mołotow: „„Lud” i „naród” to to samo”.

Lecz Stalin nie zgodził się. „Nie, nonsens! Są to różne rzeczy!”. I zaczął mi w prostych słowach wyjaśniać: „„Na-

ród'? Wiecie już co to jest: produkt kapitalizmu o określonych cechach. A 'lud' — to ludzie pracy określonego narodu, to jest, ludzie pracy o tym samym języku, kulturze, obyczajach”.

Co do książki *Marksizm a kwestia narodowościowa* zauważył: „To był pogląd Iljicza — Lenina. Iljicz zredagował tę książkę”.

Drugie zagadnienie dotyczyło Dostojewskiego. Od wczesnej młodości uważałem Dostojewskiego pod wielu względami za największego nowoczesnego pisarza i nigdy nie mogłem pogodzić się wewnętrznie z marksistowskimi atakami przeciw niemu.

Stalin i na to pytanie odpowiedział w prostych słowach: „Wielki pisarz i wielki reakcjonista. Nie wydajemy go, bo wywiera zły wpływ na młodzież. Ale — wielki pisarz!”.

Przeszliśmy do Gorkiego. Zaznaczyłem, że uważam *Życie Klimy Samgina* — zarówno jeśli chodzi o metodę jak i o głębię zobrazowania rewolucji rosyjskiej — za największe jego dzieło. Lecz Stalin nie zgodził się, omijając kwestię metody. „Nie, najlepsze jego rzeczy, to te napisane wcześniej: *Miasto Okurowa*, jego nowele i *Foma Gordiejew*. Jeśli chodzi o zobrazowanie rewolucji rosyjskiej w *Klimie Samginie*, to rewolucji jest tam bardzo niewiele i tylko jeden bolszewik — jak on się nazywał: Liutikow, Liutow?”.

Poprawiłem go: „Kutuzow — Liutow to zupełnie inna postać”.

Stalin zamknął dyskusję słowami: „Tak, Kutuzow. Rewolucja sportretowana jest jednostronnie, a przy tym niedostatecznie. Również z literackiego punktu widzenia jego wcześniejsze dzieła są lepsze”.

Jasne było dla mnie, że Stalin i ja nie rozumieliśmy się wzajemnie i że nie mogliśmy zgodzić się z sobą, chociaż miałem sposobność poznania opinii wybitnych literatów, którzy — jak sam autor — te właśnie dzieła Gorkiego uważali za najlepsze.

Mówiąc o współczesnej literaturze sowieckiej, powołałem się — jak to czynią prawie wszyscy cudzoziemcy — na siłę Szołochowa. Stalin zauważył: „Teraz są lepsi!” — i przytoczył dwa nazwiska, z których jedno należało do kobiety. Oba były mi nieznane.

Uniknąłem dyskusji na temat *Młodej Gwardii* Fadeje-wa — która właśnie była pod ostrzałem za niedostateczną „partyjność” jej bohaterów; i na temat *Historii Filozofii* Aleksandrowa, krytykowanej ze zgoła odmiennych powodów — za dogmatyzm, pustkę, banalność.

Żdanow przytoczył spostrzeżenie Stalina na temat zbioru erotyków K. Simonowa: „Należało wydać tylko dwa egzemplarze — jeden dla niej, drugi dla niego”. Na co Stalin uśmiechnął się sztywno, podczas, gdy inni ryczeli ze śmiechu.

Wieczór nie mógł przeminąć — rzecz jasna — bez wulgarności Berii. Zmuszono mnie do wypicia małej szklanczki *percówki* — silnej wódki z pieprzem (*perec* po rosyjsku znaczy pieprz). Chichocząc Beria wyjaśnił, że trunek ten działa ujemnie na gruczoły płciowe, użył przy tym najwulgarniejszych określeń. Gdy Beria mówił, Stalin wpatrywał się we mnie intensywnie, gotów wybuchnąć śmiechem, widząc jednak moją odrazę, zachował powagę.

Niezależnie zresztą od tego, nie mogłem otrząsnąć się z owego rzucającego się w oczy podobieństwa pomiędzy Berią a dygnitarzem królewskiej policji belgradzkiej Wujkowiczem. Wrażenie urastało do takich rozmiarów, że czułem się jak gdyby w mięsistych i wilgotnych łapach Wujkowicza — Berii.

Najważniejsza jednak była atmosfera owego obiadu — czająca się ponad i poza słowami w ciągu całych sześciu godzin. Poza tym co mówiono, odczuwało się coś innego — coś, co należało wyrazić słowami, ale czego nikt nie odważył się wypowiedzieć. Wymuszona rozmowa i dobór tematów sprawiały, iż to coś wydawało się zupełnie realne, niemal uchwytne zmysłami. Byłem nawet wewnętrznie pewny co to było: była to krytyka Tity i jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego. W tej sytuacji uważałbym taką krytykę za równoznaczną z werbowaniem mnie na stronę rządu sowieckiego. Żdanow był specjalnie ożywiony — nie w jakiś konkretny, namacalny sposób, lecz wnosząc pewną serdeczność, nawet poufalskość do rozmowy ze mną. Beria przyglądał mi się chmurnie swymi zielonymi, roztwartymi oczyma, podczas gdy świadoma ironia niemal kapłała mu z jego kwadratowych obwisłych ust. Nad nimi wszystkimi stał Stalin — uważny, nadzwyczaj umiarkowany i chłodny.

Przerwy w rozmowie stawały się coraz dłuższe, zaś

napięcie rośło, zarówno we mnie jak i wokół mnie. Szybko przemyslałem plan oporu. Widocznie narastał on we mnie podświadomie już od dawna. Po prostu zamierzałem powiedzieć, że nie widzę żadnej różnicy pomiędzy przywódcami jugosłowiańskimi a sowieckimi, że ich cele są jednakowe i tak dalej. Głuchy, zawzięty opór wzbierał we mnie, a chociaż nigdy przedtem nie czułem żadnych wahań wewnętrznych, to jednak, znając siebie, wiedziałem, że moja postawa obronna może łatwo przeobrazić się w zaczepną, jeśli Stalin i reszta postawią mnie przed dylematem moralnym wybierania pomiędzy nimi a moim sumieniem — albo, w pewnych okolicznościach, pomiędzy ich partią a moją, pomiędzy Jugosławią a ZSSR. Celem przygotowania gruntu kilkakrotnie powołałem się mimochodem na Titę i mój Komitet Centralny, w taki jednak sposób, by nie stwarzać moim rozmówcom możliwości przejścia do sedna sprawy, zgodnie z ich zamiarem.

Wysiłki Stalina, by wprowadzić elementy osobiste, intymne, spełzły na niczym. Przypominając swe zaproszenie z roku 1946, przekazane przez Titę, zapytał mnie: „A dlaczego nie przyjechaliście na Krym? Dlaczego nie przyjęliście mego zaproszenia?”.

Oczekiwałem tego zapytania, a jednak byłem niemile zaskoczony, że Stalin o tym nie zapomniiał. Wyjaśniłem: „Czekałem na zaproszenie poprzez ambasadę sowiecką. Niezręcznie mi było narzucać się wam i naprzykrzać”.

— Nonsens, żadnego naprzykrzania. Po prostu nie chcieliście przybyć! — wypróbował mnie Stalin.

Lecz ja zamknąłem się w sobie — w chłodnej rezerwie i milczeniu.

I tak, do niczego nie doszło. Stalin i jego grono zimnych, wyrachowanych spiskowców — albowiem za takich ich uważałem — na pewno wyczuli mój opór. Tego właśnie chciałem. Wymknąłem się im, a oni nie odważyli się prowokować tego oporu. Zapewne myśleli, że uniknęli przedwczesnego i tym samym błędnego kroku, lecz ja uświadomiłem sobie tę nikczemną rozgrywkę i poczułem w sobie wewnętrzną, do tej pory nieznaną siłę, zdolną do odrzucenia nawet tego, czym żyłem.

Stalin zakończył obiad, wznosząc toast na cześć Lenina: „Wypijmy za Włodzimierza Iljicza, naszego wodza, naszego nauczyciela — naszego wszystkiego!”.

Powstaliśmy wszyscy i milcząc uroczyście wypiliśmy, o czym po pijanemu wkrótce zapomnieliśmy. Stalin jednak miał nadal poważny, uroczysty, a nawet chmurny wyraz twarzy.

Odeszliśmy od stołu, lecz nim zaczęliśmy się rozchodzić, Stalin przeszedł do wielkiego automatycznego patefonu. Próbował nawet tańczyć, jakieś swoje narodowe tańce. Nie był zresztą pozbawiony poczucia rytmu. Wkrótce jednak przerwał z pełnym rezygnacji wyjaśnieniem: „Wiek mnie przylapał i jestem już starym człowiekiem”.

Lecz jego druhowie — lub, lepiej powiedziawszy, dworacy — zaczęli go zapewniać: „Nie, nie, nonsens. Wyglądacie świetnie. Trzymacie się nad podziw. Tak jest, jak na wasz wiek...”.

Potem Stalin puścił płytę, na której koloraturowemu szczebiotowi śpiewaczki towarzyszyło wycie i szczekanie psów. Śmiał się z przesadną, nieumiarkowaną uciechą, lecz widząc brak zrozumienia i przykrość na mej twarzy, wyjaśnił, niemal jakby się usprawiedliwiając: „Przecież to jest mądre, diabelnie mądre”.

Wszyscy inni stali za nim gotując się jednak do odejścia. Nic już nie było do powiedzenia po tak długim zebraniu, na którym dyskutowano wszystko, z wyjątkiem sprawy, dla której odbył się ten obiad.

6.

Czekaliśmy kilka dni na zaproszenie do Sztabu Generalnego dla przedstawienia naszych dezyderatów. Poprzednio, jeszcze w pociągu, wspomniałem Koczy Popowiczowi i Mijalkowi Todorowiczowi, że ich żądania wydają mi się nadmierne i nierealne. Szczególnie nie mogło mi się pomieścić w głowie, dlaczego Rosjanie mieliby zgodzić się budować jugosłowiański przemysł wojenny, jeśli nie chcieli pomagać na serio w rozwijaniu naszego przemysłu cywilnego. Jeszcze mniej prawdopodobne wydawało mi się, by dali nam flotę wojenną, skoro sami jej nie mieli. Argumenty

że wszystko jedno kto będzie miał flotę na Adriatyku, Jugosławia czy ZSSR, jako że oba te kraje są częściami zjednoczonego świata komunistycznego, wydawały mi się tym bardziej nieprzekonywujące, że jedność ta zaczęła właśnie trzeszczeć, nie mówiąc już o nieufności Sowieców do wszystkiego poza ich zasięgiem i o ich nieukrywanej trosce przede wszystkim o interesy własnego państwa. Skoro jednak wszystkie te postulaty zostały wypracowane i zatwierdzone w Belgradzie, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko je podtrzymywać.

Gmach Sztabu Generalnego był olbrzymim budynkiem, którego zewnętrzną taniocę i sztuczność na próżno usiłowano skompensować wewnątrz rozrzutnym zastosowaniem krzykliwych kotar i pozłoty. Posiedzeniu przewodniczył Bułganin, w otoczeniu najwyższych rzeczoznawców wojskowych, wśród których był też szef Sztabu Generalnego, marszałek Wasilewski.

Przedstawiłem najpierw nasze potrzeby ogólnie, pozostawiając szczegóły Todorowiczowi i Popowiczowi. Dygnitarze sowieccy nie zobowiązywali się do niczego, starannie jednak zapoznawali się z naszymi sprawami i zapisywali sobie wszystko. Wyszliśmy zadowoleni, przekonani, że sprawy ruszyły z martwego punktu i że realna, konkretna praca zacznie się wkrótce.

Tak to doprawdy wyglądało. Todorowicz i K. Popowicz zostali wkrótce zaproszeni na dalsze spotkania. Lecz nagle wszystko urwało się. Dygnitarze sowieccy dawali do poznania, że zaszły „komplikacje” i że musimy czekać.

Było dla nas jasne, że coś się dzieje pomiędzy Moskwą i Belgradem, chociaż nie wiedzieliśmy dokładnie co. Nie mogę też powiedzieć, że byliśmy zdziwieni. W każdym razie, nasz krytyczny stosunek do rzeczywistości sowieckiej i postawa Moskwy wobec Belgradu mogły tylko sprawić, że odroczenie naszych rozmów stało się jeszcze trudniejsze do zniesienia, zwłaszcza że nie mieliśmy nic do roboty, zmuszeni zabijać czas rozmowami i uczęszczaniem do staromodnych lecz doskonałych teatrów moskiewskich.

Żaden obywatel sowiecki nie śmiał nas odwiedzić, mimo, że przybyliśmy z komunistycznego kraju, wciąż należeliśmy do kategorii cudzoziemców, z którymi obywatele ZSSR — wedle litery prawa — nie mogli przestawać. Wszystkie nasze kontakty ograniczały się do oficjalnych

stosunków w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i Komitecie Centralnym. To niepokoiło nas i obrażało, tym bardziej, że w Jugosławii nie było takich ograniczeń, a już w żadnym razie nie dla przedstawicieli i obywateli ZSSR. To właśnie skłaniało nas do wyciągania krytycznych wniosków.

Krytyka nasza nie doszła jeszcze do punktu uogólniania, obfitowała jednak w przykłady wzięte z konkretnej rzeczywistości. Wukmanowicz-Tempo odkrył braki w budynkach wojskowych, czego nie ukrywał. Celem zmniejszenia nudy, Kocza Popowicz i ja zrezygnowaliśmy z osobnych apartamentów w Hotelu Moskwa, nie otrzymaliśmy jednak wspólnego apartamentu, dopóki go „elektrotechnik” nie doprowadził do porządku, co zrozumieliśmy jako zainstalowanie aparatu podsłuchowego. Pomimo faktu, że Moskwa była nowym i największym hotelem, nic nie funkcjonowało należycie — było zimno, kurki ciekły, a wanien, sprowadzonych z Niemiec wschodnich, nie można było używać, ponieważ wyciekająca woda zalewała podłogę. Do łazienki nie było klucza, co dało Popowiczowi okazję do dowcipkowania: Architekt liczył się z tym, że klucz może zginąć i umieścić klozet blisko wejścia, tak, by można było nogą przytrzymać drzwi.

Często z westchnieniem przypominałem sobie mój pobyt w Hotelu Metropol w roku 1944. Wszystko tam było stare, lecz funkcjonowało; złożona ze starszuchów obsługa mówiła po angielsku i francusku i była pełna wdzięku i staranności. Lecz w Hotelu Moskwa... Pewnego dnia posłyszałem głosy w łazience. Napotkałem tam dwóch robotników. Jeden z nich naprawiał coś na suficie, podczas gdy drugi trzymał go na ramionach. „Na litość boską, towarzysze”, powiedziałem, „dlaczego nie posługujecie się drabiną?”. Robotnicy żalili się: „Prosiliśmy o nią dyrekcję niezliczone razy, ale na nic — za każdym razem mamy ten sam kłopot”.

Spacerując tu i tam, oglądaliśmy „piękną Moskwę”, której przeważna część jest wielką wsią, zaniedbaną i zafaną w rozwoju. Kierowca Panow, któremu z Jugosławii posłałem w darze zegarek i z którym nawiązałem serdeczne stosunki, nie mógł uwierzyć, iż w Nowym Jorku i Paryżu jest więcej samochodów, chociaż nie ukrywał swego niezadowolenia z jakości nowych wozów sowieckich.

Na Kremlu, gdy zwiedzaliśmy groby carów, przewodniczka mówiła z nacjonalistycznym patosem o „naszych carach”. Wyższość Rosjan była wszędzie sławiona i przybierała formy groteskowe.

I tak dalej, i tak dalej... Na każdym kroku odkrywaliśmy niedostrzegane do tej pory aspekty rzeczywistości sowieckiej: zacofanie, prymitywizm, szowinizm, kompleks wielkomocarstwowy, chociaż towarzyszyły im bohaterskie i nadludzkie wysiłki, by przerosnąć przeszłość i przegonić naturalny bieg wydarzeń.

Wiedząc, że w zakutych głowach przywódców sowieckich i dygnitarzy politycznych każda najmniejsza krytyka przeobrażała się w postawę antysowiecką, spontanicznie — ilekroć znaleźliśmy się w towarzystwie Rosjan — zamykaliśmy się w naszym gronie. Byliśmy jednocześnie polityczną misją, zaczęliśmy więc zwracać sobie wzajemnie uwagę na wszystko, co było „niezręczne” w naszym zachowaniu się lub w słowach. Ta separacja przybrała zorganizowany charakter. Pamiętam, jak — zdając sobie sprawę z aparatów podsłuchowych — zaczęliśmy uważać na swe słowa w hotelu i w biurach oraz głośzyć rozmowy audycjami radiowymi.

Przedstawiciele sowieccy musieli to zauważyć. Napięcie i podejrzliwość rosły szybko.

W owym czasie sarkofag Lenina, ukrywany w czasie wojny gdzieś w głębi kraju, powrócił na Plac Czerwony. Pewnego ranka poszliśmy go zwiedzić. Samo zwiedzanie byłoby bez znaczenia, gdyby nie wywołało tak we mnie jak i w mych towarzyszach nowego i do tej pory nieznanego oporu. Schodząc powoli do mauzoleum widziałem proste kobiety w chustkach, żegnające się krzyżem, jak gdyby zbliżały się do relikwii jakiegoś świętego. Mnie także oparowało uczucie mistycyzmu, coś niepamiętnego od czasów odległej młodości. Co więcej, wszystko było tak urządzone, by wywoływać takie właśnie uczucie w człowieku — granitowe bloki, wyprężone posterunki, niewidzialne źródło światła nad Leninem, a nawet jego ciało, wyschłe i białe jak kreda, z odrobiną jak gdyby przez kogoś zasadzonych rzadkich włosów. Pomimo mego respektu dla geniuszu Lenina, to nagromadzenie mistycyzmu wokół śmiertelnych jego szczątków wydawało mi się nienaturalne, a przede wszystkim antymaterialistyczne i antyleninowskie.

Mieliśmy zamiar — nawet w wypadku gdybyśmy byli bardzo zajęci — zobaczyć Leningrad, miasto rewolucji, miasto o wszechstronnej piękności. Zwróciłem się w tej sprawie do Żdanowa i łaskawie wyraził swą zgodę. Wyczułem jednak także pewną rezerwę. Spotkanie trwało zaledwie dziesięć minut. Tym niemniej, nie zapomniał zapytać mnie, co myślę o oświadczeniu Dimitrowa w *Prawdzie* z okazji jego wizyty w Bukareszcie. Oświadczeniu, w którym nalegał na koordynację planów gospodarczych i zawarcie unii celnej między Bułgarią i Rumunią. Odpowiedziałem, że oświadczenie mi się nie podoba, gdyż traktuje stosunki bułgarsko-rumuńskie w izolacji i jest przedwczesne. Żdanow też nie był zadowolony z oświadczenia, chociaż nie ujawniał swych powodów; wyszły one na jaw wkrótce potem i przedstawię je później szczegółowo.

W tym samym czasie przybył do Moskwy przedstawiciel jugosłowiańskiego handlu zagranicznego, Bogdan Crnobrnja i nie mogąc przełamać pewnych zasadniczych przeszkód ze strony urzędów sowieckich zażądał ode mnie, bym razem z nim poszedł do Mikojana, ministra handlu zagranicznego.

Mikojan przyjął nas ozięble, zdradzając zniecierpliwienie. Wśród naszych postulatów był także i ten, by Sowiety — jak to nam przyrzekły — dostarczyły nam wagonów kolejowych ze swych stref okupacyjnych; sporo tych wagonów zabrano z Jugosławii, a Rosjanom były one nieprzydatne, gdyż tory są u nich szersze niż u nas.

„A jak sobie wyobrażacie, że je wam dam — na jakich warunkach, po jakiej cenie?” zapytał chłodno Mikojan.

Odpowiedziałem: „Że je nam dacie w prezencie!”.

Odpowiedział krótko i węzłowato: „Nie zajmuję się rozdawaniem prezentów, lecz handlem”.

Na próżno też Crnobrnja i ja staraliśmy się zmienić warunki sprzedaży filmów sowieckich, zbyt wygórowane, więc niekorzystne dla Jugosławii. Tłumacząc się tym, że inne kraje wschodnio-europejskie mogłyby to uważać za precedens, Mikojan odmówił nawet podjęcia dyskusji na ten temat. Zmienił się jednak całkowicie, gdy rozmowa zesłała na miedź jugosłowiańską. Zaoferował płatność w każdej walucie lub w towarach, z góry i w każdej wysokości.

Nic więc u niego nie wskóraliśmy, tyle tylko, że prze-
wlekliśmy jałowe i niekończące się rokowania. Oczywiście
było, że koła sowieckiej maszyny przestały się obracać, jeśli
chodzi o Jugosławię.

Natomiast wycieczka do Leningradu przyniosła ulgę
i odświeżenie.

Gdyby nie wycieczka do Leningradu nigdy bym nie
uwierzył, że coś mogło poświęceniem i bohaterstwem prze-
wyższyć ofiarność mieszkańców powstańczych rejonów i
partyzantów jugosłowiańskich. Lecz Leningrad przewyższał
rzeczywistość rewolucji jugosłowiańskiej, jeśli nie bohater-
stwem, to na pewno zbiorowym poświęceniem. W tym
wielomilionowym mieście, odciętym od zaplecza, bez opał
i żywności, pod nieustannym ostrzałem ciężkiej artylerii
i nalotów, około trzystu tysięcy ludzi zmarło z głodu i
mrozu w czasie zimy 1941-1942. Ludzie zdegradowani zo-
stali do poziomu ludożerstwa, ale nikt nie myślał o kapi-
tulacji. To wszakże jest tylko obraz ogólny. Dopiero po
zapoznaniu się z rzeczywistością — z konkretnymi wypad-
kami poświęcenia i bohaterstwa i z żywymi ludźmi, którzy
w tym brali udział lub byli świadkami — zrozumieliśmy
ogrom epopei Leningradu i siły, do której zdolni są ludzie
— naród rosyjski — gdy zagrożone są fundamenty ich du-
chowej, politycznej i materialnej egzystencji.

Nasze spotkanie z funkcjonariuszami leningradzkimi
dodało naszemu podziwowi ludzkiego ciepła. Wszyscy co
do jednego byli to prości, światli, ciężko pracujący ludzie,
którzy wzięli na swe barki i wciąż nosili w swych ser-
cach tragiczną wielkość miasta. Lecz pędzili oni życie sa-
motne i radzi byli spotkać ludzi z innego klimatu i kultury.
Zrozumieliśmy się z nimi łatwo i szybko — jako ludzie,
którzy doświadczyli podobnego losu. Nigdy nie przyszło nam
na myśl żalić się na przywódców sowieckich. Tutaj jednak
zaobserwowaliśmy, iż ludzie ci podchodzili do życia swego
miasta i do obywateli tego najbardziej kulturalnego i najbar-
dziej uprzemysłowionego ośrodka w wielkim kraju rosyj-
skim — w sposób prostszy i bardziej ludzki, niż w Mos-
kwie.

Wydawało mi się, że mógłbym bardzo szybko znaleźć
z nimi wspólny język polityczny, po prostu wychodząc
z postawy humanitarnej. Nie zdziwiło mnie więc, gdy
dwa lata później dowiedziałem się, że i ich zmiażdżył tota-

litarny walec tylko dlatego, że ośmielili się być także ludźmi.

W tym jasnym, chociaż i smutnym epizodzie leninградzkim była też niemiła plama — nasza eskorta, Lesakow. Właśnie w tym czasie napotykało się w Związku Sowieckim dygnitarzy, pochodzących z niższej sfery mas pracujących. Można było wyczuć — z jego niedoksztalcenia i prostactwa — że Lesakow był jeszcze niedawno robotnikiem. Te braki nie byłyby grzechem, gdyby nie starał się ich ukrywać i gdyby nie był tak nienaturalnie pretensjonalny. W rzeczywistości awansu społecznego nie zawdzięczał swojej pracy i talentom, lecz został wywindowany na stanowisko w Komitecie Centralnym, w którym powierzono mu sprawy jugosłowiańskie. Był on czymś pośrednim między agentem wywiadu a funkcjonariuszem partyjnym. Grając rolę partyjniaka i pilnując „linii”, zbierał w sposób prymitywny informacje o partii jugosłowiańskiej i jej przywódcach.

Drobny, o twarzy suchej i żółtych krótkich zębach, z krzywo zawiązanym krawatem i wyłazłą ze spodni koszulą, lękający się wciąż, że może wyglądać „niekulturalnie” — Lesakow byłby do przyjęcia jako zwykły robotnik. Powierzono mu jednak zbyt wielkie zadanie i dlatego prowokował nas — głównie mnie — do niemiłych dyskusji. Puszył się tym, że „towarzysz Żdanow oczyścił z Żydów aparat Komitetu Centralnego!” — a jednocześnie wychwalał Polibiurowo węgierskie, składające się podówczas niemal wyłącznie z emigrantów pochodzenia żydowskiego. Nasunęło mi to przypuszczenie, że mimo skrytego antysemityzmu rządowi sowieckiemu było wygodnie mieć na kierowniczych stanowiskach w węgierskiej hierarchii Żydów, uważając ich za niepowiązanych z narodem węgierskim a tym samym bardziej zależnych od jego woli.

Słyszałem już i zauważyłem, że gdy w Związku Sowieckim chcą pozbyć się kogoś, a nie mają po temu przekonywujących powodów, zazwyczaj rozpowszechniają o nim przez agentów tajnej policji jakąś wieść hańbiącą. I tak Lesakow opowiedział mi „poufnie”, że marszałka Żukowa wyrzucono za grabież kosztowności w Berlinie — „Wiedzie, towarzysz Stalin nie znosi niemoralności!” — zaś o zastępcy szefa Sztabu Generalnego, generale Antonowie: „Wyobraźcie sobie, udowodniono mu żydowskie pochodzenie!”.

Było też jasne, że Lesakow pomimo ograniczonej inteligencji był dobrze poinformowany o sytuacji w jugosłowiańskim Komitecie Centralnym i o metodach jego pracy. „W żadnej partii wschodnio-europejskiej”, powiedział, „nie ma tak dokładnie obserwowanej czwórki, jak w waszej”.

Nie wymienił nazwisk owej czwórki, ale bez pytania wiedziałem, że miał na myśli Titę, Kardela, Rankowicza i mnie. I stawiałem sobie retoryczne pytanie: Czy przypadkiem ta czwórka nie jest także „orzeszkiem” dla sowieckiego kierownictwa?

7.

Po dniach próżnowania, Kocza Popowicz postanowił powrócić do kraju, pozostawiając w Moskwie Todorowicza, by czekał na wynik, to jest na zmiłowanie się kierownictwa sowieckiego i wznowienie rozmów. Odjechałbym razem z Popowiczem, gdyby z Belgradu nie nadeszła depesza, zapowiadająca przyjazd Kardela i Bakaricza. Miałem razem z nimi przeprowadzić z rządem sowieckim rozmowy na temat „powstałych komplikacji”.

Kardel i Bakaricz przybyli w niedzielę 8 lutego 1948 roku. Rząd sowiecki faktycznie zaprosił Titę, ale w Belgradzie wymówili się jego chorobą — nawet z tego widać już było wzajemną nieufność. Na jego miejsce przybył więc Kardel. Jednocześnie zaproszona była delegacja rządu bułgarskiego, to jest delegacja Komitetu Centralnego, o czym powiadomił nas wszędobylski Lesakow, celowo podkreślając, że z Bułgarii przybyła „największa szyszka”.

Już poprzednio, 29 stycznia, *Prawda* wyparła się Dimitrowa i odcięła się od jego „problematicznych i fantastycznych federacji i konfederacji” oraz unii celnych. Była to nagana i widomy znak sztywniejszego kursu, jaki przyjmie rząd sowiecki.

Kardel i Bakaricz pomieszczeni zostali w willi pod Moskwą, do której wprowadziłem się razem z nimi. Tej samej nocy, gdy żona Kardela już spała a Kardel leżał w łóżku, usiadłem przy nim i jak mogłem najciszej powiadomiłem go o moich wrażeniach z pobytu w Moskwie i o

mych kontaktach z przywódcami sowieckimi. Sprowadzały się one do wniosku, że nie możemy liczyć na żadną poważną pomoc, lecz że musimy polegać na własnych zasobach, albowiem rząd sowiecki uprawia własną politykę uzależniania, usiłując sprowadzić Jugosławię do poziomu okupowanych krajów wschodnio-europejskich.

Kardel powiedział mi, wtedy albo tuż po swym przybyciu, że bezpośrednią przyczyną zatargu z Moskwą było porozumienie pomiędzy rządami: jugosłowiańskim i albańskim w sprawie stacjonowania dwóch dywizji jugosłowiańskich w Albanii. Dywizje już się formowały, pułk myśliwców lotnictwa jugosłowiańskiego był już w Albanii, gdy Moskwa zaprotestowała żywo, odmawiając przyjęcia do wiadomości, iż dywizje jugosłowiańskie potrzebne są do obrony Albanii przed ewentualnym atakiem „monarchofaszystów” greckich. W swej depeszy do Belgradu, Mołotow groził jawnym zerwaniem.

Następnego dnia po przybyciu Kardela, przechadzając się w parku pod czujnym okiem agentów sowieckich — na ich twarzach czytaliśmy wściekłość, że odbywamy konferencję, której nie mogą podsłuchać — Kardel i ja ciągnęliśmy naszą rozmowę, w obecności Bakaricza. Była ona szersza i bardziej konsekwentna w analizach, była też — mimo nieznaczących różnic w naszych wnioskach — całkowicie jednomyślna. Jak zazwyczaj, ja byłem bardziej surowy i stanowczy.

Nikt nas o niczym nie powiadamiał i nie było żadnego znaku z sowieckiej strony, aż do następnego wieczoru, 10 lutego, kiedy to o dziewiątej godzinie zabrano nas samochodem i zawieziono na Kreml, do biura Stalina. Czekaliśmy tam jakieś piętnaście minut na Bułgarów — Dimitrowa, Kołarowa i Kostowa — i gdy tylko przybyli, zaprowadzono nas natychmiast do Stalina. Usadowiono nas w ten sposób, że na głównym miejscu siedział Stalin, na prawo od niego przedstawiciele sowieccy — Mołotow, Żdanow, Malenkow, Susłow, Zorin; na lewo Bułgarzy — Kołarow, Dimitrow, Kostow, dalej zaś przedstawiciele jugosłowiańscy — Kardel, ja i Bakaricz.

W swoim czasie przedłożyłem pisemne sprawozdanie z tego spotkania jugosłowiańskiemu Komitetowi Centralnemu, ponieważ jednak dziś nie mam do niego dostępu,

muszę polegać na mej pamięci i na tym, co już o tym spotkaniu ogłoszono.

Pierwszy zabrał głos Mołotow, który ze zwykłą mu zwięzłością podniósł, że pomiędzy rządem sowieckim z jednej strony a rządami: jugosłowiańskim i bułgarskim z drugiej pojawiły się poważne różnice, co jest „niedopuszczalne zarówno z partyjnego jak i politycznego punktu widzenia”.

Jako przykład tych różnic przytoczył fakt, że Jugosławia i Bułgaria podpisały traktat przymierza nie tylko bez wiedzy, lecz i wbrew poglądom rządu sowieckiego, który jest zdania, że przed podpisaniem traktatu pokojowego Bułgaria nie może podpisywać żadnych traktatów politycznych.

Mołotow chciał dłużej zająć się bukareszteńskim oświadczeniem Dimitrowa na temat utworzenia wschodnioeuropejskiej federacji, obejmującej też Grecję oraz unii celnej i koordynacji planów gospodarczych pomiędzy Rumunią i Bułgarią. Stalin jednak mu przerwał: „Towarzysza Dimitrowa za daleko ponosi wymowa na konferencjach prasowych — nie uważa, co mówi. Wszystko zaś, co mówi i co mówi Tito, przyjmuje się za granicą jako powiedziane za naszą wiedzą. Na przykład, byli tu z wizytą Polacy. Pytam ich: Co myślicie o oświadczeniu Dimitrowa? Mówią: Dobre. Ja zaś im mówię, że nie jest dobre. Wtedy odpowiadają, że oni też sądzą, że nie jest dobre — jeśli takie jest zdanie rządu sowieckiego. Myśleli bowiem, że Dimitrow wydał to oświadczenie za wiedzą i zgodą rządu sowieckiego i dlatego je aprobowali. Dimitrow później usiłował poprawić to oświadczenie za pośrednictwem bułgarskiej agencji telegraficznej, ale bynajmniej tym nie pomógł. Co więcej, przypomniał, jak to Austro-Węgry swego czasu przeszkadzały unii celnej pomiędzy Bułgarią i Serbią, co naturalnie prowadzi do wniosku: Niemcy stawali na przeszkodzie dawniej, teraz — Rosjanie. Oto, co się dzieje!”.

Mołotow mówił dalej, że rząd bułgarski spieszy się do ustanowienia federacji z Rumunią nawet nie zasięgając w tej sprawie rady rządu sowieckiego.

Dimitrow próbował załagodzić sprawę, podkreślając, że mówił o federacji tylko ogólnikowo.

Lecz Stalin mu przerwał: „Nie, zgodziliście się na unię celną i na koordynację planów gospodarczych”.

Mołotow powiedział w ślad za Stalinem: „...a czymże jest unia celna i koordynacja gospodarcza, jak nie utworzeniem państwa?”.

W owym momencie wyszła drastycznie na jaw istotna treść spotkania, choć nikt jej nie wypowiedział wyraźnie, a mianowicie: stosunki pomiędzy „demokracjami ludowymi” są dozwolone tylko do granic interesów sowieckich i tylko za zgodą rządu sowieckiego. Stało się widoczne, że dla przywódców sowieckich, z ich wielkomocarstwową mentalnością (co znalazło wyraz w koncepcji Związku Sowieckiego jako „przodującej siły socjalizmu”), a zwłaszcza z ich przeświadczeniem, że Czerwona Armia oswobodziła Rumunię i Bułgarię, oświadczenia Dimitrowa oraz brak dyscypliny i samowola Jugosłowii są nie tylko herezją, ale negacją „świętych” praw Związku Sowieckiego.

Dimitrow próbował wyjaśniać, usprawiedliwiać się, ale Stalin przerywał nieustannie, nie dając mu dokończyć. Oto był prawdziwy Stalin. Jego humor przeobraził się teraz w złośliwą brutalność, a jego ekskluzywność w nietolerancję. Wciąż jednak panował nad sobą i udało mu się nie wpaść w furję. Nie tracąc ani na chwilę z oczu istotnego celu, stawiał Bułgarom zarzuty i czynił gorzkie wymówki, wiedział bowiem, że mu ulegną, faktycznie jednak wzrok miał utkwiony w Jugosłowianach — zgodnie z ludowym powiedzeniem: łaje córkę, aby zganić synową.

Poparty przez Kardela, Dimitrow wskazywał, iż Jugosławia i Bułgaria nie podpisały traktatu w Bled, a tylko oświadczenie, iż doszło do porozumienia, mającego doprowadzić do traktatu.

„Tak, lecz nie zasięgnęliście naszej rady!” krzyczał Stalin. „Z gazet dowiadujemy się o waszych działaniach! Plotkujecie jak baby na cały głos o wszystkim co się u was dzieje, a potem podchwytyją to dziennikarze!”.

Dimitrow mówił dalej, półgębkiem usprawiedliwiając swe stanowisko w sprawie unii celnej z Rumunią. „Bułgaria znajduje się w takich trudnościach gospodarczych, że bez współpracy z innymi krajami nie może się rozwijać. Jeśli chodzi o me oświadczenie na konferencji prasowej, prawdą jest, że zagalopowałem się”.

Stalin przerwał mu: „Chcieliście popisać się oryginalnością! Było to zupełnie błędne, gdyż taka federacja jest nie do pomyślenia. Jakie węzły historyczne łączą Bułgarię z Rumunią? Żadne! Nie mamy potrzeby mówić o Bułgarii i — powiedzmy — o Węgrzech lub Polsce”.

Dimitrow odpowiedział: „Zasadniczo nie ma różnic pomiędzy polityką zagraniczną Bułgarii i Związku Sowieckiego”.

Stalin, zdecydowanie i mocno: „Są poważne różnice. Czemu to ukrywać? Zwyczajem Lenina było zawsze zdawać sobie sprawę z błędów i usuwać je możliwie jak najszybciej”.

Dimitrow, łagodząc, niemal pokornie: „Prawda, zbłądziliśmy. Ale na swych błędach uczymy się, jak postępować w polityce zagranicznej”.

Stalin, cierpko i szorstko: „Uczycie się! Zajmujecie się polityką od pięćdziesięciu lat — i teraz poprawiacie błędy! Waszym nieszczęściem są nie błędy, lecz stanowisko odmienne od naszego”.

Rzuciłem okiem na Dimitrowa. Uszy miał czerwone, na twarz wystąpiły mu wielkie czerwone plamy, pokrywając ślady egzemy. Rzadkie jego włosy były rozwichrzone i spadały mu martwymi kosmykami na pomarszczony kark. Żał mi go było. Lew procesu lipskiego, który ze swej klatki urągał Göringowi i faszystom w okresie wielkiego wzrostu jego wpływów, wyglądał obecnie przygnębiony i zastraszone.

Stalin ciągnął dalej: „Unia celna, federacja pomiędzy Rumunią i Bułgarią — ależ to nonsens! Federacja pomiędzy Jugosławią, Bułgarią i Albanią, to co innego. Istnieją tu więzy historyczne i inne. To jest federacja, którą należy utworzyć i to im szybciej, tym lepiej. Tak, im szybciej, tym lepiej — bezzwłocznie, o ile możliwości, jutro! Tak, jutro, o ile możliwości! Dojdźcie w tej sprawie natychmiast do porozumienia”.

Ktoś, myślę że Kardel, zauważył, że federacja jugosłowiańsko-albańska już się tworzy.

Lecz Stalin podkreślił: „Nie, najpierw federacja pomiędzy Bułgarią i Jugosławią, a potem obu z Albanią”.

A potem dodał: „Sądzimy, że powinna powstać federacja Rumunii i Węgier, a także Polski i Czechosłowacji”. Dyskusja na chwilę ucichła.

Stalin nie rozwijał dalej tej kwestii federacji. Powtórzył później, w formie dyrektywy, że federacja pomiędzy Jugosławią, Bułgarią i Albanią winna być natychmiast utworzona. Lecz z jego zadeklarowanego stanowiska i z mglistych aluzji ówczesnych dyplomatów sowieckich wydawało się, że przywódcy sowieccy mieli na myśli reorganizację Związku Sowieckiego przez przyłączenie do niego „demokracji ludowych” — połączenie Ukrainy z Węgrami i Rumunią, a Białorusi z Polską i Czechosłowacją, podczas gdy państwa bałkańskie miałyby być połączone z Rosją! Jakkolwiek niejasne i hipotetyczne były wszystkie te plany, jedno jest pewne: Stalin szukał dla krajów wschodnio-europejskich rozwiązań i form, które by na długi czas utrwały i zabezpieczyły panowanie i hegemonię Moskwy.

Zdawało się już, że kwestia unii celnej, to jest porozumienia bułgarsko-rumuńskiego, została załatwiona, gdy stary Kołarow, jak gdyby przypomniał sobie coś ważnego, zaczął tłumaczyć: „Nie mogę zrozumieć, w czym towarzysz Dimitrow zbłądził. Przecież z góry posłaliśmy projekt traktatu z Rumunią do rządu sowieckiego i rząd sowiecki nie poczynił żadnych uwag w sprawie unii celnej, poza określeniem napastnika”.

Stalin zwrócił się do Mołotowa: „Czy nadesłali nam projekt traktatu?”. Mołotow, bez zakłopotania, ale i nie bez złości: „No cóż, tak”.

Stalin, z gniewną rezygnacją: „My też popełniamy głupstwa”.

Dimitrow uchwycił się tego nowego faktu: „To właśnie był powód mego oświadczenia. Projekt był wysłany do Moskwy. Nie przypuszczałem, że mogliście mieć coś przeciw niemu”.

Lecz Stalin był nieustępliwy. „Nonsens. Popędziliście jak komsomolec. Chcieliście zadziwić świat, jak gdybyście byli wciąż sekretarzem Kominternu. Wy i Jugosłowianie nic nikomu nie mówicie o tym, co robicie, musimy się wszystkiego dowiadywać na ulicy. Stawiacie nas przed faktem dokonanym!”.

Kostow, który był w owym czasie odpowiedzialny za sprawy gospodarcze Bułgarii, pragnął też coś powiedzieć. „Trudna to rzecz, być małym i niedorozwiniętym krajem... Chciałbym podnieść pewne kwestie gospodarcze”.

Lecz Stalin mu przerwał, kierując go do odnośnych ministerstw i zaznaczając, że spotkanie to miało na celu przedyskutowanie różnic w polityce zagranicznej trzech rządów i partyj.

Wreszcie doszedł do głosu Kardel. Był czerwony i — co było u niego oznaką wzburzenia — wcisnął głowę między ramiona i w niewłaściwych miejscach przerywał zdania. Wskazał on, że traktat pomiędzy Jugosławią i Bułgarią, podpisany w Bled, został uprzednio przedłożony rządowi sowieckiemu, lecz że rząd sowiecki nie poczynił żadnych uwag, poza uwagą co do czasu jego trwania — zamiast „na wieczne czasy” doradzał „lat dwadzieścia”.

Stalin patrzył w milczeniu i nie bez wyrzutu na Mołotowa, który zwiesił głowę i zaciśnięciem warg faktycznie potwierdzał słowa Kardela.

„Z wyjątkiem tej uwagi, którą przyjęliśmy”, stwierdzał Kardel, „nie było żadnych różnic...”.

Stalin przerwał mu, równie gniewnie chociaż nie tak obrażająco jak Dimitrowowi. „Nonsens! Są różnice, i to poważne! Co powiecie o Albanii? Nie zasięgaliście naszej rady jeśli chodzi o wejście waszych wojsk do Albanii”.

Kardel podkreślił, że była na to zgoda rządu albańskiego.

Stalin krzychał: „To mogło doprowadzić do poważnych komplikacji międzynarodowych. Albania jest państwem niepodległym! Co sobie myślicie? Jest usprawiedliwienie czy nie ma usprawiedliwienia — faktem pozostaje, że nie zasięgaliście naszej rady co do wysłania dwóch dywizji do Albanii”.

Kardel wyjaśnił, że nic w tym wszystkim nie zostało jeszcze sfinalizowane i dodał, że nie pamięta ani jednego problemu zagranicznego, w którym by rząd jugosłowiański nie zasięgał rady Sowietów.

— Nie jest tak! — krzychał Stalin — Nie radzicie się nas wcale. To nie jest wasza pomyłka, lecz wasza polityka — tak, wasza polityka!

Pozbawiony głosu, Kardel zamilkł i nie forsował swego poglądu.

Mołotow podniósł kawałek papieru i odczytał ustęp z traktatu jugosłowiańsko-bułgarskiego: że Bułgaria i Jugosławia będą „działały w duchu Narodów Zjednoczonych i

popierały wszystkie poczynania zmierzające do zachowania pokoju i przeciw wszelkim wylęgarniom agresji”.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Mołotow.

Dimitrow wyjaśnił, że słowa te oznaczają solidarność z Narodami Zjednoczonymi w walce przeciw wylęgarniom agresji.

Stalin wtrącił się: „Nie, to jest wojna prewencyjna — najzwyczajniejszy wyczyn komsomolski; jarmarczny frazes, woda na młyn nieprzyjacielski”.

Mołotow powrócił do bułgarsko-rumuńskiej unii celnej, podkreślając, że jest to początek zlania się dwóch państw.

Stalin wtrącił spostrzeżenie, że unie celne są na ogół nierealne. Dyskusja znowu trochę uspokoiła się, więc Kardel zauważył, że niektóre unie celne w praktyce okazały się nie tak złe.

— Na przykład? — zapytał Stalin.

— No cóż, na przykład, Beneluks — powiedział Kardel ostrożnie. — Belgia, Holandia i Luksemburg połączyły się.

Stalin: „Nie, nie Holandia. Tylko Belgia i Luksemburg. To jest nic, bez znaczenia”.

Kardel: „Nie, Holandia też tam należy”.

Stalin z uporem: „Nie, Holandia nie należy”.

Stalin spojrzał na Mołotowa, na Zorina, na resztę. Chciałem mu wyjaśnić, że zgłoska *ne* w nazwie Beneluksu jest skrótem *Nederlandów*, to jest dawnego określenia Holandii, lecz skoro wszyscy milczeli, więc milczałem i ja — i tak pozostało, że Holandia nie należy do Beneluksu.

Stalin powrócił do koordynacji planów gospodarczych pomiędzy Rumunią i Bułgarią. „To nie ma sensu, bo zamiast współpracy będzie wkrótce kłótnia. Połączenie się Bułgarii i Jugosławii to inna sprawa — tu są podobieństwa, starodawne aspiracje”.

Kardel wskazał, że w Bled postanowiono pracować stopniowo także w kierunku federacji pomiędzy Bułgarią i Jugosławią, lecz Stalin wtrącił się, precyzując: „Nie, natychmiast — jutro! Najpierw Bułgaria i Jugosławia winny się połączyć, a potem niech się z nimi połączy Albania”.

Stalin przeszedł potem do powstania w Grecji: „Powstanie w Grecji trzeba skończyć”. (Użył tu słowa *zwiernut*,

co dosłownie znaczy *ukrećć teb*). „Czy wierzycie — zwrócił się do Kardela — w powodzenie powstania w Grecji?”

Kardel odpowiedział: „Jeśli obca interwencja nie wzrośnie i jeśli nie będzie poważnych błędów politycznych i militarnych”.

Stalin mówił dalej, nie zwracając uwagi na zdanie Kardela: „Jeśli, jeśli! Nie, oni nie mają żadnych widoków powodzenia. Co sobie myślicie, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone — Stany Zjednoczone, najpotężniejsze państwo świata — pozwolą wam przerwać ich linię komunikacji na Morzu Śródziemnym! Nonsens. A my nie mamy floty. Powstanie w Grecji musi się skończyć i to tak szybko, jak tylko możliwe”.

Ktoś wspomniał o nowych sukcesach komunistów chińskich. Lecz Stalin był niewzruszony. „Tak, towarzyszom chińskim udało się, lecz w Grecji sytuacja jest zgoła odmienna. Tam są bezpośrednio zaangażowane Stany Zjednoczone — najsilniejsze państwo świata. Chiny, to inna sprawa, stosunki na Dalekim Wschodzie są inne. Prawda, i my możemy popełniać pomyłki! Gdy skończyła się wojna z Japonią, zaprosiliśmy towarzyszy chińskich, by uzgodnić jak znaleźć *modus vivendi* z Czang Kaj-szekiem. Zgodzili się z nami w słowach, ale w czynach, po powrocie do domu, zrobili po swojemu: zgromadzili wojska i uderzyli. Okazało się, że oni mieli rację, a nie my. Lecz Grecja, to inna sprawa — nie wahajmy się, lecz połóżmy kres greckiemu powstaniu”.

Jeszcze i dzisiaj nie są dla mnie jasne pobudki, które skłoniły Stalina do opowiedzenia się przeciw powstaniu w Grecji. Może rozumował, że nie było w jego interesie utworzenie na Bałkanach jeszcze jednego państwa komunistycznego — Grecji — w sytuacji kiedy nawet istniejące już państwa nie były uległe i służalcze, nie mówiąc już o ewentualnych komplikacjach międzynarodowych, które przybierały coraz niebezpieczniejszą postać i mogły jeśli nie wciągnąć go do wojny, to zagrozić zdobytym już pozycjom.

Jeśli chodzi o pacyfikację rewolucji chińskiej, niewątpliwie kierował się tu oportunizmem swojej polityki zagranicznej. Nie można też wykluczyć, że przewidywał przyszłe zagrożenie swego własnego dzieła i własnego imperium ze strony nowego wielkiego mocarstwa komunistycznego, zwłaszcza że nie było widoków na wewnętrzne podporząd-

kowanie go sobie. W każdym bądź razie, wiedział, że każda rewolucja, po prostu dlatego że jest nowa, staje się też odrębnym ogniskiem wstrząsów i kształtuje swój własny system rządzenia i państwo. Tego właśnie obawiał się w wypadku Chin, tym bardziej, że chodziło o zjawisko równie znamienne i doniosłe jak rewolucja październikowa.

Tempo dyskusji słabło. Dimitrow wspomniał o rozwoju dalszych stosunków gospodarczych z ZSSR, lecz Stalin przerwał mu znowu: „Pomówimy o tym ze wspólnym rządem bułgarsko-jugosłowiańskim”.

Na skargi Kostowa dotyczące niesprawiedliwości układu w sprawie pomocy technicznej. Stalin odpowiedział, by przedstawił notatkę — „*zapisoczkę*” — Mołotowowi.

Kardel zapytał, jakie należy zająć stanowisko w sprawie żądania rządu włoskiego by oddano mu pod zarząd Somali. Jugosławia nie chciała zgodzić się na to żądanie, lecz Stalin był odmiennego zdania i zapytał Mołotowa, czy wystosowano odpowiedź w tym duchu. Motywował swe stanowisko w sposób następujący: „Niegdyś królowie, gdy nie mogli pogodzić się co do łupu, zwykli byli dawać sporne terytoria najsłabszemu wasalowi, tak aby mogli mu je odebrać później, w jakiejś dogodnej chwili”.

Przed zamknięciem posiedzenia Stalin nie omieszczał płaszczykiem Lenina i leninizmu osłonić swoich żądań i rozkazów. Oświadczył: „My, uczniowie Lenina, także różniliśmy się z nim często, a nawet sprzeczailiśmy się z nim o pewne rzeczy, ale później dogadywaliśmy się, ustalaliśmy nasze stanowisko i — szliśmy naprzód”.

Spotkanie trwało około dwóch godzin.

Tym razem Stalin nie zaprosił nas do siebie na obiad. Muszę wyznać, że czułem z tego powodu smutek i pustkę, tak wielkie było wciąż moje osobiste ludzkie, sentymentalne przywiązanie do niego.

Czułem próżnię i gorycz. W samochodzie usiłowałem wyrazić Kardelowi moje oburzenie z powodu przebiegu spotkania, lecz on — przybity — dał mi znak, bym był cicho.

To nie znaczy, że nie zgadzaliśmy się, lecz reagowaliśmy w odmienny sposób.

Jak wielkie było zmieszanie Kardela, okazało się najlepiej następnego dnia, gdy zabrano go na Kreml celem podpisania z Mołotowem — bez wyjaśnień i bezceremonial-

nie — traktatu o wzajemnym konsultowaniu się pomiędzy ZSSR i Jugosławią. Położył swój podpis w niewłaściwym miejscu, tak że musiał podpisać raz jeszcze.

Tegoż dnia, tak jak było ustalone w poczekalni u Stalina, udaliśmy się na śniadanie do Dimitrowa — by porozumieć się w sprawie federacji. Uczyniliśmy to mechanicznie — pozostałość dyscypliny i autorytetu rządu sowieckiego. Rozmowa na ten temat była krótka i niedbała po obu stronach; zgodziliśmy się, że nawiążemy kontakt skoro tylko przybędziemy do Sofii i Belgradu.

Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło, gdyż w miesiąc później Mołotow i Stalin w swych listach zaczęli atakować kierownictwo jugosłowiańskie, znajdując w tym poparcie bułgarskiego Komitetu Centralnego. Federacja z Bułgarią okazała się pułapką, mającą na celu rozbięcie jedności komunistów jugosłowiańskich — pułapką, w którą żaden idealista nie zamierzał już wejść. Na pozór jednak wszystko było spokojne i zdawało się, że jesteśmy zjednoczeni, protagoniści zajmowali już eksponowane stanowiska. To było wstępem do tego, co miało przyjść później, do jawnego zerwania pomiędzy Związkiem Sowieckim a Jugosławią, które nastąpiło w czerwcu 1948 roku.

Ze spotkania tego z delegacją bułgarską pozostało w mej pamięci wspomnienie uprzejmości, niemal serdeczności Kostowa w stosunku do nas. Było to tym bardziej niezwykłe, że w wysokich sferach komunistów jugosłowiańskich uważano go za przeciwnika Jugosławii, a zarazem za człowieka Sowietów. A przecież był on zwolennikiem niepodległości Bułgarii i dlatego patrzył niechętnie na Jugosłowian w przekonaniu, że są oni głównymi zausznikami sowieckimi, a nawet że skłonni są podporządkować sobie Bułgarię i jej Komunistyczną Partię. Kostow został później rozstrzelany pod fałszywym oskarżeniem, że pozostaje w służbie jugosłowiańskiej, podczas gdy prasa jugosłowiańska atakowała go nieustannie, że tak powiem, do ostatniej chwili — taka była wzajemna nieufność i brak zrozumienia wszędzie tam, gdzie padał cień Stalina.

Przy tej to okazji powiedział nam Dimitrow o bombie atomowej, a potem, wyprowadzając nas ze swej willi, jakby mimochodem zauważył: „Tu nie chodzi o krytykę mych oświadczeń, lecz o coś innego”.

Dimitrow z pewnością wiedział tyle, co i my. Lecz nie miał za sobą tych sił co my, a być może brakowało mu mocy przywódców jugosłowiańskich.

Nie lękałem się, by mogło nam się coś stać w Moskwie; ostatecznie, byliśmy przedstawicielami obcego niepodległego państwa. A jednak często stawał przed moimi oczyma widok bośniackich lasów — w ich gąszczu chroniliśmy się podczas najgwałtowniejszych ofensyw niemieckich, u ich czystych, zimnych źródeł znajdowaliśmy zawsze spoczynek i pokrzepienie. Powiedziałem nawet Kardelowi czy komuś innemu, narażając się tym na zarzut przesady: „Byliśmy tylko jak najszybciej dostali się do naszych gór i lasów!”.

Wyjechaliśmy w kilka dni później. Zawieziono nas o świcie do portu lotniczego we Wnukowie i bez żadnych pożegnalnych uroczystości wsadzono do samolotu. W czasie lotu odczuwałem na przemian dziecięcą radość i zadowolenie dorosłego człowieka. Coraz też mniej myślałem o tym co Stalin mówił na temat losu generała Sikorskiego.

Czy byłem dziś tym samym człowiekiem, który cztery lata temu jechał do Związku Sowieckiego pełen oddania i całkowitej szczerości?

Raz jeszcze marzenie prysło w zetknięciu z rzeczywistością.

Czy należy przypuszczać że zrodzi się nowe marzenie?

ZAKOŃCZENIE

Wiele osób, między nimi — oczywiście — Trocki, podkreśla zbrodnicze, krwiożercze namiętności Stalina. Nie mam zamiaru ani im przeczyć, ani ich potwierdzać, jako że nie znam faktów. Niedawno ogłoszono w Moskwie, że to Stalin prawdopodobnie zamordował sekretarza okręgu leninградzkiego, Kirowa, by znaleźć pretekst do załatwienia porachunków z opozycją wewnątrzpartyjną. Prawdopodobnie maczał palce w zgonie Gorkiego; propaganda jego zbyt gwałtownie oskarżała opozycję o tę zbrodnię. Trocki podejrzewa nawet że Stalin zabił Lenina, pod pozorem, że skraca jego cierpienia. Twierdzą, że zabił własną żonę, albo że w każdym razie swą brutalnością popchnął ją do samobójstwa. Romantyczna legenda, szerzona przez agentów Stalina, a którą ja także słyszałem — że została otruta, gdy kosztowała potrawy przed podaniem ich ukochanemu mężowi, jest doprawdy zbyt naiwna.

Nie było zbrodni niemożliwej dla Stalina, bo nie było ani jednej, której by nie popełnił. Jakikolwiek przyjmijemy dla niego mierniki, w każdym wypadku — należy się spodziewać, że po wszystkie czasy jemu przypadnie opinia, iż był największym zbrodniarzem w historii. W nim bowiem złączyła się w jedno zbrodnica bezmyślność Kaliguli z wyrafinowaniem Borgii i brutalnością cara Iwana Groźnego.

Bardziej interesowało mnie i dalej interesuje, jak taka ciemna, przebiegła i okrutna postać mogła dojść do tego, by kierować jednym z największych i najpotężniejszych państw, nie przez dzień czy przez rok, lecz przez trzydzieści lat! Dopóki tego nie wyjaśnią obecni krytycy Stalina — mam na myśli jego następców — będą tylko

stwierdzali, w że dużym stopniu kontynuują jego dzieło i że za przemalowaną fasadą kryją się te same elementy, te same idee, szablony i metody, które nim kierowały. Albowiem z jednej strony Stalin realizując swe cele korzystał z dogodnej dla siebie sytuacji, mając do czynienia z wyčerpanym i zrozpaczonym rosyjskim społeczeństwem porewolucyjnym, ale z drugiej strony — co trzeba podkreślić — rządzącej biurokracji partyjnej potrzebny był taki właśnie człowiek — bezwzględny w swym zapamiętaniu i nadzwyczaj praktyczny w fanatyzmie. Rządząca partia szła za nim wytrwale i posłusznie — a on ją istotnie prowadził od zwycięstwa do zwycięstwa, aż upojony władzą zaczął działać także i przeciwko niej. Tylko to mu ona dzisiaj zarzuca, przechodząc w milczeniu nad wielu jego większymi i z pewnością nie mniej brutalnymi zbrodniami przeciw „wrogowi klasowemu” — chłopstwu i inteligencji, a także przeciw lewemu i prawemu skrzydłu w partii i poza nią. I jak długo partia ta nie zerwie, zarówno w teorii, jak przede wszystkim w praktyce, z wszystkim co stanowiło właściwość i rdzeń Stalina i stalinizmu, a mianowicie z unitaryzmem ideologicznym i tak zwaną monolityczną strukturą partii, będzie to złym lecz nieomylnym znakiem, że nie wydobyła się ona jeszcze spod wpływu Stalina. Toteż obecna radość z likwidacji tak zwanej antypartyjnej grupy Mołotowa, pomimo całej obrzydliwości jego osoby i jego zwyrodniałych poglądów, wydaje mi się pusta i przedwczesna. Istotą problemu nie jest bowiem, czy lepsza jest ta grupa, czy inna, lecz czy mają one w ogóle istnieć i czy — przynajmniej jako pierwszy krok — ma dobieć końca ideologiczny i polityczny monopol jednej grupy w ZSSR. Ponura obecność Stalina ciąży nadal i — zakładając, że nie będzie wojny — można się obawiać, że będzie przez stosunkowo długi jeszcze czas ciążyła nad Związkiem Sowieckim. Pomimo miotanych na niego przekleństw, Stalin wciąż żyje w społecznych i duchowych podstawach społeczeństwa sowieckiego.

Powoływanie się na Lenina w mowach i uroczystych deklaracjach nie może zmienić istoty rzeczy. Znacznie łatwiej jest demaskować tę czy inną zbrodnię Stalina, niż zataić fakt, że to ten człowiek „zbudował socjalizm”, wznosił fundamenty obecnego społeczeństwa sowieckiego i sowieckiego imperium. Wszystko to świadczy o tym, że

społeczeństwo sowieckie, pomimo olbrzymich osiągnięć technicznych, a może głównie za ich sprawą, zaledwie zaczęło się zmieniać i że jest wciąż więzieniem swych własnych, stalinowskich, dogmatycznych ram.

Pomimo tej krytyki, nie są chyba całkowicie bezpodstawne nadzieje, że w dającej się przewidzieć przyszłości pojawią się nowe idee i nowe zjawiska, które — chociaż mogą nie zachwiać „monolityzmu” Chruszczowa — rzuca przynajmniej światło na jego sprzeczności i na jego istotę. Chwilowo nie ma warunków dla bardziej istotnych zmian. Tych, co rządzą, wciąż nie stać na to, by uznać monopol rządzenia i dogmatyzm za przeszkodę lub za rzecz zbyteczną, podczas gdy gospodarka sowiecka może wciąż istnieć zamknięta w swym własnym imperium i może wytrzymać straty, spowodowane odcięciem się od rynków światowych.

Rzecz jasna, wiele z ludzkich spraw nabiera proporcji i wartości w zależności od tego, pod jakim kątem się je ogląda.

Tak jest i ze Stalinem.

Jeśli przyjmiemy punkt widzenia humanitaryzmu i wolności, to historia nie zna despoty tak brutalnego i cynicznego, jak Stalin. Jako zbrodniarz był metodyczny, wszechogarniający i totalny. Był jednym z tych rzadkich straszliwych dogmatyków, zdolnych do zniszczenia dziesięciu dziesiątych rodu ludzkiego, by „uszcześliwić” jedną dziesiątą.

Jeśli jednak zechcemy określić rzeczywiste znaczenie Stalina w historii komunizmu, to musi on być obecnie uważany za największą postać po Leninie. Nie rozwinął on idei komunizmu, lecz był ich szermierzem i doprowadził do ich urzeczywistnienia w społeczeństwie i państwie. Nie zbudował społeczeństwa idealnego — możliwość czegoś w tym rodzaju nie leży nawet w samej naturze człowieka i społeczeństwa ludzkiego — lecz przeobraził zacofaną Rosję w mocarstwo przemysłowe i w imperium, dążące w coraz bardziej zdecydowany i nieubłagany sposób do zapanowania nad całym światem.

Jeśli spojrzeć na niego z punktu widzenia powodzenia i zręczności w polityce, to nie przewyższa go żaden współczesny mu mąż stanu.

Daleki oczywiście jestem od myśli, że w walkach politycznych powodzenie stanowi jedyną wartość. Zwłaszcza nie przychodzi mi na myśl, by utożsamiać politykę z amoralnością, chociaż nie przeczę, iż przez sam fakt, że polityka pociąga za sobą walkę o przetrwanie danych społeczności ludzkich, znamionuje ją brak respektu dla norm moralnych. Dla mnie, wielkimi politykami i wielkimi mężami stanu są ci, co umieją łączyć idee z rzeczywistością, ci, co umieją iść nieugięcie ku swym celom, przestrzegając jednocześnie podstawowych wartości moralnych.

Reasumując to wszystko, Stalin był potworem, który wyznając idee abstrakcyjne, absolutne i w samych swych założeniach utopijne, w praktyce uznawał i mógł uznawać tylko powodzenie — gwałt, fizyczną i duchową eksterminację.

Nie bądźmy jednak niesprawiedliwi dla Stalina! To, czego pragnął dokonać, a nawet to, czego dokonał, nie mogło być dokonane w żaden inny sposób. Siły, które go gnały naprzód i którym przewodził, z ich absolutnymi ideałami, nie mogły mieć innego wodza, jak tylko jego, a biorąc pod uwagę poziom życia w Rosji i w świecie, nie mogły być przeprowadzane innymi metodami. Twórca zamkniętego systemu społecznego, był jednocześnie jego narzędziem i stał się — w zmienionych okolicznościach i za późno — jego ofiarą. Niezrównany w gwałcie i zbrodni, Stalin był tym niemniej przywódcą i organizatorem pewnego systemu społecznego. Dzisiaj ceni się go bardzo nisko, stoi on pod pręgierzem za swe „błędy”, czym przywódcy tego samego systemu zamierzają odkupić grzechy zarówno systemu, jak i swe własne.

A jednak detronizacja Stalina, mimo faktu, że dokonana została w niewłaściwym, operetkowym stylu, dowodzi, iż prawda wychodzi na jaw, choćby nawet dopiero po zgonie tych, którzy o nią walczyli. Ludzkie sumienie jest nieubłagane i niezniszczalne.

Niestety, nawet teraz, po tak zwanej destalinizacji, trzeba dojść do tego samego wniosku co uprzednio: Ci, co pragną żyć i przeżyć w świecie odmiennym od świata stworzonego przez Stalina, świata, który wciąż istnieje i jest potężny — muszą walczyć.

SPIS TREŚCI

<i>Przedmowa</i>	9
I. ZACHWYTY	11
II. WĄTPLIWOŚCI	67
III. ROZCZAROWANIA	95
<i>Zakończenie</i>	139



32

ACHÈVE D'IMPRIMER
Le 19 SEPTEMBRE 1962
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1962

Odkwaszone
25-04-2008

.....